



CARLA NEGGERS



***NIEWIDZIALNY
WRÓG***

PROLOG

Wielki Mike Parisi, gubernator Connecticut nie dożył końca swojej pierwszej kadencji. Czuł, że to koniec, zanim jeszcze znalazł się w wodzie.

Nie umiał pływać, co za wstyd, ale o tym wiedzieli tylko nieliczni.

Potężne ciało zanurzyło się w basenie, poszło na dno i uderzyło o błękitne kafelki. Parisi jeszcze wypłynął na powierzchnię, jeszcze zdążył krzyknąć:

- Nie umiem pływać!

Nikt nie przyszedł mu z pomocą. Nikt nie słyszał rozpaczliwego wołania. Sam był sobie winien. Zabronił ochroniarzom wchodzić do ogrodu. „Jak mnie ukąsi osa, zacznę wrzeszczeć, że mordują. Usłyszycie moje krzyki. Co więcej może mi się stać?”

Ktoś mógł chcieć jego śmierci.

Wynajął letni dom w Bluefield, malowniczej osadzie w północno-zachodnim Connecticut, w hrabstwie Stockwell. Wszyscy uznali, że chciał być bliżej swojej prawej ręki, Allyson Lourdes Stockwell, by ustalać z nią na bieżąco wszystkie decyzje. Tak naprawdę martwił się o nią. Allyson miała problemy, poważne problemy.

O siebie Wielki Mike jakoś się nie martwił.

- Pomocy!

Bił rękoma powierzchnię wody, młócił nogami i patrzył, jak ledwie żywego bławatnika, którego próbował uratować, powoli wciągają filtry. Obydwaj byli straceni. Bławatnik był młodziutki, ledwie opierzony i miał chyba złamaną łapkę. Musiał przed chwilą wpaść do basenu.

Bardzo sprytnie.

Upozorowany wypadek. „Michael Joseph Parisi utopił się dzisiaj w basenie swojej willi, próbując ratować rannego bławatnika”.

Chryste. Umrze jak skończony idiota.

Jakiś sukinsyn wrzucił ptaszka na głęboką wodę. Przewidział, że Parisi spróbuje wydobyć ptaka. Uwielbiał bławatniki, były jego pasją od sześciu lat, od śmierci żony. Nie mieli dzieci. Nie ukrywał, że pragnie odtworzyć populację tego gatunku ptaków na terenie Connecticut.

Natomiast starannie krył się z tym, że nie umie pływać. Przecież wszyscy to potrafią...

Kiedy był dzieckiem, matka regularnie zapędzała go do jeziora, uczyła pływać. Bezskutecznie. Brat musiał go wyławiać.

Ciekawe, czy sukinsyn, który podrzucił bławatnika, obserwuje teraz zza krzaka rozpaczliwe wysiłki gubernatora?

Doskonale upozorowany wypadek.

Był wściekły, krzyczał, kłął, próbował dobrnąć do brzegu basenu. Był tak blisko... Co robi nie tak? Niemal słyszał zrzęczenie matki: „Jezus, Maria, ale z ciebie niezdara, Michael. Płyńże, na litość boską”.

Dzisiaj Marianne Parisi zostałaby aresztowana za znęcanie się nad dzieckiem albo poddana leczeniu. Była kompletnie pomyłona. Umarła na wylew, kiedy Mike miał dwadzieścia cztery lata, przekonana, że jej młodszy syn jest i pozostanie kompletnym nieudacznikiem.

Woda dostawała się do ust, do nosa, zalewała oczy. Zaczął kasłać, krztusił się, zachłystywał wodą. Nie mógł oddychać.

Ludzie będą łać krokodyle łzy na jego pogrzebie.

Allyson zostanie gubernatorem...

Akurat. Allyson schowała głowę w piasek. Próbował jej pomóc i dlatego teraz tonął.

Zamordowany.

Zrobią mu sekcję. Będą chcieli się upewnić, czy nie wpadł do wody na skutek uderzenia w głowę, czy nie miał ataku serca. Stwierdzą zgon przez utonięcie. Sekcja nie wykaże, że ktoś go popchnął, dokładniej mówiąc, pchnął jakimś kijem czy czymś podobnym. Basen był ogrodzony, ale znajdował się w głębi ogrodu, tuż przy płocie, za którym zaczynał się las. Morderca, a może nawet kilku zbirów ukryło się za płotem i czekało na Mike'a. Kiedy się pojawił, wrzucili do basenu ptaka.

Łatwiej byłoby go zastrzelić, ale oni chcieli upozorować wypadek.

Przestał krzyczeć, przestał młócić wodę rękami.

Przed oczami zaczęły przesuwać mu się twarze żywych i umarłych, nie odróżniał jednych od drugich, nie wiedział, do których sam się zalicza. Przez głowę przemykały najrozmaitsze myśli, wspomnienia. Wokół niego krążyły dziesiątki bławatników, ich pióra połyskiwały w słońcu.

Mike, miałeś dobre życie...

Teraz wszystko się skończyło.

Zaczął odmawiać modlitwę zapamiętaną z dzieciństwa.

„Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą...”

Pojawiła się świetlista postać matki. Kręciła głową, ale nie było w tym nagany, raczej rozbawienie i miłość. Jakby nie oczekiwała, że spotkają się tak szybko. Była też jego żona. Uśmiechała się tak samo jak podczas ich ślubu przed trzydziestu laty.

Wyciągały ku niemu ramiona. Wielki Mike ruszył ku nim, ku światłości.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W Austin od piętnastu dni temperatura nie spadała poniżej trzydziestu pięciu stopni. Kara Galway tak długo mieszkała na Północy, że zdążyła już zapomnieć, jak wygląda prawdziwe teksańskie lato. Choć klimatyzacja była włączona, czuła się fatalnie, męczyły ją mdłości, ale tłumaczyła sobie, że to wina upału i tacos, które zjadła na lunch.

Tak, upał i tacos. O tym, że przyczyną żołądkowych sensacji może być Sam Temple, wołała nie myśleć.

Od dwóch tygodni pracowała od rana do nocy, ale żeby nie wiedzieć jak była zajęta, wracały wspomnienia wieloletniej przyjaźni z Mikiem. Poznała go przez Allyson Lourdes Stockwell, obecną panią gubernator stanu Connecticut. Przyjaźniły się od dawna, razem studiowały prawo. Kiedy zmarł mąż Allyson, ta rzuciła studia i zajęła się wychowywaniem dzieci.

Henry Stockwell miał teraz dwanaście lat, Lillian jedenaście. Po pogrzebie Wielkiego Mike'a oboje przylecieli z Karą do Teksasu. Od dawna mieli obiecane wakacje na wsi w pobliżu Austin, więc Allyson, pomimo żałoby po Mike'u, nie chciała ich pozbawiać tej radości. Lillian i Henry kochali Mike'a. Wszyscy go kochali.

Dzieciaki pisały do Kary z rancza. Skarzyły się matce chrzestnej na upał, marne jedzenie, robactwo i węże. Nie wspominały ani słowem o Wielkim Mike'u.

Kara starała się nie myśleć o nim, o jego pogrzebie. O tym, jak zmarł. Policja stanowa Connecticut i biuro prokuratora stanowego prowadziły wspólne dochodzenie, o którym niewiele wiedziała. Teraz

przede wszystkim powinna zająć się Henrym i Lillian, bo dzieciaki po zakończeniu wakacji na ranchu miały spędzić z nią kilka dni przed odlotem do Connecticut.

Czekała na spotkanie z nimi.

Do gabinetu zajrzał George Carter, zmierzył ją uważnym spojrzeniem.

- Źle się czujesz?

- Zjadłam tacos z owocami morza na lunch, musiały być nieświeże i chyba się podtrułam.

George skrzywił się.

- Nie ma czegoś takiego jak świeże owoce morza.

George był Afroamerykaninem, świetnym prawnikiem, współwłaścicielem wziętej kancelarii. Miał sześćdziesiąt dwa lata, zdecydowane poglądy, troje dzieci i dwoje wnucząt.

I wieczne wątpliwości co do metod działania Kary, czego nie ukrywał.

Bardzo ją lubił, doceniał jej wykształcenie i doświadczenie. Nigdy nie wspominał jej brata, Strażnika Teksasu. Jego zastrzeżenia nie były natury osobistej, po prostu George działał zawsze według wyznawanych zasad, był pedantyczny, skrupulatny, tymczasem Kara posługiwała się niekonwencjonalnymi metodami. Lubiła badać sprawę ze wszystkich stron, pod każdym możliwym kątem, nie bała się komplikacji, jednym słowem posługiwała się wyobraźnią i intuicją, dopiero potem opracowywała strategię. Była przeciwieństwem George'a.

Zgodził się ją przyjąć na roczny kontrakt, twierdząc, że jej sposób myślenia i talent przydadzą się w firmie. Po roku miała albo zostać na

prawach współniczki, albo poszukać sobie nowej posady: wszystko zależało od tego, jak ocenią jej pracę Carter, Smith i Rodriguez.

- Chryste, ale urządziłaś lodownię. - George wzdrygnął się przesadnie. - Ile tu masz stopni?

- Dwadzieścia. Ciągłe nie mogę się przyzwycząić do upałów.

- Marnujesz tylko prąd i zawyżasz nam rachunki za elektryczność.

George miał ponad metr osiemdziesiąt, szpakowate włosy. Na sali sądowej potrafił być naprawdę groźnym przeciwnikiem, potrafił zwodzić oponentów, ale nie Karę. Nie uwierzyła ani przez sekundę, że jest mu zimno. Był w marynarce i w krawacie. Ona miała na sobie prosty top, cienkie spodnie i nadal było jej gorąco.

W jej żołądku nieprzerwanie trwała rewolucja. Cóż, naprawdę nie powinna jeść owoców morza, koniec.

Znowu pomyślała o Samie Temple'u. Mężczyźni zwykle kochali się w niej na odległość, przyjmowali pozy romantycznych i szarmanckich wielbicieli. Przywykła do tego. W przypadku Sama nie istniała żadna odległość. Sam to była bliskość, intymność, gwałtowność... przeżycia dość szalone i nie do opisanie. Już samo myślenie o Samie mogło doprowadzić człowieka na skraj obłądu. Co innego mieć brata Strażnika Teksasu, a co innego sypiać z jednym z nich. Gdyby George o tym wiedział, z pewnością potępiłby jej postępowanie.

Właśnie pokręcił głową, choć z zupełnie innego powodu.

- Nie rozumiem, jak rodowita Teksanka może skarżyć się na upały.

- Kiedy przeniosłam się do Nowej Anglii, narzekałam na zimno.

Myślałam, że nigdy się nie zaaklimatyzuję, ale w końcu się przyzwycząiałam. Teraz muszę od nowa przywyknąć do upałów.

- Przygotuj się, że trochę jeszcze potrwają. Owszem, już się przygotowała. Oglądała poranną prognozę pogody na najbliższe tygodnie. Wiedziała, jak wygląda sierpień w południowo-środkowym Teksasie. Czego się spodziewała? Odepchnęła się od biurka. Miała mały, niczym się nie wyróżniający gabinet. Nie powiesiła na ścianach żadnych zdjęć, obrazów. Zero akcentów osobistych, raczej poczucie tymczasowości. Tymczasowości i zawieszenia. Była dzieckiem, które wychowało się w Teksasie i kobietą, która dorastała i dojrzewała na Północy. Uśmiechnęła do George'a.

- Nie przyszedłeś tutaj wysłuchiwać moich narzekań na upał.

- Nie. Karo... - westchnął, jakby ciężko było mu zacząć. - Od kilku tygodni dzieje się z tobą coś złego. Widzę to.

Wiedziała, o czym mówi George.

- Mike Parisi był moim przyjacielem. Spojrzał na nią serdecznie.

- Tylko to cię trapi? Nic więcej?

- Nic więcej.

Wielki Mike pragnął czegoś więcej. Po śmierci żony liczył na coś więcej, ale milczał, nie chciał niszczyć ich przyjaźni. Wyznał jej, co czuje, dopiero kiedy powiedziała mu, że wraca do Teksasu. Radził, żeby się nie wahała, jeśli spotka odpowiedniego faceta. „Powinnaś z kimś być - mówił.

- Życie jest zbyt krótkie, nie warto tracić szans, które ze sobą niesie". On sam miał poczucie niewykorzystanych szans, wiedział z własnego doświadczenia, ile potem zostaje w człowieku gorczy i żalu.

Czy gdyby wyznał jej swoje uczucie wcześniej, ich życie wyglądałoby inaczej?

Nie. Nie była zakochana w Wielkim Mike'u, on też wcale jej nie kochał. Oboje o tym wiedzieli, choć co innego mówili wtedy w Connecticut...

Kara uśmiechnęła się. Zobaczyła go oczami wyobraźni, siedzącego za biurkiem w nieładnie zagraczonym gabinecie, z grubym cygarem w zębach.

- Lubił opowiadać mi paskudne teksańskie kawały - odezwała się do George'a. - Uważa... uważał, że jesteśmy zbyt zasadniczy i ograniczeni.

- Nowa gubernator, Allyson Stockwell, to twoja przyjaciółka, prawda?

Kara pokiwała głową. Dziesięć lat temu zmarł mąż Allyson, Lawrence, teraz odszedł Mike. Allyson straciła dwóch mężczyzn, którzy, każdy na inny sposób, wiele znaczyli w jej życiu. Przyrodni brat Lawrence'a, Hatch Corrigan, nie miał tej charyzmy i tej magnetycznej siły, ale tylko on mógł teraz wesprzeć Allyson.

Od miesięcy wmawiała Karze, że Hatch jest jej kolejnym cichym wielbicielem. Kara w to nie wierzyła, dopóki sam Hatch nie potwierdził słów Allyson na pogrzebie Mike'a.

- Obydwaj się w tobie podkochiwaliśmy. Śmieszne i głupie, prawda? Nic dziwnego, że jej żołądek ostatnio wariował.

- Martwisz się o nią? - zapytał George.

- Sama nie wiem. Allyson ma dopiero trzydzieści siedem lat. Dała się namówić Mike'owi, została jego zastępcą. Jest pasjonatką...

Przerwała. W uszach dźwięczał jej jeszcze spanikowany głos Allyson, która zadzwoniła zaraz po śmierci Mike'a. Wiedziała już, że musi przejąć jego urząd. „Nie jestem na to przygotowana, Karo. Po prostu nie jestem”. Telefonowała wtedy na komórkę. Kara była akurat w Dunning

Gallery na otwarciu wystawy Gordona Temple'a, wybitnego artysty, Irokeza urodzonego w Oklahomie, który wykładał jakiś czas w Teksasie, a potem zamieszkał w Santa Fe w Nowym Meksyku. Namówienie go na wystawę było wielkim sukcesem Ewy i Kevina Dunningów. Kara знаła ich dobrze, bo ich córka Susanna była jej bratową, żoną Jacka.

Sam twierdził, że zbieżność nazwisk jego i Gordona nie jest przypadkowa, ale Kara mu nie wierzyła, natomiast ciągle miała żywo w pamięci pewien straszny wieczór...

- Wielki Mike to była niezwykła osobowość. Niełatwo będzie go zastąpić, ale ludzie jeszcze nie wiedzą, na co stać Allyson. Będzie świetnym gubernatorem, musi tylko otrząsnąć się po śmierci Mike'a. Wyjdzie z szoku i zacznie działać.

Kara w pierwszym momencie, tamtego wieczoru w galerii, też wpadła w szok. Zaraz po rozmowie z Allyson wyłączyła komórkę. Nie chciała przyjmować już żadnych rozmów, nic więcej wiedzieć, słyszeć. Chwyliła kieliszek szampana z najbliższej tacy i wtedy właśnie zobaczyła Sama. Znała go, oczywiście. Spotkali się kilka razy w domu jej brata w San Antonio i, co tu dużo ukrywać, zrobił na niej wrażenie, chociaż Jack zapewne wolałby, żeby pozostała ślepa i głucha na wdzięki jego przyjaciela.

Nie przypuszczała jednak, że odbije jej do tego stopnia, by tak szybko pójść z nim do łóżka. Miał w sobie tyle seksapilu, nie umiała mu się oprzeć. Zaproponował, żeby poszli gdzieś na kawę; zgodziła się bez chwili wahania.

Wyładowali w jej domu, o kilka przecznic od galerii. Został na noc, spędził z Karą długi poranek, a ona przez cały czas ani słowem nie wspomniała o śmierci Mike'a Parisiego.

Od tego czasu nie widziała Sama. Jeszcze tego samego wieczoru wyjechała na pogrzeb Mike'a. Rozmawiała z policją o jego śmierci, o tym, że nie umiał pływać i że nigdy nikomu nie zdradziła tego sekretu. Zoe West, jedyna pani detektyw w Bluefield, pytała ją o pasję Mike'a, bławatniki, i o to, kto mógł znać wstydliwą tajemnicę gubernatora. W końcu zapytała, co Kara robiła wieczorem w dniu śmierci Mike'a. Kara podała jej nazwisko oraz numer telefonu Sama. Uznała, że co jak co, ale czas spędzony ze Strażnikiem Teksasu to mocne alibi.

- To był nieszczęśliwy wypadek - powiedziała bardziej do siebie niż do George'a. - Śmierć Wielkiego Mike'a.

- Naprawdę tak go nazywałaś? - Głos George'a zabrzmiał wyjątkowo miękko, łagodnie. - Weź sobie jutro wolny dzień - zaproponował nieoczekiwanie.

Kara od razu zrobiła się czujna.

- Dlaczego?

George odwrócił się do wyjścia.

- Za dużo pracujesz, nawet jak na prawnika. Powinnaś odpocząć, bo się posypiesz. - Spojrzał jeszcze na nią przez ramię, naprawdę niemal czule. Dziwne, coś takiego nigdy mu się jeszcze nie zdarzyło. - Zaufaj mi, mam doświadczenie. Weź dzień, dwa wolnego.

- Sprawdzę, jak stoję z robotą, i wtedy zdecyduję.

George nie nalegał dłużej. Kiedy wyszedł, wyjęła z torebki lusterko i spojrzała na swoje odbicie. Błada, prawie zielona. Nic dziwnego, że George kazał jej odpocząć. Wyglądała okropnie.

Musiała się struć tymi tacos z owocami morza. Nic wielkiego. Do jutra minie.

Poranne nudności...

Zatrzasnęła puderniczkę i wrzuciła do torby, w której leżały dwa pudełeczka z dwoma różnymi testami ciążowymi. Kupiła je rano, w drodze do pracy. Boże, ależ z niej histeryczka. Nie mogła być w ciąży. Od tamtej nocy minęły zaledwie dwa tygodnie. Objawy nie zaczynają się tak wcześnie...

Wyrzuci te testy do śmieci, kiedy będzie wracała wieczorem do domu i w ten sposób pozbędzie się dowodów swojej głupoty. Miała trzydzieści cztery lata i nigdy dotąd nie zdarzyło się jej panikować z powodu domniemanej ciąży.

Po prostu nie miała ku temu powodów, jej życie seksualne właściwie nie istniało.

Wielki Mike często z niej pokpiwał.

- Co się z tobą dzieje, Karo? Postanowiłaś żyć w celibacie? A może nie lubisz Jankesów? Wracaj do domu, dziewczyno. Znajdź sobie jakiegoś Tekszańczyka. Przecież wiem, że nie boisz się mężczyzn.

Cóż, ciemnookiego, przystojnego Sama Temple'a jednak się bała. Nie było chyba w Teksasie kobiety, która nie strzelałaby oczami, kiedy pojawiał się w pobliżu. Jack, dobry brat, poczuł się w obowiązku ostrzec ją. Zapewniła go, że nie zamierza strzelać oczami za żadnym Strażnikiem Teksasu, a już na pewno nie za Samem.

- I bardzo dobrze - ucieszył się Jack.

Sam szczęśliwie nie wiedział, jak żalosne doświadczenia w kwestiach miłosnych posiada Kara. Seks i uczucia to był obszar, na który wołała nie wkraczać, a jeśli już zdarzyło się jej wkroczyć, szybko się wycofywała.

Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego nie wycofała się przed dwoma tygodniami i wylądowała w łóżku z Samem Temple'em.

Powinna była uciec. Nie zrobiła tego.

Sam Temple w drodze powrotnej do San Antonio, po prawie dwóch tygodniach ciężkiej roboty na granicy meksykańskiej, znalazł wreszcie trochę czasu, żeby odsłuchać pocztę głosową. Pani detektyw z Bluefield w Connecticut prosiła, żeby niezwłocznie się z nią skontaktował.

Zatrzymał się na stacji benzynowej, oddzwonił do Zoe West i dowiedział się o śmierci gubernatora Connecticut. Parisi zmarł tego samego dnia, kiedy on poznał Karę Galway.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego Kara nie wspomniała ani słowem o tym, co się stało. Wiedziała o wszystkim, czytał o tym w gazetach. „Pierwszą osobą, którą Allyson Lourdes Stockwell poinformowała o tragedii, była jej długoletnia przyjaciółka, Kara Galway, mieszkająca w Austin w Teksasie”...

Sam porównał lokalne czasy i doszedł do wniosku, że Allyson musiała dzwonić do Kary w czasie wernisażu w Dunning Gallery, na chwilę przed tym, jak Kara chwyciła z tacy kieliszek szampana. Wtedy Sam zwrócił na nią uwagę.

To by wyjaśniało, dlaczego zdecydowała się spędzić z nim noc. Była rozbita, przygnębiona, chciała zapomnieć o tragedii.

Sam natomiast nie miał żadnego usprawiedliwienia. Przespał się z siostrą przyjaciela, prawie, jak zobaczył, dziewicą. Wystraszył się. Kilka razy upewniał się, czy Karze nic nie jest, czy wszystko w porządku, ale ona uparcie odpowiadała, że tak, chociaż przygryzała wargę z bólu.

Widział, że kłamie, a jednak się nie wycofał.

Nie, nic go nie usprawiedliwiało.

Pomimo klimatyzacji w barze przy stacji benzynowej panował nieznośny upał. Sam przez ostatnie trzy doby spał w sumie co najwyżej

osiem godzin. Marzył o długim prysznicu, zaciemnionym pokoju i chłodnej pościeli.

Nie potrzebna mu była Kara Galway. Kara oznaczała komplikację. Popęłnił błąd, niepotrzebnie poszedł z nią do łóżka. Powtarzał to sobie wielokrotnie, wyrzucał, ale ani przez sekundę nie żałował tamtej nocy, chociaż bardzo się starał.

Zoe West odebrała po pierwszym dzwonku.

- West.

- Witam, pani detektyw. Tu Sam Temple. Dzwoniła pani do mnie.

- Mam kilka pytań. Kara Galway twierdzi, że był pan z nią na otwarciu wystawy w galerii w Austin, kiedy dowiedziała się o śmierci gubernatora Parisiego. Chcę to sprawdzić.

- Rozmawiała pani z nią?

- Krótko.

- Dlaczego pani sprawdza jej słowa?

- Rutynowe działanie.

Bzdura, pomyślał Sam. To nie była rutynowa rozmowa.

- Dochodzenie prowadzi chyba policja stanowa?

- Wielki Mike zmarł na moim terenie. Asystuję w dochodzeniu.

Inaczej mówiąc, wtrąca się do śledztwa, czy stanowi tego chcą, czy nie. Sam milczał. Na siedzeniu obok leżał jego biały stetson. Choć dawno poluzował węzeł krawata, do kieszonki koszuli ciągle jeszcze miał przypiętą blachę. Przez prawie dwa tygodnie tropił seryjnego mordercę, męczył się w czterdziestostopniowym upale, patrzył na ludzkie tragedie i na nędzę. Teraz zaś prowadził rozmowę o nadzianym gubernatorze, który z miłości do ptaszków utopił się w basenie swojej letniej rezydencji.

- Zauważył pan, o której panna Galway przyszła do galerii? - chciała wiedzieć Zoe.

- Była już na miejscu, kiedy pojawiłem się tam około siódmej.

- To znaczy o ósmej według czasu wschodniego. Parisi utopił się według naszych danych około siódmej wieczór.

Sam miał przed oczami Karę w małej czarnej. Ciemne włosy zaczesane do tyłu, podpięte turkusowym grzebieniem, który potem wyjął... Wsuwał palce w gęste loki i cały czas powtarzał sobie: wycofaj się, póki jeszcze możesz.

- Pan jest z San Antonio? - zapytała Zoe West.

- Co to ma wspólnego ze sprawą?

Zamilkła na moment, chyba nad czymś się zastanawiała.

- Z San Antonio do Austin jest około stu trzydziestu kilometrów, zgadza się?

- Zgadza się, madame.

- Słucham?

- Powiedziałem, zgadza się, madame.

- Próbuje być pan sarkastyczny, sierżancie Temple? Dlaczego?

- Nie, madame.

- Ludzie zwracają się do mnie „madame”, kiedy silą się na ironię. Sam uśmiechnął się pod nosem.

- W porządku, West, nie będę mówił do pani madame.

- To przyjęty zwrot na Południu, prawda, detektywie? - Zoe potraktowała rzecz bardzo serio. Cóż, to jej problem.

- Dla mnie to raczej kwestia dobrych manier.

- Rozumiem. Wracając do tamtego wieczoru, z San Antonio do Austin jest około stu trzydziestu kilometrów. W okresie wakacyjnym,

kiedy Dunningowie wyjeżdżają do swojego letniego domu nad jeziorem Champion, galeria jest zwykle zamknięta, ale tym razem zrobili wyjątek, bo to był jedyny termin, kiedy mogli urządzić wystawę Gordona Temple'a. Dobrze mówię?

- Dobrze pani mówi - przytaknął Sam, starając się, żeby nie zabrzmiało to sarkastycznie. Niech detektyw Zoe West zadaje swoje pytania, czemu nie? Może sam dowie się przy okazji czegoś o Karze, zrozumie, dlaczego tak się zachowała tamtego wieczoru.

- Dunningowie są teściami pańskiego kolegi i przełożonego, porucznika Jacka Galwaya, brata Kary Galway? - West przerwała na chwilę. - Znalazłam informacje w Internecie, to proste. Przeczytałam też kilka artykułów na temat tego, co się wydarzyło w Adirondack ostatniej zimy. Został pan wtedy postrzelony, tak?

Sam nie odpowiedział od razu. Zoe West przygotowała się do rozmowy. Rzeczywiście, w lutym był w Adirondack, pomagał Jackowi rozwikłać sprawę morderstwa, w którą została uwikłana jego żona i dwie dorastające córki. Był śnieg, lód, zimno jak wszyscy diabli. Dostał w kość i obiecał sobie, że już nigdy nie poskarży się na upały. Przy okazji został postrzelony, owszem.

Palce Kary na bliźnie po wewnętrznej stronie uda...

Niech to cholera.

- Powierzchowna rana - poinformował panią detektyw z Connecticut.

- U Galwayów wszystko w porządku?

- Tak.

- Gordon Temple to wielki artysta, Irokez. Pański krewny?

- To nie ma żadnego znaczenia, pani detektyw. - Przyjrzał się tamtego wieczoru Gordonowi. Czarne włosy, ciemne oczy, muskularna sylwetka, cóż, można było dopatrzeć się podobieństwa.

Zoe na moment zamilkła.

- Po co pojechał pan na wernisaż? Kocha pan sztukę?

I kto tu jest sarkastyczny? Sam przyglądał się tłuściochowi, który targał wielką torbę z zakupami do furgonetki. Próbował wyobrazić sobie małomiasteczkową panią detektyw z posterunku w Bluefield.

- W porządku, nieważne, po co pojechał pan do Austin. Gubernator Stockwell dzwoniła tuż po siódmej. Widział pan, jak Kara Galway odbiera telefon?

- Tak. Wyszliśmy jakieś dziesięć minut później. - Sam nigdy nie rozmawiał z Gordonem Temple'em, nigdy nie miał okazji pochwalić jego obrazów ani rzucić od niechcenia: „A ja, wie pan, jestem pańskim synem”. Zaczynał już tracić cierpliwość. - Pani chyba jeszcze nie wie, czego szuka, a ja mam swoje sprawy do załatwienia.

Zoe nie dała się zbić z tropu.

- Przejdę do rzeczy. Kara Galway jest jedną z bardzo niewielu osób, które wiedziały, że gubernator Parisi nie umiał pływać. Powiedziała panu o tym?

Sam nie odpowiedział.

- Rozumiem, że raczej nie poruszała tego tematu przy kawie? Jeśli ktoś chciał jego śmierci i wrzucił ptaka do basenu, a potem, na przykład, popchnął Parisiego, musiał wiedzieć, że gubernator nie umie pływać.

- Idiotyczna metoda pozbycia się człowieka.

- Ale skuteczna. Udało się upozorować wypadek.

- Może to był wypadek.

- Jak na mój gust, ostatnio zdarzyło się tu zbyt wiele dziwnych wypadków - powiedziała Zoe West.

Sam usiadł prosto. Usłyszał w głosie dziewczyny z Bluefield coś, co dobrze znał z własnego policyjnego doświadczenia.

- A więc były inne wypadki?

- Nie słyszał pan? Allyson Stockwell i jej dzieci o włos uniknęły wypadku podczas pokazu fajerwerków w Dzień Niepodległości, tutaj, w Bluefield. Ktoś zostawił race w pobliżu otwartego ognia, koło grilla. Wybuch omal nie spowodował eksplozji gazu w domu teściowej pani gubernator. Nie znaleźliśmy dotąd sprawcy, niestety.

- Byli ranni?

- Nie. Race wybuchły, ale Pit Jericho, tutejszy chłopak, zdążył odepchnąć panią Stockwell i dzieci. Wyszedł z tego z kilkoma zadrapaniami i siniakami, ale wszyscy byli śmiertelnie wystraszeni.

- Gubernator Parisi też tam był? - chciał wiedzieć Sam.

- Tak. Być może ktoś już wtedy próbował spowodować wypadek. Nie udało się, więc ponowił próbę kilka tygodni później. Tym razem z powodzeniem.

- To pani teoria?

- Raczej pytanie, które powinien zadać sobie każdy policjant, nie sądzi pan, sierżancie?

- Co mówią ci ze stanowej?

- Mówią, że to spekulacje. Ejże, sierżancie, to ja tutaj zadaję pytania.

- Sam nie dał się nabrać. Zoe West chciała mu przekazać tę informację, inaczej nie puściłaby pary z ust. Może nie miała wielkiego doświadczenia, ostatecznie pracowała na posterunku w małym miasteczku, ale nie była idiotką.

- Po prostu łatwiej i wygodniej uznać, że wybuch petard to wypadek - ciągnęła. - Podobnie jak w przypadku Wielkiego Mike'a i jego ptaszka. Wiem, że miał fioła na punkcie bławatników, ale skoro nie umiał pływać, powinien był zachować szczególną ostrożność.

- Mógł się nachylić i stracić równowagę - podsunął Sam.

- Mógł. - Zoe wciągnęła powietrze. - Dziękuję za rozmowę, sierżancie. Proszę dzwonić, jeśli przyjdzie panu coś do głowy.

Sam obiecał, że będzie w kontakcie i Zoe się rozłączyła.

Osunął się w fotelu, zamknął oczy, nagle poczuł się potwornie zmęczony. Od domu Jacka dzieliło go dziesięć minut jazdy. Mógłby wpaść do Galwayów, wypić zimne piwo, zapomnieć o rozmowie z Zoe West, a potem pojechać do domu i wreszcie się wyspać.

Nie byłoby to mądre posunięcie. Jack był bardzo opiekuńczy wobec swojej rodziny, siostry nie wyłączając. Sam przespał się z nią, a teraz odbył rozmowę z policjantką z Connecticut, która wypytywała go o tamten wieczór. Na razie powinien trzymać się z daleka od porucznika Galwaya. W każdym razie dopóki nie przekona się, jak bardzo Jack jest wkurzony na Karę.

Kara wiedziała, że Mike Parisi nie umie pływać. Znała jego wielki sekret. Kiedy wpadł do basenu, była w Dunning Gallery w Austin, nie mogła równocześnie mordować Mike'a w Connecticut.

Teoretycznie mogła wynająć płatnego mordercę. „On nie umie pływać. Zwab go nad basen, na tę stronę, gdzie jest głęboko. Upozoruj wypadek”.

Bzdura. Galwayowie nie byli mordercami, a poza tym czy to możliwe, by Kara chciała śmierci swojego serdecznego przyjaciela? Być może niechcący zdradziła mordercy tajemnicę gubernatora, nie wiedząc, że

w ten sposób wydaje wyrok na Mike'a. Zoe West pytała, czy Kara opowiadała o jego wstydlivej przypadłości. Może to samo pytanie zadała Karze.

Rozkoszna Kara. Nie pofatygowała się poinformować Sama, że użyła go w charakterze alibi i dała jego numer telefonu pani detektyw.

Zaklął pod nosem. Nie wierzył, że Kara ma coś wspólnego ze śmiercią gubernatora, ale powinna była porozmawiać z nim na ten temat, zanim wyszedł z jej mieszkania w niedzielę rano. Jeszcze lepiej by zrobiła, gdyby mu powiedziała prawdę, zanim wylądowali w łóżku.

Powinna mu była powiedzieć, że była jedną z nielicznych osób znającą tajemnicę Parisiego.

Sam nie lubił służyć nikomu za alibi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po raz pierwszy od kilku tygodni Allyson Stockwell czuła się niemal normalnie. Leżała w hamaku rozpiętym między dwoma klonami w ogrodzie domu Stockwellów w Bluefield, w północno-zachodnim Connecticut. Smak mrożonej herbaty, zapach róż hodowanych przez teściową, ptasie trele, wszystko to wydawało się cudownie zwyczajne.

W żaden sposób nie potrafiła się oswoić z nową sytuacją. Nigdy nie tęskniła za władzą i zaszczytami. Pozycja zastępcy gubernatora w pełni jej odpowiadała. Ludzie twierdzili, że Mike namówił ją do startu w wyborach tylko dlatego, że była wdową po Lawrencie, a Parisi chciał mieć kogoś ze Stockwellów w swojej ekipie. Nie wiedziała, jak było naprawdę.

Nie, nie będzie teraz o tym myśleć.

Rano przyszła kartka z Teksasu od Lillian i Henry'ego. Pisali, że są zadowoleni z wakacji, podoba im się na letnisku. Dobrze zrobiła, wysyłając ich tam. Chciała, żeby jak najmniej odczuli zmiany, by funkcjonowali w miarę normalnie. Obydwoje uwielbiali Wielkiego Mike'a, mnóstwo ludzi go kochało, i teraz wszyscy boleśnie odczuwali jego brak.

Gdyby nie Lawrence, Allyson być może nigdy nie spotkałaby Parisiego. Lawrence i Mike, choć serdeczni przyjaciele, niemal we wszystkim się różnili. Lawrence pochodził ze starej, dobrej rodziny, takie rody uchodziły w Nowej Anglii za arystokrację. Mike doszedł do wszystkiego sam. Lawrence, zaangażowany w politykę i problemy społeczne, unikał rozgłosu, lubił działać w cieniu, ale doceniał pasję i upór Mike'a. Z kolei Mike podziwiał, jak wiele Lawrence robi dla mieszkańców swojego stanu.

Lawrence, dwadzieścia lat starszy od Allyson, umarł, mając czterdzieści siedem lat. Była pewna, że bez niego nie da sobie rady. Zabezpieczył ją materialnie, ale nie wyobrażała sobie życia bez człowieka, którego pokochała jako dwudziestojednoletnia dziewczyna. „Dokończ studia - przekonywał ją Mike po śmierci Lawrence'a. - Rób coś. Nie zamykaj się w domu, nie poddawaj się rozpaczom.”

Posłuchała jego rad i teraz była gubernatorem. Znowu zdana wyłącznie na własne siły, osamotniona, przytłoczona nowymi obowiązkami.

Wciągnęła głęboko w płuca czyste wiejskie powietrze. Od śmierci Mike'a nie ruszyła się na krok z Bluefield. Tutaj, na Stockwell Farm, urodził się i wychował Lawrence, w posiadłości, którą kupił i potem stopniowo powiększał jego dziadek. Matka

Lawrence'a nadal tu mieszkała, ale Stockwell nigdy nie miało stać się własnością Allyson. Również Madeleine mogła tu mieszkać tak długo, jak chciała, ale rezydencja i cała ziemia miały zgodnie z testamentem przypaść dzieciom Lawrence'a, z chwilą gdy oboje osiągną pełnoletność.

Allyson niespecjalnie lubiła tę posiadłość. Ona i Lawrence zaadaptowali na dom starą stodołę i właśnie tam mieszkali podczas pobytów w Stockwell. Tam Allyson przywoziła potem dzieci w czasie wakacji. Lillian i Henry też chyba woleli przebudowaną stodołę, źle się czuli w głównej rezydencji. Stodoła również miała stać się kiedyś ich własnością, natomiast Stonebrook Cottage, niewielki domek pod lasem, z dala od rezydencji, należał do niej i tylko do niej. Dostała go, razem z niewielką działką, jeszcze od Lawrence'a. Na razie domek służył gościom przyjeżdżającym do Stockwell, ale Allyson liczyła się z tym, że kiedyś przekaze Stonebrook dzieciom.

Po powrocie Lillian i Henry'ego z Teksasu cała trójka miała zamieszkać w rezydencji gubernatora w Hartford. Dzieci wrócą do swojej szkoły w West Hartford, przynajmniej w tej kwestii Allyson nie zamierzała nic zmieniać.

Dobrze, że wysłała dzieci na wakacje do Teksasu. Uwielbiały przyjeżdżać do Stockwell, czuły się tutaj swobodnie, ale Allyson pomimo to zdecydowała się na Teksas. Madeleine, jej teściowa, zbyt wtrącała się w wychowanie wnuków, próbowała zaszczepić im więcej dyscypliny. Wiele poglądów przejęła od męża. Edward uwielbiał stylizować się na światłego ziemianina. Takiego, który w trosce o swe dobra żywo interesuje się lokalnymi sprawami.

Kiedy Lawrence miał osiem lat, Edward przeciął sobie siekierą arterię udową i wykrwawił się na śmierć, zanim nadeszła pomoc.

Madeleine trzy lata później powtórnie wyszła za mąż. W sumie miała za sobą cztery małżeństwa. Z ostatnim mężem rozwiodła się przed pięciu laty i przyrzekła sobie, że więcej już się nie skusi. Allyson wierzyła jej, kiedy Madeleine mówiła, że gdyby Edward nie umarł, dożyliby razem szczęśliwej starości.

Śmierć jedyne go syna była dla niej strasznym ciosem.

Odszedł Lawrence, odszedł Mike, a Allyson została gubernatorem.

Nie chciała być gubernatorem.

Nowe stanowisko wszystko komplikowało. Miała swoje tajemnice, których powinna pilnie strzec.

Serce waliło jej mocno, jakiś ciężar przygniatał piersi. Doktor zalecał jej różne sposoby redukcji stresu. Kara na kilka miesięcy przed wyjazdem do Teksasu zaciągnęła ją na kurs jogi, pokazywała proste techniki oddechowe, które stosowała przed swoimi wystąpieniami w sądzie. Allyson próbowała sobie przypomnieć, o co w tym chodziło. Wdychać, licząc do ośmiu, zatrzymać powietrze, liczyć do ośmiu, i wydech z odliczaniem do ośmiu...

Doliczyła do czterech i zanosła się kaszlem, omal nie wypadając z hamaka.

Odezwał się telefon komórkowy i Allyson zeszywniała. Najchętniej wyłączyłaby go, ale nie robiła tego, bo chciała być w kontakcie z dziećmi. Podniosła się i sięgnęła do torby. Ze względu na śmierć Mike'a terapeutka z farmy, na której dzieci spędzały wakacje, pozwoliła im kontaktować się z domem, kiedy tylko miały na to ochotę.

Oby nie był to ten kretyn, który dzwonił już kilka razy, pomyślała, odbierając połączenie.

Niestety, to był on. Zawsze zaczynał rozmowę od głębokiego westchnienia.

- Ach, pani gubernator Stockwell. Lubi pani ten odgłos, prawda? Ciekawe, co powiedzieliby mieszkańcy Connecticut, gdyby znali prawdę? Gdyby wiedzieli, z kim się rznąłaś... Pewnie zaczęliby się zastanawiać, czy Wielki Mike odkrył twój sekret...

Koniec rozmowy. Łajdak powiedział, co miał do powiedzenia, i rozłączył się.

Allyson drżała. Nigdy nie odezwała się słowem do tego człowieka. Nigdy. Nie chciała prowokować kolejnych telefonów. Bała się, żeby nie przeszedł od nękania jej do bardziej radykalnych czynów. Liczyła na to, że temu draniowi wreszcie się znudzi. Za każdym razem, kiedy dzwonił, łudziła się, że to na pewno ostatni raz.

Pierwszy telefon odebrała na kilka dni przed śmiercią Mike'a. „Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę”. Tylko tyle. Uznała, że to jakiś pomylenieć, świr czepiający się polityków, rzecz nie warta wspomnienia. Nie poinformowała Mike'a, nie powiedziała słowa ludziom ze swojej ochrony. Po pogrzebie Mike'a otrzymała kolejny telefon. „Naprawdę myślisz, że utrzymasz w sekrecie swój romans z kryminalistą?”

Ktoś odkrył jej związek z Pitem.

Pit Jericho był człowiekiem wsi. Jego rodzina od pokoleń posiadała dwieście akrów gruntu na południe od Stockwell Farm. Kiedyś hodowali krowy, sprzedawali mleko, teraz handlowali drewnem na opał i choinkami. Przez ostatnie trzy lata wybierali żwir ze żwirowiska na swoich gruntach. Żwirowali podjazdy w posiadłościach bogatych sąsiadów, budowali kamienne murki wokół domów letniskowych, które wyrastały w okolicy jak grzyby po deszczu. Wykonywali najróżniejsze prace.

Przed ośmiu laty Pit odsiedział pół roku w więzieniu. Wdał się w bójkę w barze. Idiotyczna sprawa, która w ogóle nie powinna trafić do sądu. W ten sposób został „kryminalistą”. Allyson utrzymywała jednak ich związek w sekrecie i nigdy nie zastanawiała się nad przeszłością Pita. To on uratował życie jej i dzieciom w Dzień Niepodległości, kiedy omal nie doszło do wybuchu gazu. Pchnął ich wtedy na ziemię i przykrył swoim ciałem...

Teraz, kiedy została gubernatorem, wszystko się zmieniło, skomplikowało. Anonimowe telefony wcale nie pomagały jej w podjęciu decyzji co do losów tego związku. Nie umiała powiedzieć, co właściwie czuje do Pita, co o nim myśli.

Mike wiedział. Kilka dni po eksplozji petard, która omal nie skończyła się tragedią, postawił jej ultimatum: albo przestanie ukrywać swój związek z Pitem, albo z nim skończy. Żadnych potajemnych romanów. Kropka.

- Ale co ludzie powiedzą? - broniła się.

- A co cię to, do cholery, obchodzi? Nie rozmawiamy o twoim stanowisku wobec kary śmierci czy o małżeństwach gejów. Tu chodzi o człowieka, którego kochasz. Bo kochasz go, prawda?

- Tak, ale...

- Jakie ale? Że odsiedział pół roku w pierdlu, bo przyłożył komuś w barze? - Mike zaniósł się śmiechem. - Daj spokój, Allyson. Ludzie będą zachwyceni, że nie jesteś cholerną snobką.

Niezbyt taktowne stwierdzenie, ale Wielki Mike już taki był. Lubił kpić z ludzi, nawet najbliższych. Kara zawsze miała pod ręką ciętą ripostę. Allyson lubiła obserwować, jak tych dwoje skacze sobie do oczu. Ona niestety nie potrafiła się odgryźć, zawsze była stonowana, spokojna. Taki

miała charakter, tak ją wychowano. Kara była typową, twardą Teksanką o wielkim sercu. Dziwna kombinacja, która pewnego dnia mogła doprowadzić do jakiegoś nieszczęścia.

Tamtego dnia Mike nie kpił z Allyson. Kiedy szło o korzyści polityczne i budowanie politycznego wizerunku, potrafił szybko myśleć i bezbłędnie kalkulować.

Czy nieznajomy, który do niej wydzwaniał, wiedział o ultimatum? Czy będzie próbował zasiać w ludziach podejrzenie, że miała coś wspólnego ze śmiercią Mike'a?

Czego ten sukinsyn chciał?

Zeskoczyła z hamaka, przewracając płócienną torbę. Zawartość wysypała się na trawę. Z cienia wyłoniła się uzbrojona dziewczyna, chciała pomóc, ale Allyson powstrzymała ją gestem dłoni. Po śmierci

Mike'a jednostka specjalna, która chroniła gubernatora, znalazła się pod ostrzałem mediów. Allyson stanęła w ich obronie. Znała Mike'a i jego humory. Ciągłe powtarzał, że nie znosi, jak się za nim snują ochroniarze.

Schyliła się i zaczęła zbierać swoje rzeczy: portfel, tabletki zwalczające zgagę, trzy kredki do ust w tym samym odcieniu. Trzęsła się i płakała. Jak idiotka. Anonimowe telefony zupełnie wytrąciły ją z równowagi. Przypisywała im nadmierne znaczenie. Nie stanowiły realnego zagrożenia, a jak się jest osobą publiczną, trzeba być przygotowanym na różne przejawy wrogości. Nawet gdyby powiedziała ochronie o telefonach, niewiele mogliby w tej sprawie zrobić. Człowiek, który dzwonił, nie stawiał żadnych żądań. Zerwij z Pitem. Nie zrywaj z Pitem. Powiem mediom. Nie powiem mediom. Daj pieniądze. Poprzyj jakąś ustawę. Kompletnie nic. Może po prostu próbował ją przestraszyć, zająć jej za skórę.

- Allyson!

Przez trawnik w jej stronę biegł Hatch Corrigan. Przyrodniemu bratu Lawrence'a zawsze się spieszyło, był w gorącej wodzie kąpany. Zupełnie jak jego ojciec, Frank Corrigan, trzeci mąż Madeleine, którego sukcesy aktorskie przyczyniły się do rozpadu małżeństwa. Madeleine wychowywała syna właściwie sama, po rozwodzie usiłowała trzymać go z dala od Franka. Hatch i Lawrence odziedziczyli po matce smukłą sylwetkę i ostry nos, ale Hatch miał jasnoniebieskie oczy ojca, kasztanowe włosy, dołeczki w policzkach i wyraźną skłonność do teatralnej emfazy, tyle tylko, że podobnie jak Lawrence, nie potrzebował widowni. Frank przeciwnie, musiał żyć w świetle reflektorów. Zginął przed pięciu laty, kiedy pijany do nieprzytomności spadł z rusztowania w nędznym teatrzyku amatorskim w Nowym Jorku.

Hatch nie dziedziczył ani grosza z majątku Stockwellów, ale najwyraźniej niewiele go to obchodziło. Madeleine miała jakieś własne pieniądze, ale w porównaniu z fortuną Stockwellów była to śmieszna suma. Hatch uwielbiał Stockwell Farm i spędzał tu każdą wolną chwilę, kiedy nie zajmował się snuciem politycznych intryg, zbieraniem informacji, wymyślaniem rozmaitych strategii i doradzaniem innym. Był osobą nieodzowną dla Mike'a, dla Allyson również.

Zbliżając się do hamaka, zwolnił nieco. Był czymś zaaferowany, zachmurzony i jak zwykle niezwykle przejęty - cały Hatch.

Allyson wyprostowała się, otarła łzy. W końcu pewnie wdroży się do nowej roli, ale w tej chwili czuła się jedynie jak trzydziestosiedmioletnia matka dwójki nastoletnich dzieci, wdowa, która już nigdy nie przeżyje żadnego romansu.

- Allyson. - Hatch dyszał ciężko. - Mamy problem. Dzwonili właśnie z tego cholernego letniska w Teksasie. Dzieci...

- Hatch! - Wpiła palce w jego ramiona, kolana ugięły się pod nią. - Co się stało? Mów! Co z Lillian i z Henrym? Nic im się nie stało, prawda? Powiedz...

- Miejmy nadzieję. - Hatch skończył czterdzieści siedem lat, nie miał dzieci i nigdy nie potrafił nawiązać z nimi kontaktu, nawet z bratanicą i bratankiem. - Zwiali dzisiaj po południu. Teraz wędrują gdzieś po Teksasie.

Telefon Susanny Galway wyrwał Sama ze snu. Dzwoniła, żeby zaprosić go na kolację i z góry zapowiedziała, że nie przyjmie odmowy. Nie próbował z nią dyskutować. W tych okolicznościach przyjęcie zaproszenia mogło być lepszym wyjściem niż odmowa. Ubrał się, wzał buty i był gotów.

Kolacja okazała się jednym wielkim koszmarem. Nienawidził mieć tajemnic przed przyjaciółmi, ale Kara nie powiedziała bratu i bratowej ani słowa o nocy z Samem, więc i on czuł się zobowiązany do zachowania tajemnicy. Nie, nie jestem tchórzem, mówił sobie, tylko dżentelmenem. I wcale jej nie wykorzystał. Kara była dorosła, miała ochotę na seks, tak samo jak on.

Jack, Susanna i ich córki bliźniaczki najwyraźniej nie dostrzegali jego moralnych cierpień.

Susanna, szczupła, śliczna, ciemnowłosa, zielonooka dama zajmująca się doradztwem finansowym, jeszcze nie tak dawno próbowała ukryć przed Jackiem, że składał jej wizyty morderca, a ona sama zarabia miliony. Popęlniła błąd, bo przed Jackiem nic nie dało się ukryć, Sam

powinien o tym pamiętać. Susanna była osobą bystrą i lubiła sekrety. Dbała o rodzinę tak samo jak Jack, oboje mieli silnie rozwinięty instynkt opiekuńczy. Cała czwórka przed sześciu miesiącami stanęła w obliczu śmiertelnego zagrożenia w Adirondack. Dzisiaj Susanna wiodła spokojne życie w San Antonio. Zmieniała wystrój ich podmiejskiego domu i przeprowadzała generalny remont zabytkowej kamienicy w centrum miasta. Nikt nie wiedział po co, z nią samą włącznie.

Bliźniaczki za kilka tygodni miały rozpocząć studia. Maggie wybrała Harvard, idąc w ślady ojca, Ellen zdecydowała się na Uniwersytet Stanowy w Teksasie, nie idąc w niczyje ślady, co bardzo lubiła podkreślać.

Nikt nie wspominał przy stole o Karze, ale Galwayowie byli szczęśliwi, że wróciła do Teksasu i pokpiwali z jej północnego akcentu. Oczekiwali zapewne, że zwiąże się z prawnikiem, może z profesorem uniwersyteckim, może nawet z artystą, który wystawiał w Dunning Gallery, ale nie ze Strażnikiem Teksasu. Nie z Samem.

No i wcale się ze mną nie związała, uściślił zaraz w myślach. Spędziła z nim zaledwie jedną noc, dwa tygodnie temu.

Po kolacji Susanna i Jack zrobili kawę w ekspresie, który Jack dostał na Gwiazdkę od dziewczynek. Panny poszły oglądać telewizję. Nawet jeśli wydarzenia w Adirondack zostawiły ślady w ich psychice, to Maggie i Ellen dzielnie sobie radziły z traumą. Zresztą teraz bardziej myślały o tym, co je czeka na studiach niż o przeszłości.

Susanna podsunęła Samowi maleńką filiżaneczkę i usadowiła się przy nowym stole ze szklanym blatem. Z uśmiechem podniosła do ust swoją kawę.

- Masz taką minę, jakbyś się bał, że zaraz stłuczesz filiżankę. Odpręż się, Sam. Lubisz przecież taką kawę, prawda?

- Owszem, chyba lubię.

Jack wypił aromatyczny płyn dwoma łykami. Był doskonałym policjantem, absolwentem Harvardu, człowiekiem, który potrafił pogodzić, co nie było łatwe, obowiązki zawodowe z rodzinnymi. Miał piętnaście lat, jego siostra dziewięć, kiedy ich matka zginęła w wypadku samochodowym. Pojechała z córką na zakupy. Nadjeżdżająca z naprzeciwka ciężarówka uderzyła w jej samochód od strony kierowcy.

Kara siedziała bez ruchu obok umierającej matki, Zbryzgana jej krwią, obsypana drobinami szkła i czekała, aż sanitariusze wyciągną ją z samochodu. Wyszła z wypadku z kilkoma zdrapaniami. Po wypadku ojciec pędził dzieci do nauki, namawiał i zachęcał, oczekiwał samych najlepszych ocen, przekonany, że ciężka praca pozwoli zapomnieć obojgu o śmierci matki. Kara po skończeniu szkoły wyjechała na studia do Yale i wróciła do Teksasu dopiero przed kilku miesiącami.

Czy gdyby nie wróciła, Mike Parisi żyłby nadal? Ciekawe, czy Kara zadaje sobie to samo pytanie. Pytanie, przed którym uciekła tamtego fatalnego wieczoru, szukając zapomnienia w ramionach Sama.

Susanna upiła łyżeczek kawy i odstawiła filiżankę.

- Widziałam cię na otwarciu wystawy Gordona dwa tygodnie temu, ale zaraz wyjechałeś i nie miałam okazji porozmawiać z tobą na ten temat. Rodzice byli zachwyceni, że udało im się urządzać u siebie jego wystawę. Nie mogliśmy z Jackiem dotrzeć na wernisaż. To wspaniały malarz, prawda?

Sam wzruszył ramionami.

- Niezłe obrazy, ale ja się nie znam na sztuce.

- Mama mówiła, że szybko wyszedłeś. Ty i Gordon nosicie to samo nazwisko i trochę ją to zaintrygowało.

Jack poruszył się na krześle.

- Mnie też to zastanowiło. Jesteś po części rdzennym Amerykaninem, ten facet to Irokez. Mieszkał kiedyś w San Antonio. Coś z tego wynika?

- Nic z tego nie wynika.

Odpowiedź prawdziwa, acz niepełna. Sam od pięciu lat wiedział, że Gordon Temple jest jego ojcem. Biologicznym, bo tak naprawdę nigdy nie miał ojca. Jego matka, nauczycielka plastyki w szkole podstawowej w biednej części San Antonio, w końcu powiedziała mu prawdę, kiedy Gordon zaczął zdobywać sławę. Sam wiedział, że matka i Gordon byli krótko małżeństwem kiedy obydwójce mieli po dwadzieścia lat. Gordon zostawił ją po roku. Loretta nigdy, jak twierdziła, nie miała złudzeń, że go przy sobie zatrzyma. Był typem wędrowca, wolnym duchem. Być może w ten sposób usiłowała zracjonalizować odejście męża. Sam nie miał do niej o to pretensji, to nie ona podjęła decyzję. W miesiąc po ucieczce Gordona zorientowała się, że jest w ciąży. Uznała, że będzie lepiej zarówno dla Gordona, jak i dla dziecka, jeśli nie dowiedzą się nawzajem o swoim istnieniu.

Trzydzieści pięć lat później przyznała, że nie jest pewna, czy podjęła słuszną decyzję, nakazując wpisać w akcie urodzenia Sama „ojciec nieznan”. Przed laty takie rozwiązanie wydawało jej się najlepsze.

Nie, nic z tego nie wynikało... Zaledwie kilka suchych faktów.

Susanna obracała w palcach filiżankę z delikatnej porcelany.

- Spotkałeś Karę na wernisażu? Zdaje się, że ona też nie zabawiła długo. Odebrała telefon z wiadomością o śmierci Parisiego i zaraz wyszła. Mama nie wiedziała, co się stało, inaczej zajęłaby się Karą. - Susanna

wpiła w Sama to swoje zielone spojrzenie bazyliuszka. - Niedobrze mi się robi, jak sobie pomyślę, że Kara została sama z tą straszną wiadomością.

Sam sączył gorącą, mocną kawę i milczał. Teraz rozumiał, dlaczego Susanna zaprosiła go na kolację. Domyślała się czegoś, szukała potwierdzenia. Była przekonana, że kobiety bez wyjątku tracą głowę na widok Sama. Owszem, zdarzało się, ale były też wyjątki. Na przykład Kara. Poszła z nim do łóżka pod wpływem chwilowej potrzeby bliskości, nie dlatego, że nie mogła mu się oprzeć. On też tego wieczoru niezupełnie był sobą, bo pierwszy raz w życiu zobaczył własnego ojca.

Jack pokręcił głową.

- Śledzisz sprawę śmierci gubernatora? - Nie czekał na odpowiedź. - Nie mogę wyciągnąć z Kary ani słowa na ten temat. Uciekła w pracę. Poleciała do Connecticut na pogrzeb. Nowa gubernator to jej przyjaciółka, Kara jest matką chrzestną jej dzieci. Przyleciały z nią do Teksasu, spędzają wakacje na ranczu.

- Pamiętasz, posłaliśmy kiedyś Maggie i Ellen na takie ranczo. Ellen była zachwycona, Maggie okropnie wybrzydzała...

Jack nie dał się zagadać.

- Nie podoba mi się, że nazwisko mojej siostry pojawia się w prasie w związku ze śmiercią Parisiego. Dzięki Bogu była wtedy w Austin, a nie w Connecticut. Nie chcę, żeby ją w to mieszali.

Sam doskonale rozumiał Jacka, ale uznał, że nie pora i miejsce informować przyjaciela o telefonie Zoe West. Niech Kara sama powie bratu, że była jedną z niewielu osób, które wiedziały, że Wielki Mike nie umie pływać.

- Tato!

W głosie Ellen zabrzmiała nieklamana panika, więc Jack natychmiast zerwał się z krzesła. Sam omal się z nim nie zderzył. Susanna podniosła się niepewnie, zacisnęła dłonie na oparciu krzesła, pobladła okropnie. Była tak przerażona, jak przed pół rokiem, kiedy jej córki znalazły się w rękach mordercy.

Jack zatrzymał córkę w progu, chwycił ją za ramiona. Oddychała płytko, gwałtownie, pot wystąpił jej na czoło.

- Przyszła ciocia Kara. Coś się stało...

Jack zaklął i ruszył do bawialni, ale Sam jakimś sposobem znalazł się tam pierwszy. Kara stała obok Maggie na środku pokoju, z poszarzałą twarzą. Sam jej nie dotknął, pohamował się, to ona wpiła mu palce w ramię.

- Sam...

- Na miłość boską, co się dzieje, Kara? - rzucił Jack ostro.

Przeniosła wzrok na brata.

- Henry i Lillian Stockwellowie zniknęli. - Kara wzięła głęboki oddech, próbowała się uspokoić, ale cały czas wpijała palce w ramię Sama.

- Nie ma ich na ranczu. Początkowo opiekunowie myśleli, że gdzieś się schowali albo nie zrozumieli instrukcji...

- Ranczo jest o godzinę drogi stąd - powiedział Sam.

Jack kiwnął głową.

- W jakim wieku są te dzieciaki?

- Henry ma dwanaście lat, Lillian jedenaście.

- Kara nawet nie próbowała ukryć przerażenia.

- Allyson zadzwoniła do mnie w chwilę po tym, jak wyszłam z pracy. Wybierałam się na spotkanie ze znajomymi, ale postanowiłam natychmiast przyjechać tutaj. Myślałam, że może coś już wiecie.

- Nic nie wiemy - powiedziała Susanna, nie próbując nawet wytykać szwagierce braku logiki.

- Kara, siadaj i opowiadaj wszystko po kolei.

Kara jakby się ocknęła, puściła ramię Sama. Szara twarz powoli zaczęła nabierać kolorów.

- Trzymałam się, jadąc do was, ale kiedy tu dotarłam, zupełnie się posypałam. - Przejechała dłonią po włosach i wyjęła turkusowy grzebień, ten sam, który miała tamtego wieczoru. Odchrząknęła:

- Na pewno nic im nie jest, prawda?

Sam spojrzał na Jacka.

- Dwoje smarkatych dzieci pani gubernator Connecticut błakających się gdzieś po Teksasie... Nie podoba mi się to.

- Siadaj - nakazał Jack siostrze tyleż łagodnie, co stanowczo. - Odsapnij i opowiedz nam wszystko.

Cholera, właśnie rozmawialiśmy o... - urwał w porę, nie kończąc zdania.

Ellen skierowała się w stronę kuchni.

- Przyniosę jej szklanek wody.

- Siadaj, ciociu. - Maggie pociągnęła Karę za rękę, zmuszając, żeby usiadła obok niej na kanapie. Maggie miała sylwetkę matki i usposobienie ojca, a po dziadkach skłonności artystyczne. Ubrana była, jak zwykle, w ciuchy z lat sześćdziesiątych. Suknia w szerokie pasy, do tego błękitne sandały „z epoki”.

- Wszystko będzie w porządku. My też z Ellen kiedyś zwiąaliśmy. Mamo, tato, pamiętacie, prawda? Chciałyśmy jechać do Hollywood, ale zgłodniałyśmy i wróciłyśmy do domu.

Sam nie podzielał jej optymizmu, bo utkwiała mu w głowie rozmowa z Zoe West. Susanna uśmiechnęła się z otuchą.

- Maggie ma rację. Dzieci uciekają i szybko wracają. Zapada zmierzch...

Kara pokiwała głową, już trochę spokojniejsza.

- Allyson powiedziała, że jak tylko ich znajdą, zadzwoni do mnie.

Musimy poczekać.

Jack chrząknął nerwowo.

- Jak z rancza może zniknąć dwoje dzieci? Byli w tej samej grupie?

- Nie, w różnych. I mieszkali w różnych domkach. Musieli się wcześniej namówić i zaplanować ucieczkę. Allyson nie podejrzewa, że ktoś ich porwał. Zgubić też się nie powinny, bo ranczo nie leży na odludziu...

- Pojadę na ranczo i sprawdzę, co się dzieje

- powiedział Jack. - Możemy ogłosić alarm...

Kara podniosła rękę.

- Allyson nie chce na razie żadnych działań ze strony policji.

- Allyson nie ma nic do gadania. Na razie jest gubernatorem Connecticut, nie Teksasu.

Sam czuł, że Kara i Jack za chwilę skoczą sobie do oczu. Susanna obawiała się tego samego. Dotknęła ramienia męża.

- Dzieciaki w tym wieku popełniają różne głupstwa, potem same nie bardzo potrafią wyjaśnić, co im strzeliło do głowy. Najważniejsze, żeby się znalazły.

- Na pewno nie stało się im nic złego - mruknęła Kara bardziej do siebie niż do reszty, po czym wyjęła z torebki kilka pocztówek i listów. -

Pisali do mnie najpierw z obozu, potem z letniska. Lillian częściej niż Henry. Przez nią zaczęłam czytać „Harry'ego Pottera”.

Sam widział kilka tomów na jej szafce nocnej. Podała listy i kartki bratu.

- Przejrzyj to. Może natrafisz na jakieś wskazówki, które mi umknęły. Jakiś trop... Jeśli coś znajdziesz, daj mi znać. Allyson niecierpliwie czeka na każdą wiadomość.

Jack wziął korespondencję.

- Myślisz, że mogą się pojawić u ciebie?

- Jakim cudem? Nie dojadą tutaj. Nie znają miasta...

- Mają twój adres.

- Ale to przecież tylko dzieci.

Jack i Susanna wymienili spojrzenia. Dzieci naprawdę stać na wiele.

- Wiedzą, jak się z tobą skontaktować? - zapytał Sam.

Skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

- Mają wszystkie moje numery telefonów. Ellen wróciła z wodą, podała szklanekę ciotce.

- Nikt ich chyba nie porwał, jak myślisz, Sam? Stockwellowie są bogaci. Media sporo o nich mówiły, kiedy pani Stockwell została gubernatorem... Kobieta na tym stanowisku, w dodatku taka młoda...

Kara na moment wstrzymała oddech. Sama zadawała sobie to pytanie w drodze do San Antonio.

- Ellen, nikt... To niemożliwe. Na pewno nikt ich nie porwał.

Jack objął córkę. Ellen była mocno zbudowana. Świetnie grała w rugby, na boisku była twarda jak stal, ale serce miała miękkie jak wosk.

- Nie snujmy hipotez - powiedział Galway tonem profesjonalisty. - Dzieciakom zdarza się uciekać z letnich obozów. A to jedzenie im nie

smakuje, a to chciałyby już wrócić do domu, a to towarzystwo im się nie podoba. Henry i Lillian przechodzą trudny okres, musiały bardzo przeżyć śmierć Wielkiego Mike'a. Może wrócą na ranczo przed zapadnięciem nocy.

Kara upiła łyk wody i wreszcie odważyła się spojrzeć na Sama.

- Dzwoniła do ciebie Zoe West?

W oczach Jacka pojawił się błysk podejrzania, a dla Sama stało się oczywiste, że tym pytaniem Kara zwalnia go z milczenia. Susanna drgnęła mimo woli, potwierdziły się jej przypuszczenia, że między Karą i Samem coś zaszło, zaraz po wernisażu Gordona Temple'a.

- Kto to jest Zoe West? - chciał wiedzieć Jack. - I po co miała dzwonić do Sama?

Sam uznał, że najwyższa pora wszystko wyjaśnić.

- Zoe West jest detektywem z posterunku w Bluefield, w Connecticut. Prowadzi na własną rękę małe dochodzenie w sprawie śmierci gubernatora Parisiego. Dzwoniła do mnie dzisiaj po południu.

Jack opuścił rękę, którą dotąd trzymał na ramieniu Ellen, wyprostował się. Susanna natomiast usiadła w fotelu, jakby od dawna czekała, aż Sam zacznie wreszcie mówić. Maggie siedziała obok ciotki, Ellen stała koło ojca. Jack wpatrywał się w Sama.

- Chciała sprawdzić moje zeznania - wyjaśniła Kara.

Jack wpił teraz stalowe spojrzenie w siostrę.

- Jakie zeznania?

- Allyson Stockwell zadzwoniła do mnie w czasie wernisażu Gordona i zawiadomiła o śmierci Wielkiego Mike'a. Nie powiedziałam nic Samowi, ale on wyczuł, że stało się coś złego. Poszliśmy razem na kawę. -

Kara nerwowo wykręcała palce, znowu pobladła. - To ten upał. Ciagle nie mogę się przyzwyczać.

Jack ani myślał jej odpuścić.

- Dlaczego Zoe West sprawdzała, gdzie byłaś, kiedy umarł Parisi?

- Ona nie wierzy, że to był wypadek. Jeśli Mike został zamordowany... ten ktoś musiał wiedzieć, że Mike nie umiał pływać.

Jack syknął przez zaciśnięte zęby. Dotarło do niego, co mogą oznaczać słowa siostry, i zareagował podobnie jak Sam w czasie rozmowy z Zoe.

- Chryste Panie! Ty wiedziałaś? Kara skinęła głową.

- Przyznał mi się kilka lat temu. To była jego tajemnica.

- West nie podoba się teoria z ratowaniem ptaszka - powiedział Sam.

Susanna podniosła się z fotela i skinęła na dziewczynki.

- Chodźcie, panny, wypróbujemy nową dyszę do spieniania mleka.

Wszystkim dobrze zrobi filiżanka cappuccino.

Matka i córki wycofały się do kuchni.

Sam stał bez ruchu. Jack rzucił korespondencję od dzieci na stół i zaklął paskudnie. Kara miała skruszoną, niepewną minę. Teraz, dla odmiany, jej policzki pokryły się niezdrowym rumieńcem. Sam był ciekaw, czy stanęła jej przed oczami ich wspólna noc. On pamiętał każdy szczegół, ale teraz nie chciał o tym myśleć, dzieci były ważniejsze.

Spojrzał na pierwszą kartkę, która leżała odwrócona rewersem i odruchowo zaczął czytać: „Kochana Ciociu Karo - pisała jedenastoletnia Lillian. - Widziałam dzisiaj węża. Nienawidzę węży!”.

Dzieciom Allyson Lourdes Stockwell mogło się przytrafić absolutnie wszystko. Sam o tym wiedział i wiedział, że Jack też wie. I Kara.

Cała trójka zawodowo zajmowała się najpaskudniejszymi stronami rzeczywistości, ale tu niepotrzebne było profesjonalne doświadczenie, wystarczył zdrowy rozsądek. Dwoje dzieciaków zagubionych gdzieś w Teksasie, tysiące mil od domu. Nie miało znaczenia, czy ktoś je uprowadził, czy same uciekły z rancza.

Należało ich szukać.

- W porządku - powiedział Jack z ciężkim westchnieniem. - Powiedz mi, co ci się nie podoba w teorii z ratowaniem ptaszka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kara dosłownie uciekła z domu Jacka. Nie zwracając uwagi na upał, na zawroty głowy, na nudności, dopadła samochodu. Pomyśleć, że właśnie została poddana przesłuchaniu przez dwóch Strażników Teksasu: rodzzonego brata i faceta, z którym spędziła noc w chwili zaćmienia umysłu. Im bardziej wnikali w temat i wchodzili w rolę śledczych, tym mniej podobało im się to, co zaszło w Connecticut. Najpierw niebezpieczna eksplozja w Dniu Niepodległości, potem utonięcie gubernatora, a teraz wiadomość o zaginięciu dwojga dzieci. Wszystkie te wydarzenia dotyczyły ludzi należących do elity Nowej Anglii. Jack i Sam mieli powody podejrzewać, że dzieje się coś złego.

Karze mieli do powiedzenia tylko jedno - żeby trzymała się z daleka od sprawy.

Jack, podobnie jak Zoe, nie wierzył w wypadek krótko przed utonięciem Mike'a? Może ogrodnik podlewał kwiaty? Czy sprawdzono

poziom alkoholu we krwi gubernatora? Kto jeszcze tamtego dnia był w domu wynajętym przez Parisiego? Do kogo należy ten dom?

Kara musiała wyjaśnić Jackowi, że bławatnik to ginący gatunek wypierany ze swoich terenów przez bardziej agresywne łuszczaki i szpaki. Mike od dawna robił wszystko, by ratować te ptaszki przed wyginięciem.

Brat słuchał jej relacji, nie kryjąc lekkiego osłupienia.

- Bławatnik ze złamaną łapką ląduje w basenie faceta, który nie tylko ma fioła na punkcie tych ptaszków, ale w dodatku nie potrafi pływać? Nie kupuję tego. Po prostu nie kupuję.

Jego przyjaciel i kolega po fachu był równie sceptyczny.

- Policja nie ma żadnych dowodów, że popełniono zbrodnię - zauważyła Kara, w końcu też profesjonalistka.

Na Jacku nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Dowody nie spadną im z nieba, powinni wziąć się do roboty.

- Wzięli się do...

Jack rzucił siostrze mroczne spojrzenie, ale na nią to nigdy nie działało.

- Wzięli się? To dlaczego pani detektyw z miejscowego posterunku wyręcza tych ze stanowej?

- Zoe West od niedawna pracuje w Bluefield. Może po prostu taka już jest, niezależna. Stanowi ją usadzą, kiedy odkryją, że się wtrąca do ich śledztwa. Nie zadzwonili do mnie, bo jestem ostatnią osobą, którą ktokolwiek mógłby podejrzewać o zamordowanie Wielkiego Mike'a.

„Zamordowanie Wielkiego Mike'a". Już same te słowa brzmiały okropnie.

- Kto jeszcze wiedział, że Mike nie umie pływać? - Wyglądało na to, że Jack postanowił przeprowadzić prywatne dochodzenie.

- Nie wiem.

To też się Jackowi nie podobało. Cała sprawa wyglądała coraz bardziej podejrzanie.

- Nikt nie chce mieć na koncie nierozwiązanej zagadki śmierci gubernatora. Mogę to zrozumieć. Zdarzył się wypadek. Koniec. Wszyscy są zadowoleni. Wiesz, jakie byłoby zamieszanie, gdyby zaczęli rozważać hipotezę zabójstwa? Ilu ludziom nadepnęliby na odcisk?

Akurat z tym rozumowaniem Kara nie mogła się zgodzić.

- Gdybyście byli na ich miejscu, na pewno nic by was nie obchodziło, komu nastąpicie na odcisk. Nie spoczęlibyście, dopóki nie odkrylibyście prawdy. Miejcie trochę zaufania do tych z Connecticut. Przyjmują wersję o wypadku, bo nie mają żadnych przesłanek wskazujących na morderstwo...

- To znaczy, że albo wiedzą coś, czego my nie wiemy, albo są durniami.

Sam poparł przyjaciela:

- Jack ma rację. Ta sprawa śmierdzi.

Kara też była tego świadoma, ale obstawała przy swoim. Może obudziła się w niej prawniczka, a może po prostu wdała się w dyskusję, żeby choć na moment zapomnieć o Lillian i Henrym. A już na pewno dzięki temu powstrzymywała się przed nieustannym zerkaniem na Sama. Jackowi naprawdę niewiele było trzeba, żeby odgadł, co tych dwoje robiło po wernisażu u Dunningów.

- Chryste, nic dziwnego, że mam problemy z żołądkiem - mruknęła, wsiadając do samochodu.

Kiedy wyjmowała kartki od dzieci, zupełnie zapomniała, że ma w torbie kupione rano testy ciążowe. Mogła sobie wyobrazić, jakie miny zrobiliby Jack i Sam, gdyby je zauważyli.

- Karo, zaczekaj. - W stronę samochodu szła Susanna. - Wszystko w porządku. Przepraszam cię za tych nadgorliwców. Miałam ochotę ich udusić. Potraktowali cię jak główną podejrzaną.

- Nie przejmuj się, Susanno. Jestem przyzwyczajona do takich sytuacji, ciągle mam z nimi do czynienia w sądzie. Nikomu nie zdradziłam, że Wielki Mike nie umie pływać. Nie wepchnęłam go do basenu. Koniec, kropka. Chcę znaleźć Lillian i Henry'ego.

- Jasne. Powiedz, naprawdę wierzysz, że Wielki Mike został zamordowany?

- Nie chcę spekulować. To problem detektywów prowadzących śledztwo, nie mój.

Susanna skrzyżowała ręce na piersiach, spojrzała Karze prosto w oczy.

- Potrafisz się dobrze maskować, Karo, ale ja wiem, że między tobą i Samem coś zaszło, wtedy, na wernisazu Gordona. Tylko nie próbuj zaprzeczać. Ja wiem. Bardzo go lubię, ale on... cóż, masz własny rozum, sama potrafisz ocenić, jaki jest Sam.

Seksowny, uczciwy, niezależny, oddany swojej pracy. Ambitny. Ludzie go lubią. Jack często powtarzał, że Sam mógłby zostać gubernatorem, gdyby odszedł ze służby i zajął się polityką. Ale kto wiedział, czego naprawdę chce Sam Temple? Kara pamiętała, jak uśmiechał się przy kawie, jak łatwo się z nim rozmawiało. Sam budził w niej coś więcej niż tylko pożądanie. Jakieś głębsze i bardziej skomplikowane tęsknoty, których nie potrafiła nazwać.

Próbowała to lekceważyć. Powtarzała sobie, że spędzenie nocy z Samem było reakcją na wiadomość o śmierci Wielkiego Mike'a. Myliła się, ale teraz nie miało to znaczenia. Nie musiała analizować tego, co się wydarzyło, bo chodziło o jednorazowy incydent. Oczywiście nie miała żadnych pretensji do Sama, do niczego jej przecież nie zmuszał.

Jack byłby innego zdania...

- Sam to typowy tak zwany niebezpieczny facet - ciągnęła Susanna.

- Wiem. - Kara uśmiechnęła się z przymusem.

- Kiedy tu wróciłam, przyrzekłam sobie, że będę się trzymać z dala od Strażników Teksasu. Jeden mi wystarczy. Zachowują się, jakby pozjadali wszystkie rozумы. Uparci, pryncypialni i przemądrzali.

Susanna parsknęła śmiechem.

- Jeśli chodzi o pryncypialność, tobie też nic nie brakuje, Karo.

Naprawdę. Ale żeby akurat z Samem? Coś ty sobie myślała? - Podniosła dłoń, uprzedzając odpowiedź. - Nieważne. Po prostu w ogóle nie myślałaś.

- Jestem tak samo odpowiedzialna za to, co się stało, jak Sam.

- Jack miałby na ten temat inne zdanie. Delikatnie powiedziane.

- On chyba nie podejrzewa...

- Nie, skoro nie wyrzucił Sama przez okno.

- Susanna opuściła ręce i powoli pokiwała głową. - Długo byłaś poza domem, Karo. Dla Jacka wciąż jesteś jego małą, naiwną siostrzyczką, a nie dojrzałą, doświadczoną, trzydziestoczteroletnią panią adwokat.

Jeśli chodzi o seks, to z tym doświadczeniem Susanna mocno przesadziła. Nawet nie domyślała się, jak bardzo. Na szczęście Sam też się nie domyślał, pomyślała Kara smętnie.

- Jack nie powinien się wtrącać w moje sprawy - burknęła. - Nie widziałam się z Samem ani się z nim nie kontaktowałam od... od

wernisażu. - Przerwała. Upał dawał się jej we znaki, ledwie mogła oddychać. - To zamknięta sprawa.

Susanna spojrzała na nią sceptycznie.

- Nic nie jest zamknięte. Obserwowałam was dzisiaj. Nie oszukuj się.

- Dotknęła delikatnie ramienia Kary. - Jedź już. Sprawdź, co z dziećmi.

Mam nadzieję, że wróciły na ranczo i teraz leżą już w łóżkach. Jack zaraz tam pojedzie...

- Nie musi.

- Nawet nie będę próbowała wyperswadować mu tego.

- A Sam?

- Dokładnie to samo odnosi się do Sama. Kara skinęła głową, powstrzymując napływające do oczu łzy. Znowu ogarnęły ją mdłości. Może to nie mdłości, tylko zwykły strach. Usadowiła się za kierownicą.

- Obaj są uparci jak diabli. - Zawahała się. - Nie muszę cię chyba prosić, żeby ta rozmowa została między nami?

- Nie musisz. Jack i tak już jest wściekły z powodu zniknięcia dzieciaków i teorii z ptaszkiem.

Przez całą drogę powrotną do Austin Kara obsesyjnie zastanawiała się, gdzie mogą być dzieci, co mogło się stać, czy nie grozi im niebezpieczeństwo, dlaczego, do diabła, uciekły. W pobliżu rancza było jezioro, w lasach dzikie zwierzęta i pedofile, na szosie piraci drogowi... lista zagrożeń nie miała końca. Nieważne, że dzieciaki były zaradne, mądre i bogate. To tylko dzieci.

Sam i Jack gotowi są wszcząć alarm, postawić na nogi całą teksańską policję. Z jej winy.

Boże, Sam. Co ona ma począć z Samem?

- Nic - mruknęła, podjeżdżając pod swój dom. Spędzili razem jedną noc i to wszystko. Chciała o tym zapomnieć, on zapewne też.

Zamknęła samochód i ruszyła w stronę bungalowu, który kupiła w zeszłym roku, wkrótce po powrocie do Teksasu. Znajdował się kilka przecznic od galerii Dunningów, blisko centrum miasta.

Kara dobrze się tu czuła - cisza, spokój, dużo zieleni. Zupełnie inna atmosfera niż w Hartford na zachodnim brzegu Connecticut River, gdzie mieszkała wcześniej. Spędziła w Connecticut wiele lat, ale nie zdecydowała się na kupno domu, zawsze coś wynajmowała. To był znak, który Wielki Mike prawidłowo odczytał, radząc Karze, by wróciła do rodzinnego Teksasu.

Poznała go w czasie studiów, kiedy Allyson i Lawrence zaprosili ją na weekend do Stockwell. Byli w sobie tacy zakochani, dwadzieścia lat różnicy w ogóle nie stanowiło dla nich problemu.

Wielki Mike już wtedy udzielał się w polityce. Początkowo przyjaźń między energicznym, rubasznym Mikiem i arystokratycznym Lawrence'em wydawała się Karze czymś bardzo dziwnym, ale polubiła Mike'a od pierwszej chwili. Kiedy Mike popełniał jakiś błąd, mówiąc o prawie, natychmiast go poprawiała z gorliwością neofitki, której wydaje się, że zna wszystkie kodeksy i ustawy na pamięć. Mike dopatrywał się w tym raczej charakterystycznego dla Teksasńczyków uporu i pryncypialności.

Zaprzyjaźnili się natychmiast. Był jej mentorem w wielu sprawach, z wyjątkiem polityki, ta dziedzina życia w ogóle jej nie interesowała. Kiedy został gubernatorem, nawet mu nie powiedziała, czy na niego głosowała.

Kiedy June, żonę Mike'a, zatrzymano, bo prowadziła po alkoholu, Parisi poprosił Karę o pomoc. Zgodziła się, pod warunkiem, że nie będzie się wtrącał. June zeznała w sądzie, że jest alkoholiczką i została

skierowana na leczenie. Mike nie ingerował, pozwolił żonie, by sama podjęła decyzję o terapii. Ta sprawa mogła zniszczyć przyjaźń Mike'a i Kary, a tymczasem tylko ją umocniła.

June zmarła przed sześciu laty i Kara nigdy by się nie domyśliła, że Mike od pewnego czasu podkochał się w niej, gdyby jej tego nie wyznał.

Starał się, by zabrzmiało to lekko.

- Tylko mi nie mów, że zainteresowałaś się Hatchem. Wpadłaś mu w oko.

- Skąd wiesz?

- Ha.

Mike Parisi i Hatch Corrigan. A ona wylądowała w łóżku z Samem Temple'em.

Zawsze miała problemy z mężczyznami.

Mike doskonale wiedział, że Kara kiedyś w końcu wróci do Teksasu.

- W Connecticut nie ma teksańskich łubinów - mówił. Powtarzał wszystkie stereotypy na temat Teksasu i Tekszańców, dokuczał jej, ale w ten sposób pomógł zrozumieć, gdzie jest jej miejsce.

Może wyjawiał, że się w niej podkochuje, by przyspieszyć jej decyzję o wyjeździe.

- Męczą cię demony, z którymi musisz się rozprawić - mówił już bez żartów. - Tutaj ci się to nie uda. Powinnaś wrócić do Teksasu.

Po powrocie, zamiast pozbyć się starych demonów, nabyła kilka nowych...

Zapadł już wieczór, ale upał nie zelżał, w powietrzu nie czuło się nawet najłżejszego powiewu wiatru. Na trawniku przed domem należało posiać nową trawę, trzeba było odmalować ganek. W ogóle cały bungalow

wymagał gruntownego remontu. Nie potrafiła powiedzieć, dlaczego go kupiła, zamiast rozejrzeć się za nowym domem lub jakimś apartamentem. Nie miała czasu gotować, a co dopiero zdzierać starą farbę i cyklinować podłogi...

Z sąsiedniego domu dobiegały śmiechy i dźwięki muzyki. Otworzyła drzwi wejściowe i uczucie paniki, które towarzyszyło jej przez całą drogę, nieco zelżało. Jeśli do rana nie będzie miała żadnych wiadomości o dzieciach, zadzwoni do Allyson i sama pojedzie na ranczo.

Pchnęła drzwi, owiało ją chłodne powietrze. Zatrzymała się gwałtownie, coś usłyszała. Zajrzała do bawialni. Na podłodze przed telewizorem siedziały dzieciaki i zajadały prażoną kukurydzę.

Zguby podniosły wzrok na Karę. Obydwoje mieli niebieskie oczy, jasne włosy i byli bardzo dobrze wychowani. Wyglądali na mocno zmęczonych, ale poza tym nie odnieśli chyba żadnego uszczerbku. Mieli na sobie jednakowe szorty w kolorze khaki i koszulki polo. Lillian, elegantka, przystroiła warkocz czerwoną bandaną, ale Henry nawet nie umył umorusanej buzi.

To on odezwał się pierwszy:

- Cześć, ciociu. Znaleźliśmy klucz pod doniczką na ganku - oznajmił pogodnie.

- To ja go znalazłam - wtrąciła Lillian. - Henry szukał pod wycieraczką.

- Mama wie, gdzie jesteście? - Kara weszła do bawialni i przeczesała włosy palcami, zastanawiając się, co robić. - Jak się tu dostaliście? Schowaliście się na wozie z sianem? Ukradliście konia? Gadać mi tu zaraz.

- Wsiadliśmy do busika, który kursuje między ranczem i lotniskiem w Austin - wyjaśnił Henry spokojnie. - Jeździ dwa razy dziennie, rano i po południu.

- Wsiadłście do busika, tak po prostu? Nikt się nie zdziwił, nie zadawał wam żadnych pytań?

Henry wzruszył ramionami.

- Mieliśmy plan.

Lillian przerzuciła warkocz przez ramię.

- Henry wszedł do komputera na ranczu. Wydrukował nawet potrzebne formularze. Kierowcy powiedzieliśmy, że na lotnisku będzie czekała na nas mama. Kiedy dojechaliśmy, udaliśmy, że ją widzimy, porwaliśmy plecaki i pobiegliśmy. To było proste.

- Nie jesteśmy małymi dziećmi - dodał jej brat, gdyby ciotka miała w tym względzie jakieś wątpliwości.

Kara wpatrywała się w dwoje uciekinierów, wciąż nie mogąc dojść do siebie.

- Zdrowo narozrabialiście. To się nazywa oszustwo. Powinniście przynajmniej przeprosić tego biednego kierowcę. - Przypomniała sobie o dwóch Strażnikach Teksasu, których niewątpliwie zainteresuje przebieg wypadków. - Jak dostaliście się z lotniska tutaj?

- Przyjechaliśmy taksówką - zeznał Henry.

- Kiedy?

- Niedawno. - Wysunął hardo brodę, jakby spodziewał się kolejnej reprimendy.

Kara tymczasem chodziła w tę i z powrotem po bawialni. Otwarte plecaki dzieci leżały koło kanapy, z jednego wystawała butelka wody mineralnej, z drugiego dyskman.

- Taksówka podwiozła was pod sam dom? Henry wyciągnął nogi i sięgnął po następną porcję kukurydzy.

- Wysiedliśmy na rogu.

Ten chwyt na pewno nie zmyli Jacka ani Sama.

- Zostawiliście od diabła i ciut śladów. Pewnie zaraz przyjedzie tu policja. Domyślacie się chyba, że was szukają? - Kara jęknęła głucho na myśl, ile zamieszania narobiła ta dwójka niewinnych dzieciątek. A teraz siedzą przed nią dumni z siebie i zajadają kukurydzę. - Natychmiast proszę zadzwonić do mamy.

Lillian zerknęła na brata i uśmiechnęła się chytrze.

- Już wie, że tu jesteśmy.

- Nie wie. Rozmawiałam z nią.

- Skłamała. Ktoś słuchał i nie mogła powiedzieć ci prawdy. - Henry spojrzał na ciotkę z pobłażaniem, Lillian nie chciała być gorsza. Kara nie dała się zwieść, zbyt długo pracowała jako adwokat. Henry'emu lekko zadrżał głos: - To mama kazała nam uciec z rancza i przyjechać do ciebie. Nie mogła przylecieć do Teksasu i musieliśmy sami wszystko zorganizować. Ona wiedziała, że damy sobie radę.

- Henry, Lillian. - Kara cały czas chodziła po pokoju, w głowie miała zamęt, zapach kukurydzy przyprawiał ją o mdłości. - Mama nie mogła kazać wam uciec. Nikt przy zdrowych zmysłach nie podjąłby takiej decyzji. Zadzwoiłaby do mnie i poprosiła, żebym po was pojechała...

- Ale nie zadzwoniła - powiedziała Lillian. Kara westchnęła.

- Stawiacie mnie w okropnej sytuacji - stwierdziła.

- Wiemy - przytaknął Henry i spojrzał na ciotkę poważnie. - Mamy kłopoty.

Lillian pokiwała głową.

- Okropne kłopoty.

W głosach dzieci nie było już brawury i dumy. Kara zatrzymała się, czekała na dalsze wyjaśnienia. Doskonale wyczuwała, że oboje są wystraszeni.

Lillian wyjęła z plecaka pierwszy tom przygód Harry'ego Pottera, mocno wyświechtany, z naddartą okładką. Otworzyła książkę i utkwiała w niej nieruchome spojrzenie.

- Mamy dla ciebie list od mamy. - Henry otworzył kieszeń plecaka, wyjął z niej butelkę wody, dwa opakowania po batonach, kompas, w końcu wymiętą kopertę, którą podał Karze. - Przysłała ten list w paczce, razem z innymi rzeczami. Nie otwieraliśmy go.

Kara usiadła w fotelu naprzeciwko swoich chrześniaków. I pomyśleć, że wróciła do Teksasu, żeby uporządkować swoje życie i znaleźć spokój...

Henry zawsze był poważnym dzieckiem, nad wiek rozwiniętym, a przy tym potrafił owinać sobie każdego wokół małego palca. Był urodzonym negocjatorem, zawsze wiedział, jak osiągnąć zamierzony cel. Teraz próbował przekonać ciotkę, że uciekli z rancza za wiedzą matki, ba, na jej polecenie, bo groziło im jakieś niebezpieczeństwo.

Kara rozpoznała od razu papeterię Allyson, jej charakter pisma, zielony atrament, którego zawsze używała. Mądre posunięcie. Gdyby list został napisany na komputerze, pewnie wrzuciłaby go do kosza. Na pierwszy rzut oka robił wrażenie autentycznego, nawet podpis był łudząco podobny do podpisu Allyson, ale Kara pozostawała sceptyczna.

Droga Karo!

Wiem, że to dla Ciebie szok, ale jesteś jedyną osobą, której mogą w tej chwili zaufać. Henry i Lillian są w poważnym niebezpieczeństwie. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Wytlumaczę ci wszystko, kiedy się zobaczymy. Proszę, zabierz oboje do Stonebrook Cottage i tam na mnie poczekajcie. Nie mów o tym nikomu! Nie dzwoń do mnie. Proszę Cię, Karo. Powierzam Ci moje dzieci. Nie mam innego wyboru.

Zrób, o co proszę. Wkrótce się zobaczymy.

*Całuję
Allyson*

Kara złożyła pełen dramatycznych słów list, powtarzając sobie, że nie powinna ulegać panice. Musi zachować obiektywizm, przede wszystkim musi myśleć trzeźwo. Znalazła się w niewesołej sytuacji, z dwojgiem wystraszonych dzieci na głowie. Jeśli list był autentyczny, to sytuacja nie przedstawiała się najlepiej...

Stonebrook Cottage znajdował się na samym skraju posiadłości Stockwellów, należał do Allyson i Kara często tam bywała.

- Lillian, Henry, posłuchajcie mnie uważnie.

- Kara schowała list do koperty. - Jeśli sfałszowaliście ten list, to naprawdę będziecie mieli problemy. Rozumiecie?

Obydwoje pokiwali poważnie głowami, byli zmęczeni i wystraszeni.

Kara pozostała niewzruszona. Byli jej chrześniakami, kochała ich, ale musiała zachować rozsądek.

- Jakie macie stopnie z angielskiego? - zapytała.

- Najpierw ty, Henry.

Spojrzał na ciotkę zdziwiony.

- Proszę?

- Pytam o stopnie z angielskiego...

- Miałem celujący na koniec roku.

- I tróję z matmy - zakablowała Lillian, nie podnosząc głowy nad książki.

- A ty, co miałaś z angielskiego?

- Też celujący.

„Henry i Lillian są w poważnym niebezpieczeństwie. Wszyscy jesteśmy”.

List brzmiał bezsensownie. Allyson była gubernatorem Connecticut. Jeśli uważała, że dzieciom grozi niebezpieczeństwo, dlaczego nie zawiadomiła teksańskiej policji? Dlaczego nie przysłała nikogo ze swojej ochrony, żeby zabrał dzieciaki do domu? Mogła też zadzwonić do Kary i poprosić o zajęcie się dziećmi. Dlaczego tak bardzo ryzykowała, każąc im uciec z rancza i na własną rękę dotrzeć do Austin?

Jeśli chciała zachować rzecz w tajemnicy, mogła wynająć prywatnych ochroniarzy, była bogata, mogła sobie na to pozwolić.

Telefon od Allyson zupełnie jej nie przygotował na taki rozwój wypadków. Jej przyjaciółka robiła wrażenie przerażonej, spanikowanej, jakby dzieci rzeczywiście zaginęły.

Kara potrafiła jako tako obchodzić się z bronią, chodziła kiedyś na kurs samoobrony, to wszystko. Nie miała odpowiedniego wykszolenia, wiedzy ani broni, tego wszystkiego, czym dysponowali Strażnicy Teksasu i policja. Allyson chyba zdawała sobie sprawę, że wiadomość o zniknięciu dzieci pani gubernator Connecticut postawi w stan gotowości organa ścigania w całym Teksasie. Jak Kara miała teraz wywieźć Lillian i

Henry'ego poza granice stanu? Plan Allyson był w zasadzie niemożliwy do realizacji.

Dzieciom mógł wydawać się sensowny. Śmierć Wielkiego Mike'a, tęsknota za domem, izolacja, wybujała fantazja, to wszystko mogło sprawić, że wymyśliły absurdalny, podszyty grozą scenariusz.

Kara zerwała się z fotela, podkreśliła klimatyzację i od razu poczuła powiew chłodniejszego powietrza. Dochodziła dziesiąta. Jedenasta w Nowej Anglii. Przypomniała sobie telefon od Allyson.

- Kręci się tu całe mrowie ludzi, nie mogę swobodnie rozmawiać, ale proszę cię, Karo, trzymaj rękę na pulsie. Wiem, że masz daleko do rancza, jednak chodzi o moje dzieci...

Czy to była jakaś wskazówka?

Niemożliwe, monologowała Kara. Lillian i Henry wymyślili to wszystko, bo chcieli przeżyć ekscytującą przygodę. A to oznaczało, że ich matka i ludzie na ranczu nadal umierają z niepokoju i nadal trwają poszukiwania. Cała policja w Teksasie i Connecticut została zapewne postawiona na nogi. W końcu ktoś dotrze do Kary i znajdzie dzieciaki w jej domu. Chyba że ona sama wcześniej zadzwoni do Jacka i powie mu o wszystkim.

Lillian ziewnęła szeroko, opuściła książkę na kolana.

- Nie chcecie zadzwonić do matki i powiedzieć jej, że jesteście już u mnie? - zapytała Kara ostrożnie.

Henry natychmiast wyczuł intencje ciotki.

- Zabroniła nam dzwonić. Masz nas zabrać do Stonebrook Cottage i tam czekać na mamę. Nie napisała ci tego w liście?

Jeśli sam sfabrykował list, znał jego treść. Kara próbowała nie okazywać zwątpienia i zniecierpliwienia. Jej chrześniaki zadały sobie

mnóstwo trudu, żeby im uwierzyła, dlatego powinna postępować ostrożnie i rozważnie.

- My tylko zrobiliśmy, o co prosiła mama - powiedziała Lillian.

Kara usiadła ponownie w fotelu. Mimo że podkreśliła regulator klimatyzacji, nadal było jej gorąco, padała ze zmęczenia i nie miała pojęcia, co robić.

Jednego była pewna - historia przedstawiona przez dzieci miała mnóstwo luk.

- Ciociu, jesteś prawniczką, prawda?

Spojrzała na Henry'ego, ciekawa, do czego on zmierza.

- Tak, dlaczego pytasz?

- Chciałem się tylko upewnić. Skoro jesteś prawniczką, to wszystko, co ci powiedzieliśmy, musi pozostać tajemnicą. Nie możesz nikomu powtórzyć ani słowa, mam rację?

- Henry, jestem prawniczką, ale nie jestem twoim adwokatem.

- Ale mama właśnie dlatego przysłała nas do ciebie. Powiedziała, że możemy ci zaufać, bo jesteś prawniczką. Obowiązuje cię tajemnica zawodowa.

- Henry zacisnął dłonie, na jego buzi malowała się determinacja. - Powiedzieliśmy ci wszystko, więc teraz jesteś naszą prawniczką.

- Co takiego? Lillian, Henry, ja jestem waszą matką chrzestną. Nie mogę was reprezentować. To znaczy, mogłabym, ale musiałabym mieć pisemną zgodę waszej matki. W przeciwnym razie sąd powinien wyznaczyć dla was kuratora i dopiero wtedy możecie mnie wynająć. - Kara jęknęła, miała wrażenie, że zaraz zwariuje. - Nie jestem waszą pełnomocniczką, nie ma mowy.

Henry był bliski paniki.

- Ale skoro powiedzieliśmy ci wszystko...

- Uspokój się. - Kara podniosła się. Nie wiedziała, kto właściwie kontroluje sytuację, ona czy dzieci.

- Jeśli opowiedzieliście mi waszą historię w dobrej wierze i w przekonaniu, że powierzacie poufne informacje swojemu pełnomocnikowi, w porządku. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

- Nie jesteśmy zbiegami. - Lillian łykała łzy. - Nie złamaliśmy prawa.

Kara miała przed sobą dwoje zmęczonych, wystraszonych dzieci. Coś tu było nie tak. Ich opowieść nie trzymała się kupy, ale przecież dzieciaki nie uciekły z letniska dla zabawy. Może śmierć Wielkiego Mike'a była dla nich zbyt wielkim wstrząsem, może wyolbrzymiły jakiś niewinny incydent i w ich głowach zrodził się szalony scenariusz, pełen sekretów i zagrożeń. Może nie potrafiły już oddzielić fikcji od rzeczywistości.

Cokolwiek sprowokowało je do ucieczki, siedziały teraz w jej bawialni i była za nie odpowiedzialna. W tej chwili nic innego nie miało znaczenia - polityczne rozgrywki w Connecticut, domniemane morderstwo Mike'a, działania podejmowane przez policję dwóch stanów, nawet matczyny niepokój Allyson. Jeśli to Allyson napisała list, który wręczyły jej dzieciaki, musiała zwariować. Jeśli nie ona, na pewno oczekiwała, że Kara rozwikła problem i dostarczy dzieci do domu tak szybko, jak to możliwe.

- Możemy zadzwonić do mamy na komórkę...

- Nie! - wrzasnął Henry. - Nie wolno tego robić. Zabroniła nam. Masz nas zabrać do Stonebrook Cottage i czekać. Ciociu, musisz nam uwierzyć!

- Dobrze, już dobrze. Posłuchajcie, powinniście się wykapać i wyspać. Będziecie spać w mojej sypialni, a ja tutaj, na kanapie. Rano wstaniemy z nowymi siłami i zastanowimy się, co dalej.

Henry spojrział na nią pytająco.

- A potem?

- Nie wiem, ale możecie na mnie liczyć. Okay? Jestem z wami. -

Zmilkła na moment. Tak czy inaczej dzieci musiały wrócić do Connecticut. - Zrobię to, o co prosiła wasza matka, chyba że wasza opowieść okaże się wielkim kłamstwem, co prędzej czy później wyjdzie na jaw. Jeśli nic takiego się nie stanie, zawiozę was do Stonebrook Cottage.

Nie mieli wiele czasu. Dzieci zostawiły za sobą tak wyraźny trop, że ich odnalezienie mogło być w tej chwili kwestią godzin. Kara musiała pomyśleć. Zwróciła się o pomoc do Jacka i Sama, a teraz musiała jakoś uśpić ich czujność. - Nie zdziwcie się i nie przestraszcie, jeśli obudzę was w środku nocy.

Lillian zrobiła wielkie oczy.

- Po co?

- Jej brat jest Strażnikiem Teksasu - szepnął Henry, jakby nagle nabrał podejrzeń, że w pokoju może być podsłuch. - Ci z rancza na pewno już zawiadomili policję i teraz wszyscy nas szukają.

Jego siostra na moment wstrzymała oddech.

- To znaczy, że jesteśmy zbiegami? Ścigają nas?

- Nie martw się. Ciocia nam pomoże. Wielki Mike zawsze mówił, że ona jest najlepszym adwokatem na świecie.

- To była przenośnia - ostudziła chrzestnego syna Kara. - Idźcie się wykapać, a potem marsz do łóżka. I nie przejmujcie się moim bratem.

Wystarczy, że ja się tym martwię, pomyślała. Jeszcze bardziej obawiała się reakcji Sama. Nie ukrywał niepokoju po rozmowie z Zoe West. Kiedy odkryje, że dzieciaki dotarły do Austin, a odkryje bez wątplenia, zacznie działać. Kara nie miała nic przeciwko temu, by wypełniał swoje obowiązki, tyle tylko że stały one w jawnej sprzeczności z jej zobowiązaniami wobec dzieci. Powinna odstawić je do matki możliwe szybko i dyskretnie.

Pokazała dzieciom, gdzie jest łazienka i sypialnia. Lillian weszła pierwsza pod prysznic, Henry zaraz po niej. Dwadzieścia minut później oboje już spali.

Kara zebrała z podłogi resztki prażonej kukurydzy i padła na kanapę. Jeszcze raz przebiegła wzrokiem list rzekomo napisany przez Allyson. „Jesteś jedyną osobą, której mogę w tej chwili zaufać... Nie dzwoń do mnie... Nie mam wyboru”.

Niemożliwe, żeby napisała to Allyson.

W dodatku Henry zobowiązał Karę do zachowania tajemnicy zawodowej dopiero po tym, jak jej wszystko powiedzieli. Sprytnie zagranie.

Zacisnęła zęby, położyła dłoń na brzuchu, ale nudności szczęśliwie minęły. To na pewno te tacos z owocami morza, do tego upał, ciągle żywy żal po śmierci Wielkiego Mike'a... Niemożliwe, żeby była w ciąży. Usiłowała przypomnieć sobie szczegóły tamtej nocy i natychmiast dała sobie spokój, by się dodatkowo nie stresować.

Pomyślała o chrześniakach śpiących teraz w jej łóżku. Dzieci. Jak Allyson mogła narażać je na podobne niebezpieczeństwo?

Nie zrobiłaby tego.

Coś było nie tak. Lillian i Henry nigdy nie przysparzali tak zwanych kłopotów wychowawczych. Nie niepokoiłoby niepotrzebnie matki i nie wprowadzali rozmyślnie w błąd ciotki, gdyby naprawdę nie byli wystraszeni.

Czego się bali?

Powinna się dobrze zastanowić, przemyśleć dalsze kroki. Nie miała wiele czasu, a nie mogła popełnić żadnego błędu. Stawka była zbyt wysoka. Zbyt wiele zależało od jej decyzji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sam zamiast pójść spać, wybrał się do Austin. Potwornie zmęczony i pełen wątpliwości wszedł na ganek domu Kary. W oknach jeszcze się paliło. Zbliżała się północ, ale nie sądził, że wyciągnie Karę z łóżka. Nawet gdyby tak było, nie miał w tej chwili żadnych skrępowań.

Henry i Lillian Stockwellowie, używając podstępów, dotarli na lotnisko w Austin. Po co? Nigdzie nie polecili. Ich nazwiska nie figurowały na żadnej liście pasażerów, nie wsiedli do żadnego samolotu. Matka nadal nie wiedziała, co się z nimi dzieje i była coraz bardziej przerażona.

Ledwie Sam nacisnął dzwonek, drzwi się otworzyły.

- Sam... Wystraszyłeś mnie śmiertelnie. - Podniosła trzymany w dłoni wazon i uśmiechnęła się. - Masz szczęście, że nie zdzieliłam cię nim w głowę. Rzadko kto składka mi wizyty o północy.

- Nie masz broni?

- Nie mam i nie chcę mieć. Nienawidzę broni. - Była ubrana tak samo jak po południu, kiedy przyjechała do Jacka prosto z pracy.

Odstawiła wazon na stolik koło drzwi.

- Masz jakieś wiadomości?

Nie zrobiła żadnego zapraszającego gestu. Na ile znał język ciała i Karę Galway, chciała ograniczyć ich rozmowę do kilku zdań i pozbyć się go jak najszybciej. Powody takiego zachowania mogły być zupełnie niewinne, całkiem uzasadnione i nie musiały mieć nic wspólnego z małymi Stockwellami.

Jednak Sam na wszelki wypadek zamierzał dokładnie zbadać tę sprawę.

- Henry i Lillian dostali się na lotnisko w Austin. Przyjechali busikiem należącym do rancza.

Kara zachmurzyła się.

- Dlaczego akurat na lotnisko?

Sam kołysał się na piętach. Coś mu się nie zgadzało, ale Kara była doświadczoną prawniczką, wiedziała, że nie należy odkrywać swoich kart, zanim nie zrobi tego przeciwnik. A jego, nie wiedzieć czemu, potraktowała teraz właśnie jak przeciwnika. Wyczuł to natychmiast, kiedy tylko otworzyła drzwi.

- Policja w Austin sprawdza lotnisko, przepytuje kierowców autobusów, sprawdza dzisiejsze kursy w korporacjach taksówkarskich. Dzieciaki powiedziały kierowcy busika, że na lotnisku czeka na nie matka. Potem oznajmiły, że ją widzą i zniknęły. Facet nic nie podejrzewał. Zrozumiał, co się stało, dopiero po powrocie na ranczo.

- Allyson już wie? Ktoś do niej dzwonił?

- Dzwonili ci z rancza. Jack rozmawiał z jej szwagrem, Hatchem Corriganem. To jej doradca?

Kara kiwnęła głową z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Muszą odchodzić od zmysłów. Nie wiem, co wykombinowali Lillian i Henry... - przerwała z westchnieniem. - A co ty tu właściwie robisz? Austin to nie twoja jurysdykcja.

- Mylisz się. Mamy prawo prowadzić sprawy w całym Teksasie.

- Wiem, ale pracujesz w San Antonio... - Wyprostowała się, spojrzała na niego chłodno. - Czy to służbowa wizyta?

- Pytasz, czy mogę cię aresztować za składanie fałszywych zeznań? - Sam postąpił krok w jej kierunku i Kara się cofnęła, jakby zaszokowana tą nagłą bliskością. - Otwierając drzwi, byłaś gotowa zaatakować. Dlaczego?

- Na litość boską, Sam, jest środek nocy.

- Widziałaś mnie przecież. Masz szyby w drzwiach.

Wzięła głęboki oddech. Widział, że jest spięta, zdeterminowana i nie zamierza ustąpić.

- Nie chciałam, żebyś sobie pomyślał, że otwieram prawie obcemu człowiekowi bez zachowania odpowiednich środków ostrożności.

Tak jakby był „prawie obcym człowiekiem”, a wazon mógłby ochronić ją przed ewentualnym napastnikiem... Sam uznał, że lepiej zostawić ten temat.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o śmierci gubernatora Parisiego?

Pytanie najwyraźniej ją zaskoczyło. Przełknęła z trudem ślinę, a jemu natychmiast przypomniało się, jak całował jej szyję. Odwróciła wzrok.

- Nie byłam w stanie... Nie potrafiłam powiedzieć głośno, że Wielki Mike nie żyje.

- Karo, spędziliśmy razem kilkanaście godzin. Wreszcie odważyła się spojrzeć mu prosto w oczy.

- Wiem, co myślisz. To był dziwny weekend. Zapomnijmy o nim.

- Nie żałuję tego, co się stało.

- Ja też nie. - Wzięła głęboki oddech. - Posłuchaj, późno już, niepokoję się o Lillian i Henry'ego...

- Czuję zapach prażonej kukurydzy.

- Słucham? A... tak. Nie miałam czasu przygotować sobie porządnej kolacji.

Sam wyciągnął szyję, nie ukrywając, że chce zajrzeć do bawialni.

- Nie zaprosisz mnie?

- Nie, chyba że masz nakaz, sierżancie Temple. - Uśmiechnęła się, ale mówiła najpoważniej w świecie. Nie zamierzała go wpuścić. Na stoliku obok miała wazon, a za sobą prawo.

- Karo, jeśli masz mi coś do powiedzenia, powiedz to teraz, już.

Słowa Sama nie wywarły na niej najmniejszego wrażenia.

- To był bardzo ciężki dzień - powiedziała gładko. - Obydwoje niepokoiły się o dzieci. Wracaj do swoich zajęć. Dam ci znać, jeśli będę potrzebowała twojej pomocy.

Nie powinien zapominać, że jest świetną prawniczką. Jeśli miała jakieś kłopoty, jeśli się czegoś bała, na pewno jakoś sobie poradzi.

Wiedziała, do kogo zwrócić się po pomoc.

Wiedziała też, jak ukryć prawdę, o ile zaszłaby taka potrzeba.

Sam postawił stopę w progu, zmrużył oczy. Zobaczył, że rozchyliła wargi, jakby spodziewała się pocałunku. Był tak zmęczony, że pocałunek mógł mu się wydać rzeczą zupełnie naturalną, choć Kara Galway

najwyraźniej usiłowała pozbyć się nieproszonego gościa. Coś przed nim ukrywała.

- Na twoim miejscu nie byłbym taki ostry. Kara wzruszyła obojętnie ramionami.

- W porządku, nie będę.

- Gdybyś dowiedziała się czegoś na temat Stockwellów...

- To sprawa rodzinna, Sam i policja nie powinna się wtrącać. A już na pewno nie Strażnicy Teksasu. Wy zajmujecie się ciężkimi przestępstwami, zbrodniami.

- I na pewno nigdy nikomu nie powiedziałaś, że Mike Parisi nie umie pływać?

- Idź już, Sam. Jestem zmęczona.

- Kiedy się dowiedziałaś? Miał jakiś powód, żeby ci to wyznać, czy po prostu się wygadał? Kim był dla ciebie? Kim był dla twoich chrześniaków?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Chciał dać Karze do zrozumienia, że ucieczka dzieci pani Stockwell to także jego sprawa, skoro rzecz się wydarzyła na terenie Teksasu.

Na Karze nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- Opuść sobie, Temple. Ucieczka dzieci nie ma nic wspólnego ze śmiercią Mike'a.

Cofnął się o krok w gorące nocne powietrze. Pamiętał doskonale sypialnię Kary, pościel, wiszący na łóżkiem kilim, dzieło Evy Dunning. Karo, Karo. Co ja takiego zrobiłem?

Dotknął palcami warg, potem musnął opuszkami jej usta.

- Trochę przesadziłem. Przepraszam.

- Sam...

Jednak on już się wyprostował i przybrał oficjalną minę.

- Jeśli okaże się, że nie znaleźli dzieciaków na lotnisku, wróć tutaj. -
Zszedł z ganku i odwrócił się jeszcze. - Możesz przygotować trochę więcej
prażonej kukurydzy.

Kara zamknęła drzwi i przez chwilę stała nieruchomo w korytarzu.
Do szczęścia brakowało jej tylko podejzliwego Strażnika Teksasu... Co
dalej? Sam albo policjanci z Austin znajdą w końcu taksówkarza, który
zabrał Lillian i Henry'ego z lotniska. Dwoje bogatych dzieci bez opieki, na
pewno je zapamiętał.

Była zupełnie rozbita, zbyt wiele się tego dnia wydarzyło. Uważała
się za osobę opanowaną, rzadko wpadała w panikę. Miała dziewięć lat,
kiedy siedziała bez ruchu koło umierającej matki i czekała na przyjazd
karetki. Nie pozwoli, żeby wizyta Sama Temple'a wytrąciła ją z
równowagi.

A jednak wytrąciła. Na jego widok obudziły się w niej pożądanie,
rozczarowanie, zakłopotanie, nawet lęk, wszystko naraz.

Okłamała go i teraz ucieczka dzieci stała się naprawdę poważną
sprawą.

„Nikomui nie mów ani słowa... Powierzam Ci moje dzieci...”

Kara pokręciła głową. Recytowanie zdań z listu do niczego jej nie
doprowadzi. Sama się naraziła na wścibstwo Temple'a. Podała Zoe West
jego nazwisko, bo uznała, że to zrobi dobre wrażenie. Nie spodziewała się,
że pani detektyw z Bluefield zadzwoni do Sama.

A potem... Gdy tylko dowiedziała się o ucieczce dzieci Allyson,
pojechała do San Antonio. I nie chodziło jej wyłącznie o spotkanie z

Jackiem i Susanną i ich moralne wsparcie. Miała nadzieję, że zostanie w ich domu Sama, który był częstym gościem u Galwayów.

Miała nadzieję, to za słabo powiedziane. Bardzo na to liczyła, pragnęła tego.

Wyjęła z szafy w przedpokoju pościel. Miała zamiar przespać się, zanim znowu przyjdzie jej stawić czoło Samowi. A może powinna obudzić dzieci i ruszyć w drogę, uprzedzając jego kolejną wizytę? Nie potrafiła podjąć decyzji. Ruszyła z pościelą do bawialni.

- Ciociu! - usłyszała przerażony szept Lillian. Mała ostrożnie wyślizgnęła się na czworakach z sypialni, błada jak płótno. - Na podłogę! On cię zobaczy!

- Lillian, na litość boską...

- Na podłogę!

Kara przykucnęła i przesunęła się w stronę Lillian. Dziewczynka ledwie oddychała.

- Co się dziej, Lil? Miałaś zły sen? Widziałaś mojego przyjaciela, Sama...?

- Mężczyzna... - Nie była w stanie powiedzieć nic więcej. Chwytała gwałtownie powietrze, jej twarz lekko posiniała.

- Lillian, skarbie. Musisz wstrzymać na chwilę oddech. W ogóle nie wypuszczasz powietrza z płuc. Jeśli do krwi dostanie się za dużo tlenu, zemdlejesz.

Mała podniosła wzrok na ciotkę i posłusznie wstrzymała oddech, po czym gwałtownie wypuściła powietrze z płuc.

- Tam jest człowiek z rancza.

- Jaki człowiek? Gdzie?

- Przed domem. Widziałam go. Henry powiedział, że nie powinniśmy ci o nim mówić, dopóki nie dotrzemy do Stonebrook Cottage, ale on tu jest. Nawet mama o nim nie wie.

Histeria Lillian zaczęła się udzielać również Karze. Uspokój się, powtórzyła sobie kilka razy, walcząc z przerażeniem.

- Gdzie on jest, Lillian? Gdzie go widziałaś?

- Przed domem. W samochodzie. Widziałam go przez okno sypialni.

- Jesteś pewna? To wielkie miasto. Mnóstwo samochodów...

- To on. Chodź, pokażę ci. - Pociągnęła ciotkę za rękę, ale kiedy Kara chciała się wyprostować, wbiła paznokcie w jej nadgarstek i syknęła gwałtownie: - Nie podnoś się.

Cokolwiek się dzieje, pomyślała Kara, sprawa jest zbyt poważna, bym poradziła sobie sama. Położyła pościel na podłodze, nakazując sobie zachowanie spokoju, choćby ze względu na nieprzytomną ze strachu Lillian. Mała nie udawała. Kara widziała wiele udawanych ataków hysterii i przerażenia u świadków i oskarżonych, bezbłędnie potrafiła rozpoznać, kiedy ktoś udaje.

Nisko schylona przemknęła za Lillian do sypialni. Henry klęczał przy oknie, wpatrując się w mrok. Blask ulicznej latarni oświetlał słabym światłem bladą twarzyczkę. W milczeniu skinął na ciotkę i siostrę.

- Nie chciałem ci nic mówić - szepnął, kiedy Kara przykucnęła obok niego. - Bałem się, że się wystraszysz, ale Lillian nie wytrzymała. On tam jest.

- Kto, Henry?

- Widzisz ten czarny samochód? To jego. Przed domem sąsiadów stał rzeczywiście czarny sedan. Ktoś siedział za kierownicą, ale Kara nie potrafiła powiedzieć, czy to kobieta, czy mężczyzna.

- Popatrz, pali papierosa. - Lillian przykleknęła z drugiej strony przy Karze.

Kara wyteńczyła wzrok.

- Nie widzę żadnego papierosa. Nie widzę nawet, czy to mężczyzna, czy kobieta. Skąd wiecie, że to ktoś z rancza?

- Wysiadł z samochodu kilka minut temu - powiedział Henry. - Patrzył na twój dom. Przyjrzeliliśmy mu się dobrze, prawda, Lil?

- Aha. Stał pod latarnią.

- Wierzę wam - Kara ustąpiła. - No więc kto to taki?

Henry usiadł pod oknem, oparł się o ścianę, kolana podciągnął pod brodę.

- Już na ranczu zauważyliśmy, że nas obserwuje - zaczął. - Ja to zauważyłem i powiedziałem Lillian, żeby miała na niego oko. Pojawił się na początku tego tygodnia.

- Może po prostu pracuje na ranczu? Nie przedstawił się...

- Czasami się przebierał - powiedziała Lillian.

- Raz widziałam go ze sztucznymi wąsami. Pomyślałam sobie, że głupio wygląda.

Sztuczne wąsy. Lillian mogła zobaczyć kogoś innego, podobnego, i doszła do wniosku, że to ten sam mężczyzna, tylko ucharakteryzowany.

- Rozmawialiście z nim kiedyś? Dzieci zgodnie pokręciły głowami.

- Woleliśmy być ostrożni - powiedział Henry.

- No właśnie - przytaknęła Lillian. - Mógł zaciągnąć nas do lasu i zabić.

Kara skrzywiła się, ale Lillian miała rację. Lepiej, by dzieci nie wdawały się w rozmowy z nieznajomymi. Jakoś nie przyszło im jednak do głowy, na jakie ryzyko się narażają, uciekając z letniska.

- A on? - indagowała dalej. - Nie próbował z wami rozmawiać?

- Nie. - Henry był wyjątkowo spokojny. - Przyglądał się nam tylko, zawsze z ukrycia, tak żeby nikt go nie widział. Kiedyś zapytałem jednego kolegę, czy go zna i ten człowiek od razu zniknął, jakby się domyślił, że o nim rozmawiamy.

Kara zastanawiała się, czy śmierć Wielkiego Mike'a, stres ostatnich tygodni, rozłąka z matką, poczucie izolacji w dalekim Teksasie, czy to wszystko nie wywołało u dzieci jakiejś patologicznej reakcji. Nie mogła uwierzyć, że znalazły się w sytuacji realnego zagrożenia. Raczej musiało chodzić o wytwór ich wybujałej wyobraźni.

- Mówiliście o nim opiekunom? Terapeucie?

- Ja chciałam, ale Henry mi nie pozwolił - powiedziała Lillian.

Henry zacisnął wargi, jakby zastanawiał się nad słuszością swojej decyzji.

- Bałem się mówić komukolwiek. A potem, jak mama kazała nam przyjechać do ciebie, już wiedziałem, że dzieje się coś złego.

- Zaraz, podobno wasza mama nie wiedziała o tym człowieku...

- Nie chcieliśmy jej dodatkowo martwić. Kara próbowała nadążać za tokiem rozumowania

Henry'ego, ale przychodziło jej to z niejakim trudem.

- Jesteście pewni, że to ten sam człowiek?

- Tak - przytaknęli chórem.

Zawsze sprzecjali się o wszystko: o zasady gier karcianych, o to, jaki program telewizyjny będą oglądać, jaka kapela rockowa jest najlepsza, który stolik w restauracji powinni zająć. Kara zbyt wiele razy musiała ich uspokajać, żeby teraz zlekceważyć tę zaskakującą zgodność. Westchnęła

ciężko. Nigdy nie potrafiła być obiektywna wobec tych dwojga. Kochała ich ślepią miłością i oboje doskonale o tym wiedzieli.

Sam zapewne chętnie posłuchałby opowieści o człowieku w czarnym sedanie.

Dzieci nadal tkwiły przy oknie, wpatrując się w samochód, kiedy nagle błysnęły przednie światła wozu, oświetlając fasadę domu. Lillian natychmiast rzuciła się na podłogę, łapiąc gwałtownie powietrze, Henry schylił się i zastygł, jakby najmniejszy ruch mógł go zdradzić.

Kara dotknęła ramienia Lillian.

- Zostańcie tutaj. Zaraz wracam.

Wybiegła na korytarz, szarpnęła drzwi i wypadła na ganek w momencie, gdy samochód odjeżdżał. Zdążyła tylko zobaczyć, że miał teksańską rejestrację, to wszystko. Nie dojrzała już, czy był na prywatnych numerach, czy należał do jakiejś wypożyczalni samochodów.

Zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Zadzwoić do Sama, do Jacka, na policję? Wbrew prośbie zawartej w liście, wbrew obawom i zakłębom dzieci? To ona musiała podjąć ostateczną decyzję, bo była tu jedyną dorosłą osobą.

Kiedy wróciła, dzieci były już ubrane, zakładały plecaki, jakby dokładnie wiedziały, co Kara zamierza, i postanowiły poszukać pomocy gdzie indziej.

Kara westchnęła.

- Co wy wyprawiacie?

- Wynosimy się stąd - oznajmił Henry poważnie. - On wróci. Nie może nas tu znaleźć. Nie mamy prawa cię narażać, ciociu.

Walcząc z kolejną falą nudności, usiłowała się skoncentrować na bieżącej sytuacji. Dzieci najwyraźniej zaczynały tracić zimną krew. Musi natychmiast coś zrobić, powiedzieć coś, żeby je uspokoić.

Niedługo powinien pojawić się Sam. Może w obecności Strażnika Teksasu poczują się bezpieczne?

Henry wyprostował się, jakby dalsze decyzje należały wyłącznie do niego.

- Idziemy, Lil. Jeśli ciocia chce zostać, poradzimy sobie sami.

Lillian miała mocno niepewną minę, ale skinęła potulnie głową.

- Posłuchajcie, jest ktoś, do kogo mogę zadzwonić... - zaczęła Kara.

Henry był nieugięty.

- Nie - oznajmił krótko, ale zbladł i zaczął drżeć. Po policzku spłynęła mu pierwsza łza. - Ciociu, musisz uwierzyć, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo.

Jeśli rzeczywiście groziło im niebezpieczeństwo, powinna bez wahania zadzwonić do Sama, ale wiedziała, że to nic nie da, dzieciaki zwieją. Jeśli potrafiły zwać z letniska, uciekną i z jej domu.

Ciągle nie wiedziała, co myśleć o liście. Czy rzeczywiście napisała go Allyson? Czy miało to w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie? Nie, ważne są jedynie odczucia Henry'ego i Lillian.

Jeśli nie zwolnią jej z obowiązku zachowania tajemnicy, niewiele będzie mogła dla nich zrobić, a już na pewno nie wolno jej kontaktować się z Samem.

- W porządku - Kara usiłowała nadać swojemu głosowi zdecydowane brzmienie, ale jej plan był jeszcze mocno niedopracowany, właściwie był to zarys planu, w dodatku dość szalonego. - Musicie mi

zaufać i pozwolić podejmować decyzje. Zabiorę was do Stonebrook Cottage, do mamy, w porządku? Zrobię to, o co prosi w liście.

Dzieci skinęły głowami. Henry otarł łzy. Lillian była bardzo poważna i bardzo blada.

Kara przytuliła oboje. Pal diabli wszystko. Nieważne, czy zagrożenie było realne, czy wymaginowane. Musi dostarczyć bezpiecznie tę dwójkę do Stonebrook Cottage, bez względu na to, kto będzie im deptał po piętach.

Sama nie mogła uwierzyć, że właśnie zamierza wywieść w pole Sama Temple'a, nieustraszonego Strażnika Teksasu.

Uśmiechnęła się nieoczekiwanie i w dzieci wstąpiła otucha. Miały już zupełnie inne miny niż przed chwilą: ciotka przejęła dowodzenie, zrobi to, o co prosili.

- Spakuję tylko kilka najpotrzebniejszych rzeczy i jedziemy - oznajmiła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pit Jericho z satysfakcją patrzył na okorowane pnie leżące tuż obok żwirowiska. Lubił widzieć efekty swojej pracy. Skończ jedną rzecz, zabieraj się do następnej. Lubił wysiłek fizyczny. Zmrużył oczy i spojrzał w sierpniowe niebo. Miał mnóstwo roboty do wykonania, zanim chwycą pierwsze mrozy. Może zajęcia pozwolą mu zapomnieć o Allyson. Czuł żal, gniew, rozgoryczenie, bo stracił ją, od kiedy została gubernatorem.

Był głupi, że się w niej zakochał, od tego należało zacząć. Wiedział o tym od samego początku, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy z Lawrence'em w Stockwell. Była od niego o kilka lat starsza, ale to akurat nie miało żadnego znaczenia. Po śmierci Lawrence'a patrzył na rozpacz Allyson i wtedy nagle zrozumiał, że to nie jest jedynie zauroczenie - on ją naprawdę kochał.

Madeleine Stockwell domyśliła się tego wcześniej niż Allyson, może nawet wcześniej niż on sam, i w tym tkwił największy problem.

Ruszył do ciężarówki. Nie miał powodu winić Madeleine za swoje obecne położenie. Nawet gdyby nie siedział w więzieniu, Allyson i tak zapewne wolałaby utrzymać ich związek w tajemnicy. Był zwykłym, prostym facetem, żyjącym z pracy własnych rąk. Mieszkał z rodzicami, utrzymywał się ze sprzedaży drewna na opał. Rodzina Jericho od kilku pokoleń mieszkała na tej ziemi. Dawniej hodowali krowy, teraz utrzymywali się z handlu drewnem i choinkami. Dzierżawili pastwiska okolicznym farmerom, mieli trochę kur i owiec, zajmowała się nimi Bea Jericho, matka Pita. Myślała o kupieniu kilku kóz, chciała sama wyrabiać kozi ser, ale ojciec Pita odnosił się do tych planów dość sceptycznie.

Aktualnie utrzymywali się głównie z pracy w wiejskich posiadłościach mieszczuchów, a tych posiadłości powstawało coraz więcej w okolicach Bluefield.

Rodzice Pita nie wiedzieli o jego związku z Allyson. Gdyby wiedzieli, na pewno mieliby na ten temat coś do powiedzenia. W sumie dobrze się stało, bo najwyraźniej Allyson postanowiła dość radykalnie zakończyć ten romans. Nie zadzwoniła do niego w tej sprawie, nie odezwała się słowem. Sam miał się domyślić. Już związek z panią wicegubernator nie był łatwy, teraz, kiedy została gubernatorem, stał się wręcz niemożliwy.

Odsiedział pół roku za jakąś idiotyczną burdę w barze i ten fakt na zawsze odmienił jego życie. Musiał jak najszybciej zapomnieć o kobiecie, którą nieprzytomnie kochał.

Wtedy jeszcze nic go nie łączyło z Allyson. Madeleine Stockwell postarała się, by dotarło do niego, że wdowa po jej synu zasługuje na kogoś znacznie lepszego niż Pit Jericho. Pamiętał doskonale tamten pogodny, rześki dzień. Stojąc na tarasie swojej rezydencji, powiedziała, że brak mu ambicji i perspektyw. „Nazywasz się Jericho, to mówi samo za siebie”.

Wiedziała, że Allyson „wpadła mu w oko” - posłużyła się właśnie tym wyrażeniem, by umniejszyć i zbagatelizować jego uczucie. Zażądała, by zostawił jej synową w spokoju.

Wściekły i upokorzony, zamiast do domu, poszedł do baru O'Reilly'ego i wdał się w sprzeczkę z durniem, który czepiał się Bogu ducha winnej dziewczyny. Poleciały wyzwiska, poszły w ruch pięści, potem butelki. On miał otarte knykcie i złamany nos, a przeciwnik rozciętą brodę - w szpitalu założyli mu pięć szwów. Pit uznał sprawę za skończoną,

O'Reilly również. Stary od lat prowadził swój pub, nie chciał przeczytać o bójce w lokalnej gazecie, nienawidził policji i prawników.

Walter Harrison, policjant po służbie, który widział cały incydent, był innego zdania. Najpierw usiłował interweniować, w końcu doprowadził do aresztowania Pita pod zarzutem czynnej napaści.

Nagle sytuacja radykalnie się zmieniła. Dziewczyna zeznała, że pobity mężczyzna wcale jej nie napastował, co więcej, prosiła Pita, by się nie wtrącał. Kłamała w żywe oczy. Poszkodowany, dawny kolega szkolny Pita, twierdził, że został zaatakowany przez Pita, który tego dnia zachowywał się jak szaleniec. Walter podtrzymał tę wersję. O'Reilly w ogóle nie zeznawał. Pit był przekonany, podobnie jak jego ojciec, że w całej sprawie musiała maczać palce Madeleine Stockwell. Kilka kopert z gotówką, kilka zawołowanych gróźb... Allyson zapewne nie zechce związać się z kryminalistą.

Pit wiedział, że został wrobiony, ale Mike Parisi, człowiek, który znał życie i znał Madeleine Stockwell, polecił mu Karę Galway, doskonałą, jego zdaniem, prawniczkę. Wielki Mike nawet po śmierci Lawrence'a nie przestał przyjeżdżać do Bluefield i to on wciągnął Allyson w świat polityki. Mike lubił rodzinę Pita, zawsze dobrze się z nimi dogadywał.

Kara przyjęła sprawę, ale niewiele to dało, przynajmniej w opinii Pita. Nie dążyła do ujawnienia prawdy, sugerowała wręcz, by poszedł na ugodę proponowaną przez prokuratora. Jeśli będzie walczył, może dostać wyższy wyrok, a wtedy osadzą go w ciężkim więzieniu stanowym. Namówiła go, by przyznał się do wykroczenia. To oznaczało pół roku w miejscowym więzieniu.

Pit przystał na jej propozycję, choć bardzo niechętnie. Oczywiście, nie powinien mieć pretensji do Kary, ale kiedy zamknęła się za nim brama więzienia, wiedział, że musi się pożegnać z marzeniami o Allyson. Stało się tak, jak chciała Madeleine.

Ubiegłej jesieni natknął się na Allyson, kiedy przywiózł drewno na opał do stodoły, którą Stockwellowie przerobili na dom mieszkalny. Była sama, dzieci spędzały weekend u kolegów. Poczł się, jakby po latach spotkał starą przyjaciółkę. Od tamtej pory widywali się przy każdej sposobności. Czasami po prostu oglądali razem telewizję i to im wystarczało. Kiedy Allyson była sama, wędrował lasem, by nie zauważyli go Madeleine i Hatch. Teraz, kiedy pani gubernator na okrągło pilnowała ochrona, spotkania nie wchodziły w rachubę.

Poza tym nie odpowiadał mu potajemny romans. Nie chciał tego, wiedział, że ich związek nie ma żadnych szans. Najchętniej ogłosiłby wszystkim, całemu światu, że kocha Allyson Lourdes Stockwell. Ale ona żyła na świeczniku, miała określone zobowiązania, ciążyła na niej odpowiedzialność wynikająca z urzędu.

Koniec końców wyszło na to, że Madeleine wiedziała, co mówi. On i Allyson należeli do różnych światów, nie pasowali do siebie. On był kryminalistą, to piętno będzie mu ciążyć do końca życia.

Allyson nie odezwała się do niego od dnia śmierci Wielkiego Mike'a. Pewnie teraz, kiedy została gubernatorem, żałowała, że w ogóle coś ją łączyło z Pitem. Udawała brak jakichkolwiek ambicji, ale to była tylko poza. Od czasu do czasu zdarzały się jej chwile zwątpienia, co zawsze niepomierne go dziwiło, bo on w nią wierzył bez zastrzeżeń.

Pojawił się Charles Jericho na ciągniku i Pit pomachał do ojca. Charles i Madeleine waśnili się, od kiedy Pit sięgał pamięcią. Ostatnio

kością niezgody stało się żwirowisko, które znajdowało się na granicy gruntów rodziny Jericho i Stockwellów. Madeleine utrzymywała, że Charles specjalnie postanowił wybierać żwir akurat w tym miejscu, jej na złość. Charles na to odpowiadał, że wybiera żwir, skąd się da, a już na pewno nie po to żeby dokuczyć pani dziedziczce. Za trzy lata żwir się wyczerpie i żwirowisko zniknie, a Madeleine musi się pogodzić z istniejącym stanem rzeczy. Charlie zsiadł z traktora.

- Madeleine chce, żeby w tym roku wcześniej dostarczyć drewno na opał i żeby było naprawdę suche. Jakbyśmy kiedyś sprzedali jej wilgotne. Stara wiedźma. - Zakasłał i odruchowo wyciągnął z kieszeni papierosa, jak ktoś inny wyciągnąłby chustkę do nosa. - Powinniśmy liczyć jej podwójnie za to, że jest taka upierdliwa. Taka premia za trudne warunki pracy.

Pit zaśmiał się.

- Dlaczego nie? Ciągłe pomstuje, że wszyscy dookoła ją oszukują. Wreszcie miałyby prawdziwy powód do narzekań.

Ojciec postukał papierosem o pudełko, włożył go do ust i wyłowił z kieszeni zapalniczkę. Od dawna brzydko kasłał, ale nie myślał rzucać palenia. Lubił palić i lubił powtarzać, że na coś trzeba umrzeć. Kiedy dowiedział się o śmierci Wielkiego Mike'a, powiedział:

- No widzisz, mógł spokojnie palić nawet dwie paczki dziennie.

Drewno suszyło się w sierpniowym słońcu. Zwykle ścinali drzewa zimą, obciosywali i korowali wiosną, potem przeciągali pnie ciągnikiem w pobliże żwirowiska, cięli na dwumetrowe kawałki i układali na paletach, żeby nie ciągnęło wilgoci z gruntu. Zwykle pod koniec września, po Święcie Pracy, rąbali je na półmetrowe polana. Dawniej sprzedawali znacznie większe polana, potem ludzie sami rąbali je na mniejsze, ale teraz

chcieli mieć gotowy materiał na opał, jakby już samo ułożenie polan w kominku było wystarczającym wysiłkiem.

- Madeleine przynajmniej płaci od razu, to trzeba jej przyznać. - Charlie wypuścił dym i uśmiechnął się. - I jej czeki zawsze mają pokrycie. Rozmawiałem z chłopakami, którzy wybierają żwir, mówili, że ktoś obcy kręci się w pobliżu. Myśliwi albo dzieciaki. W każdym razie ktoś zamontował taką ambonę czy też platformę na starym dębie, na skraju wyrobiska. Jeśli to dzieciaki, to niebezpieczne. Któreś się poślizgnie i polecą prosto do wyrobiska.

- Rozmontuję to - obiecał Pit.

- Dobrze. Nie chcę tu żadnych wypadków. Pit pokiwał głową.

- Zanim dotarłaby na miejsce pomoc...

- Prędzej dotarłby adwokat. Ktoś złamie nogę i będzie nas potem ciągał po sądach.

- Tato...

Charlie machnął ręką i wsiadł z powrotem na ciągnik, z nieodłącznym papierosem w zębach. Mógłby wrócić pieszo, pomyślał Pit, trochę ruchu dobrze by mu zrobiło, ale Charlie miał jasno sprecyzowany stosunek do tak zwanego zdrowego trybu życia i zawsze powtarzał z uporem: „to nie dla mnie”.

Ojciec odjechał, a Pit poszedł na skraj zwirowiska. Nikt tam dzisiaj nie pracował. Jesienią skończą wybierać resztę żwiru, zasypią wyrobisko, doprowadzą do porządku zniszczony teren. Teraz wyglądało to paskudnie - przepastna dziura w zboczu wzgórza, wokół unieruchomione maszyny - ale za kilka lat wszystko wróci do dawnego stanu.

Rozejrzył się, a potem rozpoczął wspinaczkę na szczyt wzgórza, wysuniętego najdalej na północ skrawka gruntów należących do jego

rodziny. Ich dom znajdował się w przeciwnym kierunku, za żwirowiskiem i polami, w pobliżu szosy. Dalej na północ rozciągały się włości Stockwellów.

Na południe i na zachód od wzgórza zaczynały się niewielkie działki z domami letniskowymi.

Pit dotarł do starego dębu, najwyższego drzewa na szczycie wzgórza. Rosło tak blisko niemal pionowej ściany wyrobiska, że część korzeni była odsłonięta. Z konara po drugiej stronie zwisała sznurowa drabinka. Tędy, południowym zboczem, przez gęsty las bukowy, można było dojść do domku, który wynajmował Mike Parisi.

Wysoko w koronie dębu Pit dojrzał byle jak skleconą platformę ze starych desek.

Ani chybi robota dzieciaków.

Wspiął się po drabince, kiedy dotarł na górę, chwycił się gałęzi i wylądował na platformie. Była znacznie solidniejsza i większa, niż myślał. Ktoś zostawił tu zardzewiały młotek, trochę gwoździ, butelkę wody i lornetkę.

Na gałęzi wisiała biała koszulka polo. Pit zdjął ją i zobaczył wszywkę na wewnętrznej stronie kołnierzyka. „Henry Stockwell”.

Uśmiechnął się. No, no, kto by pomyślał... Lillian pewnie mu pomagała. Musieli poświęcić na to większą część lata.

Sięgnął po lornetkę, przetarł mocno zabrudzone szkła i podniósł ją do oczu. Wyrobisko nie przedstawiało ciekawego widoku, ale dzieciaki pewnie chętnie obserwowały pracę robotników. Spojrzał w przeciwnym kierunku, na południowy zachód, na ciągnące się po widnokrąg wzgórza pod błękitnym niebem.

Zniżył trochę lornetkę, zmienił ostrość i dojrzał... dach domu, który wynajmował Mike Parisi. Ponownie wyregulował ostrość.

- Jezu Chryste.

Pit poczuł lodowate zimno, jakby to był grudzień, a nie środek lata.

Przez lornetkę Lillian i Henry mogli widzieć, co się dzieje nad basenem w ogrodzie Parisiego. Mogli oboje obserwować Mike'a, kiedy wpadł do basenu. Byli w tamten weekend w Bluefield.

Widzieli, jak ich przyjaciel walczy o życie?

Patrzyli, jak tonie?

Nawet jeśli tak, nie zdążyliby zbiec ze wzgórza i dotrzeć na czas, żeby go uratować.

Jak się zachowali? Pobiegli w stronę jego domu czy siedzieli na drzewie sparaliżowani trwogą?

Dlaczego nie powiedzieli nikomu ani słowa? Pit rozumiał ich motywy. Jeśli widzieli całe zajście, policja zaczęłaby dręczyć ich pytaniami i dzieci musiałyby szczegółowo opowiadać o śmierci gubernatora. Pewnie instynktownie przeczuwali, że nikt, być może z wyjątkiem najbardziej zajadłych wrogów ich matki, nie chciałby usłyszeć opowieści o tym, jak to dzieci nowej pani gubernator patrzyły na śmierć Wielkiego Mike'a.

Pit zaklął pod nosem i zszedł po drabince.

Dałeś się ponieść wyobraźni, powtarzał sobie. Dzieciaki prawie na pewno nic nie widziały.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Postaraj się o nakaz. - Ton głosu jasno wskazywał, że Jack nie zamierza patyczkować się z siostrą, a Sam tę postawę w pełni popierał. - Albo nie, zaczekaj na mnie. Osobiście włamię się, cholera, do jej domu. Będę za godzinę.

W Austin była ósma rano, małych Stockwellów dotąd nie odnaleziono. Kompletnie wykończony Sam podjechał do jakiejś całodobowej knajpy na śniadanie. Przełknął w pośpiechu jedzenie i wypił kilka kubków mocnej kawy. Policja znalazła taksówkarza, który przypomniał sobie, że wioził poprzedniego dnia dwoje dzieci podobnych do poszukiwanych. Nie zawiózł ich co prawda do Kary, wysiadły jednak dość blisko jej domu. Nie zwrócił szczególnej uwagi na dwoje małych pasażerów, niczym się nie wyróżniali, ale zapamiętał ich. Oboje byli bardzo uprzejmi, mieli jankeski akcent i dali duży napiwek.

Sam natychmiast pojechał do bungalowu Kary, niestety, spóźnił się. Kara zdążyła zniknąć. Został dom pogrążony w ciemnościach, drzwi zamknięte na głucho, śladu samochodu na podjeździe. Żadnej informacji.

Kara była adwokatem. Wiedziała, że nie wolno jej zostawić śladów, które później mogłyby zostać wykorzystane przeciwko niej albo jej chrześniakom, o ile wpadliby w kłopoty. A chyba wpadli, tak to wygląda, monologował Sam w myślach.

Natomiast z Connecticut napływały bardzo stonowane komentarze. Stryj dzieci i doradca ich matki, Hatch Corrigan, oznajmił policji w Austin, że zarówno on jak i Allyson ufają całkowicie Karze i jeśli dzieci są rzeczywiście z nią, nie ma powodów do niepokoju. Kara z pewnością

odezwie się do Allyson. A że dzieci dotarły na własną rękę do Austin, do domu ciotki? I co w tym dziwnego? Są samodzielne i potrafią sobie świetnie radzić.

Sam nie podzielał optymizmu Corrigan, tak samo brat Kary. Być może tym z Connecticut chodziło tylko o przystopowanie działań teksańskiej policji i blokadę informacji. Allyson i Corrigan najwyraźniej nie chcieli, żeby cokolwiek przedostało się do publicznej wiadomości, a sama Kara wcześniej mówiła, że jej przyjaciółka prosiła, by organa ścigania w Teksasie nie podejmowały żadnej akcji. Można to było zrozumieć, zważywszy, w jakich okolicznościach pani Stockwell objęła urząd. Jej ludzie chcieli uniknąć szumu wokół ucieczki dzieci, szczególnie teraz, kiedy prawdopodobnie były pod dobrą opieką. Sam nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić. Dla niego postępowanie Kary pozostawało niejasne. Jack był tego samego zdania i jechał już do Austin.

Sam popijał kawę. Kiedy w nocy złożył wizytę Karze, powinien był zdjąć blachę, oświadczyć, że przychodzi prywatnie i wdrzeć się do domu.

Ta cholerna kukurydza... to dzieci ją jadły, nie Kara.

Nie okłamała go wprost, ale była tego bliska, świadomie wprowadziła go w błąd w sprawie dwojga nieletnich uciekinierów, tak to wyglądało od strony formalnej.

Nie powiedział nic jej bratu, ale Jack sam wszystkiego się domyślił. Był przenikliwy, może aż nazbyt. Jeśli skojarzyć następujące fakty: wernisaż, kawa, alibi Kary, wczorajsza wyprawa Sama do jej domu, złoży wszystko w logiczną całość.

- Gdzie się spotkamy? - zapytał Sam.

- W galerii moich teściów. Na razie nie zamierzam wszczynać oficjalnego śledztwa.

Sam westchnął i położył telefon na stoliku koło talerza. Oczy piekły go tak, jakby ktoś sypnął mu w twarz gorącym piaskiem. Odsunął talerz z jajkami na bekonie, nagle stracił apetyt. Próbował twardo trzymać się faktów, nie wyciągać pochopnych wniosków. Ostatniej nocy Kara była wyraźnie zdenerwowana, przestraszona, czuł to, widział.

Telefon odezwał się znowu. Sam miał nadzieję, że to ktoś z policji w Austin z wiadomością, że dzieci pani gubernator Stockwell znalazły się i że Kary z nimi nie było.

Dzwoniła Susanna Galway.

- Gdzie jesteś, Sam?

- W barze blisko lotniska w Austin.

- Świetnie. To niedaleko. Przyjedź do galerii moich rodziców, jak najszybciej. Powiedzmy za piętnaście minut, dobrze? Czekam na ciebie. Nic nie mów Jackowi...

- Właśnie tam się z nim umówiłem.

- W galerii?

- Tak. Powinien być mniej więcej za godzinę. Susanna zaklęła.

- Trudno. Mamy jeszcze trochę czasu. Przyjeżdżaj, Sam.

Natychmiast.

Poczuł gęsią skórę na plecach.

- Susanno...

Ale Susanna już się rozłączyła. Sam zapłacił i wyszedł. Miał wielką ochotę wyrzucić blachę do najbliższego kosza na śmieci i zapomnieć, kim jest. Już widział, jak Jack dobierze mu się do skóry. Jego kobiety ciągle przysparzały mu kłopotów: żona, córki, siostrzyczka. Pół roku temu w Adirondack Sam przekonał się na własnej skórze, do czego zdolne są damy z rodziny Jacka, a jednak pozwolił się omotać Karze.

Pojechał do galerii Dunningów. Jeszcze zanim zaparkował, wiedział, że przyjeżdżając tu, popełnił kolejny błąd.

Susanna czekała już na niego przy wejściu. Bez słowa poprowadziła go przez salę, w której wisiały obrazy Gordona, głównie pejzaże. Szczególnie jedno płótno zwróciło jego uwagę, słoneczny, pustynny krajobraz w żywych kolorach, ale nie zatrzymał się, żeby dokładniej obejrzeć dzieło ojca.

Kiedy weszli do małego pokoju na zapleczu, Susanna starannie zamknęła drzwi i oparła się o nie, jakby się bała, że Sam ucieknie.

- Dziękuję, że przyjechałeś. - Miała na sobie prostą sukienkę i sandały, ani śladu makijażu, żadnej biżuterii, włosy gładko ściągnięte do tyłu i przewiązane pomarańczową bandaną. Ostatniej zimy Sam widział przerażenie w jej zielonych oczach, teraz pojawiło się znowu. Jednak oprócz strachu zobaczył też gniew.

- Sam, Chryste...

- Co się dzieje, Susanno? Dobrze się czujesz? Podniosła rękę.

- Wszystko w porządku. Chcę cię prosić o przysługę. Nie możesz odmówić. Po prostu nie możesz, Sam.

Sam zmrużył oczy. Znał Susannę, uwielbiała te swoje małe sekrety.

- Słucham.

- Jasne, słuchasz, ale już zaczynasz coś podejrzewać. - Próbowwała się uśmiechnąć, bez rezultatu.

- Najpierw musisz mi obiecać...

- Nie mogę obiecywać w ciemno.

- Dobrze, dobrze. I tak nie powiesz Jackowi. To byłoby głupie posunięcie, a ty nie jesteś głupi. To znaczy w niektórych sprawach jesteś głupi, zupełnie jak moja szwagierka, ale... - Susanna zdawała się mówić

bardziej do siebie niż do Sama. Jedną stopę oparła o drzwi, jakby zamierzała zaraz w nie kopnąć.

- Nie ma żadnych dowodów wskazujących, że zostało popełnione przestępstwo, więc nie dopuścisz się zaniedbania... Nigdy nie poprosiłabym cię o zatajenie przestępstwa. Prawdziwego przestępstwa.

- Susanno, zacznij mówić jak człowiek albo cię zwiążę, zaknebluję i poczekamy na Jacka.

- Akurat. Dobrze wiem, kogo byś najchętniej związał i zakneblował. A zatem wiedziała... Samowi udało się zachować kamienną twarz.

Susanna ściągnęła z włosów bandanę, otarła nią czoło i ciężko westchnęła.

- Najchętniej zapomniałabym o wszystkim, ale nie mogę, Sam. Kara wpadła do mnie na moment o szóstej rano, kilka minut po tym, jak Jack wyszedł do pracy. Najwidoczniej zaparkowała za rogiem i czekała, aż on odjedzie.

- Była sama.

- Weszła sama, ale nie wiem, czy w samochodzie siedział ktoś jeszcze. Wyglądała okropnie. Wiem, że jest przepracowana, przybita śmiercią Wielkiego Mike'a, a teraz jeszcze ta ucieczka dzieciaków...

- Mów, Susanno, co się wydarzyło. O problemach emocjonalnych porozmawiamy później.

Susanna odsunęła się od drzwi. Była inteligentną kobietą. Skończyła studia, wychowując równocześnie bliźniaczki, a potem dzięki dobrym inwestycjom zamieniła swój skromny kapitał w wielomilionową fortunę, do czego długo nie przyznawała się Jackowi. Bała się, że pieniądze zniszczą ich małżeństwo, ale on i tak doszedł prawdy. Rzeczywiście omal

nie doszło do rozwodu, ale nie przez pieniądze, tylko przez lęki Susanny, bo pieniądze nic w ich życiu nie zmieniły.

Ostatniej zimy w Adirondack Sam miał okazję przekonać się naocznie, jak bardzo Jack kocha żonę. Po kilkunastu miesiącach separacji - Susanna, zastraszona przez mordercę, nad którego sprawą pracował Galway, uciekła wtedy do Bostonu - i tragicznych wydarzeniach nad jeziorem Blackwater, tych dwoje doszło wreszcie do porozumienia.

Susanna wróciła do San Antonio zakochana w mężu jak dawniej. Sam obserwował ich z zazdrością, przekonany, że nie byłby zdolny do takiej miłości. Gdy zastanawiał się dlaczego, dochodził do wniosku, że jedną z przyczyn mogą być przeżycia z dzieciństwa. Widać gdzieś głęboko wciąż tkwił w nim uraz wywołany brakiem ojca.

Sam szczerze lubił i podziwiał Susannę, ale akurat w tych sprawach nigdy nie mógł dojść z nią do porozumienia. Nie uznawała kompromisów w miłości i hołdowała zasadzie: wszystko albo nic.

- Była okropnie blada, skarżyła się na nudności - ciągnęła Susanna. - Nie chciała żadnego lekarstwa, wzięła tylko butelkę wody mineralnej, powiedziała, że przez całą noc nie zmrużyła oka, no a rano wsiadła do samochodu i ruszyła wprost przed siebie.

- I przypadkiem dojechała do waszego domu?

- Powtarzam ci, co mówiła.

Pięć minut po tym, jak Jack wyszedł do pracy...

- Maggie i Ellen jeszcze spały. - Susanna zaczęła bawić się bandaną.

- Porozmawialiśmy chwilę i Kara się pożegnała.

- Musiałaś wyjechać z domu wkrótce potem. Nie planowałaś tej podróży?

Susanna pokręciła głową i zaczęła oglądać uważnie własne paznokcie. Musiała się przemóc, żeby powiedzieć, co miała do powiedzenia. Sam jej nie popędzał. Nie przyjechała przecież do Austin, by mu zakomunikować, że Kara wpadła do niej o szóstej rano wziąć z lodówki butelkę wody mineralnej.

- Sam, ja... - Zginała i rozprostowywała palce, jakby bała się, że zaraz zeszywnieją. - Zaniepokoiła mnie jej wizyta. Wsiadłam w samochód i przyjechałam tutaj. Nie zastałam Kary w domu. Próbowałam dzwonić na komórkę, ale włączyła pocztę głosową.

- Też próbowałam dodzwonić się do niej. Susanna machinalnie pokiwała głową i usiadła na taborecie przy oknie wychodzącym na niewielki trawnik pełen słoneczników.

- Kiedy jechałam tutaj, zadzwonił do mnie ktoś z obsługi lotniska, na którym Jack trzyma swój samolot.

To była jedyna finansowa fanaberia Galwayów: mały, prywatny samolot. Mogli w każdej chwili odwiedzić babkę Susanny w Bostonie, mogli polecieć na weekend do swojej chaty na jeziorze Blackwater w Adirondack. Obydwoje pilotowali, ale umówili się, że samolot należy do Jacka.

Susanna zamilkła i Sam uznał, że jednak musi sprowokować ją do mówienia.

- Lada chwila zjawi się Jack...

- Chłopak z kontroli lotów miał jakieś rutynowe pytania, a potem dodał, że Kara już wystartowała i że dobry z niej pilot.

Samowi zrobiło się gorąco, małe pomieszczenie nagle zamieniło się w klatkę.

- Chryste... Kara wzięła samolot Jacka? Bez jego zgody?

- Pewnie. Wiedziała, że na lotnisku nie będą robili jej problemów. Znają ją, wiedzą, że może korzystać z samolotu. Zawsze to robi za wiedzą Jacka. Tym razem zwędziła kluczyki. To znaczy, pożyczyła - poprawiła się szybko Susanna. - Zrobiła to pewnie, kiedy szukałam w lodówce wody mineralnej. Pożyczyła moje kluczyki.

- Nie pożyczyła, tylko ukradła.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Jack jest jej bratem.

- I nazwie to tak samo jak ja.

Susanna pokiwała głową, westchnęła i ponownie związała włosy bandaną. Jej szwagierka oszalała, Susanna to widziała i czuła. Nachyliła się ku Samowi, założyła ręce na piersi i spojrzała na niego jak na dziecko, które nie rozumie najprostszycch rzeczy.

- Mam to powiedzieć jeszcze wyraźniej?

- Na razie nic mi nie powiedziałaś, udzieliłaś tylko kilku niepokojących informacji.

- Znajdź ją, Sam. Nie zareagował.

- Martwi mnie, że wzięła samolot. Latała już nim, to prawda. W szkole średniej zrobiła kurs pilotażu, podobnie jak Jack. Ich ojciec uznał, że dla obojga będzie to dobra forma terapii. Zawsze mobilizował dzieci do różnych działań, rozwijał w nich zainteresowania i ambicje. Jack skończył Harvard, Kara Yale. Nie chciał, żeby po śmierci matki poddały się rozpaczcy. Tak właśnie to widział, rozpacz była dla niego synonimem słabości. - Rysy Susanny złagodniały. - Po co ja ci to opowiadam? Wiesz na ten temat tyle samo co ja... Sam milczał.

- Daj spokój, Sam. W porządku, nie oczekuję potwierdzenia. Nie musisz mi mówić, że Kara wpadła ci w oko jeszcze przed wernisażem

Gordona Temple'a, nie zależy mi na twoich zwierzeniach. Po prostu ją znajdź i sprowadź do domu.

Sam wiedział jedno - w tej chwili przeżywał emocje, których wolał nie zgłębiać.

- Domyślasz się, dokąd mogła polecieć?

Na ustach Susanny natychmiast pojawił się zjadliwy uśmiezek.

- Nie zamierzasz puścić pary z ust, tak? Rozmawiałam z mamą na wasz temat. Ona też zauważyła, że między wami coś iskrzy. Zwróciła na to uwagę podczas wernisażu. Pewnych rzeczy nie da się ukryć. Ja też to widziałam wczoraj wieczorem. Musiałabym być ślepa, żeby nie zauważyć. Jack niczego się nie domyśla, ale on już taki jest, szczególnie jeśli chodzi o Karę. Nawet mu na myśl nie przyjdzie, że jego siostra mogłaby sypiać z jakimś facetem.

- Jezu, Susanna... Susanna wstała z taboretu.

- Przed startem podała wieży trasę lotu i cel podróży - lotnisko pod Bostonem, z którego zawsze korzystamy. Oczywiście po drodze może zmienić kurs i wylądować w zupełnie innym miejscu.

- Stockwellowie mieszkają w Connecticut.

- Wiem. Kara powinna kierować się raczej do

Hartford, ale wiele razy latała do Bostonu ze mną i z Jackiem. Zna dobrze tamto lotnisko. Czasami wyprawiała się na weekend do mojej babci, kiedy ja nie mogłam lecieć, a babcia nie chciała przylecieć do nas. Babcia nie lubi podróżować.

Iris Dunning była wyjątkową osobą i jedną z najwspanialszych dam, jakie Samowi zdarzyło się poznać. Jednak podobnie jak jej wnuczka była niezwykle uparta i tak samo kochała sekrety.

- Iris gotowa jest ukryć dzieciaki pod własnym łóżkiem i łąć w żywe oczy, że w ogóle nie ma pojęcia o ich istnieniu, jeśli Kara ją o to poprosi. Szczególnie gdy będzie przekonana, że grozi im niebezpieczeństwo - zakończyła Susanna.

- To tylko hipotezy - mruknął Sam. Susanna kiwnęła głową, ale niepokój nie zniknął z jej twarzy.

- Nikt na lotnisku w Bostonie nie zdziwi się, jeśli Kara zostawi tam samolot na kilka dni. Nie wydaje mi się, żeby ktoś we wschodnim Massachusetts rozpoznał w Lillian i Henrym dzieci pani gubernator stanu Connecticut.

Do Sama dopiero teraz tak naprawdę dotarło, o co prosi go Susanna.

- Chcesz, żebym poleciał do Bostonu.

- Zarezerwowałam ci już bilet na popołudniowy lot z Austin. Wedle moich obliczeń, uwzględniając międzylądowania dla zatankowania paliwa, Kara będzie na miejscu wczesnym popołudniem. Ma nad tobą znaczną przewagę. - Susanna stanęła na wprost Sama. Była kobietą stanowczą, która wie, czego chce i która nie zbacza z raz obranej drogi. - Coś tu nie gra, Sam. Nie chcę, żeby napytała sobie biedy, a chyba gotowa jest popełnić jakieś głupstwo. Zachowuje się jak kompletna wariatka.

Zanim jeszcze Sam wylądował w łóżku z Karą, Jack opowiadał mu, że jego siostra wiecznie wpadała w tarapaty. Taki już miała temperament, zawsze stawiała po stronie słabszych, odepchniętych, lekceważonych. Dlatego została adwokatem i nadal broniła pokrzywdzonych w imię sprawiedliwości oraz zasady domniemanej niewinności.

Tak to widział Jack, acz nie do końca pochwalał postawę siostry.

- Ona ma po prostu miękkie serce - powiedział kiedyś z ciepłym uśmiechem.

Samowi ze zmęczenia kręciło się w głowie. Powinien się ogolić, wziąć prysznic, przebrać w czyste rzeczy. Przede wszystkim powinien się przespać.

- Nie jestem nawet spakowany...

- Pomyślałam o tym. Jack ma klucz od twojego mieszkania, prawda? Pozwoliłam sobie spakować cię. Torba podróżna jest w samochodzie. -

Uśmiechnęła się trochę niepewnie. - Wyrzuciłam też kurczaka, którego sto lat temu zostawiłeś na blacie kuchennym i który był już zielony. Jezu, cuchnęło w całym mieszkaniu.

Wyczuł w jej opowieści jakąś fałszywą nutę, ale Susanna chyba też się zorientowała i teraz próbowała go zagadać, a był zbyt zmęczony, żeby jasno myśleć.

Popchnęła go ku drzwiom, gadając o rozkładzie lotów i międzylądowaniach. Rzucała jakimiś liczbami, jednym słowem uruchomiła na pełny regulator mechanizm obronny. Nie pozwalała mu się skupić, zebrać myśli.

- Dlaczego nie poprosisz Jacka, żeby poleciał za Karą?

- Gdybym poprosiła, zadzwoniłby do Bostonu i zażądał, by tamtejsza policja aresztowała Karę zaraz po wylądowaniu.

Samowi pomysł wydał się całkiem sensowny. Sam chętnie wprowadziłby go w czyn.

Znaleźli się w klimatyzowanej sali ekspozycyjnej, wypełnionej pracami Gordona Temple'a. Susanna uśmiechnęła się chłodno, była teraz znacznie spokojniejsza, pewna swego.

- Poza tym nie chcesz chyba, żeby Kara wyjaśniała bratu, dlaczego jest w takim kiepskim stanie.

- Wydaje ci się, że masz mnie w garści, prawda?

- Nie wydaje mi się. Mam cię w garści.
- Jeśli dzieciaki poleciały z nią do Bostonu...
- Jeśli poleciały, powinniśmy dziękować Bogu, bo to oznacza, że są bezpieczne. - Susanna dotknęła lekko ramienia Sama. - Sam, wiem, że jesteś Strażnikiem Teksasu, ale ja cię proszę o osobistą przysługę.
- Nie żartuj.
- Dla Kary i dla dzieci śmierć Wielkiego Mike'a była ciężkim przeżyciem. Polecisz do Bostonu?
- Wiedziałaś od samego początku, że polecę.
- Sam stawiał w tej chwili na szali całą swoją karierę.
- Poradź mi tylko, co mam powiedzieć twojemu mężowi, skoro jesteś taka mądra.

Susanna uśmiechnęła się chytrze.

- Zostaw to mnie.

Sam zastał Evę w ogródku. Na głowie miała płócienny kapelusz z szerokim rondem, na nogach sportowe sandały, do tego starą dżinsową bluzę, ale mimo to wyglądała elegancko. Była niższa od córki, mocno zbudowana i nie miała zielonych oczu, te Susanna odziedziczyła po Dunningach. Eva, osoba serdeczna i bezpośrednia, była utalentowaną artystką, podobnie jak jej mąż. Obydwoje przez całe życie przenosili się z miejsca na miejsce i wszystko wskazywało na to, że i w Austin nie zagrzeją zbyt długo miejsca.

Ich galeria znajdowała się niedaleko domu Kary.

- Już zapomniałam, jakie skwarne są tutaj lata. Jestem wykończona - odezwała się na widok Sama. - Susanna w galerii?

Sam skinął głową.

- Lada chwila powinien zjawić się Jack.

- Tak?

Kevin i Eva nie byli snobami, ale nie mogli przywyknąć do myśli, że ich zięć jest Strażnikiem Teksasu. Sam nie miał ani doświadczenia Jacka w obchodzeniu się z Dunningami, ani jego cierpliwości. Nie miał też wątpliwości, że Eva zna zamiary Kary.

- Widziała się pani ostatnio z Karą?

- Ostatnio, to znaczy kiedy?

- Na przykład wczoraj wieczorem.

Eva ścięła kolejny słonecznik i włożyła go do wiaderka z wodą.

- Dlaczego pytasz? Coś się stało?

- Może. Mam nadzieję, że nie. Widziała się pani z nią wczoraj wieczorem?

- Temple, czy to oficjalne przesłuchanie? - Eva dostała wypieków, ale gdyby o tym wspomniał, powiedziała by, że to od upału. - Powinnam rozmawiać z tobą w obecności mojego adwokata?

Bingo, pomyślał Sam. Kara bała się jego powtórnej wizyty i przyjechała w nocy do Dunningów, może nawet spędziła tu noc i nad ranem ruszyła do San Antonio.

Samowi zrobiło się głupio, że wprawił Evę w zakłopotanie. Jego życie osobiste splotło się niefortunnie z zawodowym tamtego wieczoru, kiedy wyszedł z galerii Dunningów w towarzystwie Katy. Teraz musiał ponieść konsekwencje.

- Powiem pani, co myślę. - Dotknął okazałego słonecznika i spojrzał na Evę. - Otóż według mnie Kara pojawiła się u was wczorajszej nocy i powiedziała, że boi się mojej wizyty i pytań, które mógłbym jej zadawać.

Poprosiła o gościnę i zapewniła, że nie grożą wam z tego powodu żadne kłopoty. Uwierzyliście jej, bo jest przecież adwokatem, bo to siostra Jacka, bo wyglądała na zdesperowaną.

- Sam...

Sam podniósł rękę.

- Madame, nie mówię, że popełniła pani przestępstwo. Chcę po prostu ustalić kilka faktów, zanim wsadzę głowę w paszczę lwa.

Eva wyprostowała się powoli, po czym spojrzała uważnie na Sama.

- Kara już włożyła?

- Otóż to, pani Dunning.

Eva pokiwała głową, zbladła lekko.

- Tak też myślałam.

- Była sama?

- Nie wiem. Nic nie mówiła. W ogóle nie weszła do domu. Prosiła tylko, żebym jej pożyczyła mój samochód.

- Wyjaśniła dlaczego?

- Podobno jej nawalił, nie tłumaczyła, co się zepsuło.

Nic się nie zepsuło, po prostu bała się, że Sam zawiadomi patrolę drogową.

- Dałam jej kluczyki. Wspomniała, że chciałyby się zdrzemnąć, zanim ruszy w drogę. Zaprosiłam ją do nas, ale odmówiła.

- Spała w samochodzie?

- Tak. Wyjechała około czwartej nad ranem. Chciałam wyjść i zajrzeć do niej, zobaczyć, jak się czuje. Znam ją od dziecka, Sam. Zawsze była bardzo odpowiedzialna, zorganizowana, zawsze wyraźnie odróżniała dobro od zła. - Taka bezkompromisowość bywa czasami irytująca. Eva

wzięła głęboki oddech, nad jej górną wargą pojawiły się kropelki potu. - Jeśli ma kłopoty, stanę za nią murem, i lepiej, żebyś o tym wiedział, Sam.

Sam przyjął oświadczenie Ewy zgodnie z intencją, z jaką je wypowiedziała, czyli jako pogroźkę.

Klan Dunningów i Galwayów skoczy mu do gardła, jeśli dojdą do wniosku, że zniszczył Karze życie, między innymi dlatego próbował, dopóki mógł, unikać pani mecenas. Zaprzętała jego myśli od wielu miesięcy, ale bał się do niej zbliżyć. Była pilnie strzeżonym skarbem, małą siostrzyczką Jacka.

Sam jeszcze teraz czuł jej ciało pod ciężarem swojego ciała, słyszał jej ciche westchnienia, kiedy wchodził w nią głębiej...

Zdecydowanie za bardzo się pospieszył. Tamtego wieczoru była zupełnie rozbita, nie wiedziała, co robi, powinien to dostrzec.

Ale nie dostrzegł, ponieważ też był wytracony z równowagi.

- Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas. - Skłonił głowę przed Ewą Dunning. - Na pewno wszystko dobrze się skończy.

Wyjął z samochodu Susanny torbę, którą mu przygotowała i rzucił ją na przednie siedzenie. Jego organizm rozpaczliwie domagał się snu, a mózg chwili spokoju. Powinien odpocząć, zastanowić się. Co takiego zaniepokoiło go w historyjce Susanny? Co to było?

Gdyby trochę zmarudził, doczekałby przyjazdu Jacka. Najpierw zostałyby przez niego zrugany, a potem mogliby razem ustalić plan działania. Jednak zamiast czekać na Jacka, wsiadł do samochodu i odjechał.

Mniej więcej w połowie drogi na lotnisko jego mózg zaskoczył tak gwałtownie, że Sam omal nie zjechał do rowu. Zatrzymał się i wystukał numer komórki Susanny, wściekły na nią i jej pokrętne metody działania.

Odebrała po trzecim sygnale. Zobaczyła na wyświetlaczu, kto dzwoni i pewnie wahała się, czy w ogóle odebrać.

- Byłaś w drodze do Austin, kiedy zadzwonili do ciebie z lotniska - zaatakował od razu. - Jakim cudem mnie spakowałaś? Po co jechałaś do Austin, skoro nie wiedziałaś, że Kara wzięła samolot?

- Sam, Jack właśnie podjechał...

- Więc odpowiedz szybko albo natychmiast wracam do galerii.

- Dobrze, już dobrze. Skłamałam. Sama zadzwoniłam na lotnisko.

- Kiedy?

- W drodze do Austin, po wizycie w twoim mieszkaniu i spakowaniu torby podróżnej. Chciałam się upewnić. Wiedziałam już, że zabrała kluczyk.

- Dałaś go jej?

- Nie. Nie postawiłaby mnie w takiej sytuacji. Domyśliłam się po jej wyjściu.

Sam milczał. Susanna dobrze wiedziała, o co ją teraz zapyta.

- Jeśli jedziesz, może zatrzymaj się na chwilę - powiedziała cicho.

- Susanna, masz dwie sekundy. Potem odkładam słuchawkę, wracam do galerii i mówię o wszystkim Jackowi. Kiedy ostatnio wdałem się w sprawy Galwayów, omal nie zginąłem.

- Kara włamała się do szafki z bronią - wyrzuciła z siebie Susanna. - Powiedziała, że musi iść do łazienki. O samolocie pomyślałam, kiedy zobaczyłam, że brakuje jednego z pistoletów Jacka.

- Chryste.

- Właściwie to się nie włamała. Otworzyła sobie. Ma kluczyk. Ma duplikaty wszystkich naszych kluczy, z wyjątkiem tego do samolotu.

- Co wzięła?

- Colta 45, tak mi się wydaje.

Sam miał wrażenie, że pulsujący ból zaraz rozsądzi mu czaszkę. W co on się wpakował?

- Kara umie posługiwać się bronią?

- Uczyła się strzelać w szkole średniej, w wolnych chwilach, kiedy nie miała akurat zajęć z pilotażu. Jej ojciec...

Sam wiedział wszystko o panu Galwayu, który pracował na dwóch etatach, żeby dzieciom niczego nie brakowało.

- Musi mieć pozwolenie na broń, wydane tam, dokąd leci.

Dokądkolwiek leci. Nie może, ot tak sobie, pojawić się w innym stanie z bronią i... - Przerwał, bo Susanna była świadoma tego, co zrobiła jej szwagierka.

- Cholera, ona nie ma nawet teksańskiego pozwolenia na posiadanie broni. Ukradła tego colta. Należałoby ją aresztować.

- Ona się boi, Sam. Widziałam strach w jej oczach.

- W takim razie powinna była zadzwonić na policję.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kara po przylocie do Bostonu wynajęła samochód. Usadowiła Lillian z przodu, Henry'ego na tylnym siedzeniu. W drodze do Connecticut dzieci prawie się nie odzywały. Zbliżali się właśnie do Hartford. Lillian skończyła czytać pierwszy tom przygód Harry'ego Pottera, zamknęła książkę i patrzyła niewidzącym wzrokiem przed siebie.

- O czym myślisz? - zagadnęła Kara.

- Poślą nas do poprawczaka?

Henry, który sprawiał wrażenie nieobecnego, wyprostował się gwałtownie.

- Nie uciekliśmy, Lil. Zrobiliśmy tylko to, o co prosiła nas mama. Do poprawczaków trafiają młodociani przestępcy.

Natomiast do więzienia idą dorośli, którzy kradną samoloty i pistolety, wprowadzają w błąd Strażników Teksasu, a potem uciekają z zaginionymi dziećmi pani gubernator, pomyślała Kara i niewiele było w tym przesady. Zastanawiała się, jak wielką ma przewagę nad Samem i bratem. Prawdopodobnie niewielką, jeśli Susanna zaczęła mówić. Musiała się zorientować, że zniknął kluczyk do samolotu i colt.

- Nie martwiłabym się teraz poprawczakiem - powiedziała cicho. - Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Przede wszystkim musimy dotrzeć do Stonebrook.

Był wczesny wieczór, ciepły i spokojny. Teraz, kiedy wydostała się z Teksasu i trochę ochłoneła, doszła do wniosku, że od wczoraj zachowywała się jak osoba niespełna rozumu. Udzieliło się jej przerażenie dzieci, straciła zdolność trzeźwej oceny sytuacji, zupełnie się zagubiła.

Teraz odzyskała spokój, przynajmniej do pewnego stopnia. Zastosuje się do instrukcji zawartych w liście, zawiezie dzieci do Stonebrook Cottage, do matki. Jeśli przy okazji zagra na nosie dwóm Strażnikom Teksasu, trudno.

Dzieci też się uspokoiły, widząc, że ciotka stanęła po ich stronie, przestała szukać niespójności w ich historii i zadawać podchwytliwe pytania. Kara nie zamierzała oceniać zachowania Lillian i Henry'ego, nie była ich matką.

Teraz martwiła się tylko tym, co usłyszy w swojej poczcie głosowej, albo, mówiąc dokładniej, czego nie usłyszy. W nocy nagrał się Sam: „Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? Zadzwoń do mnie”. Nie oddzwoniła. Wyłączyła komórkę, a kiedy włączyła ją w Bostonie, spodziewała się wiadomości od Sama, Jacka i Susanny nakazujących jej powrót do Teksasu. Nie było nic.

Mogło to oznaczać, że wszyscy zgodnie uznali ją za wariatkę, której lepiej nie drażnić. Albo wprost przeciwnie, pozostawili jej wolną rękę, pokładając dużą ufność w jej rozsądek. To drugie było mało prawdopodobne. Ani Jack, ani Sam nie należeli do ludzi gotowych biernie czekać na rozwój wydarzeń. Susanna zresztą też nie.

Po wylądowaniu w Bostonie Kara zostawiła za sobą tyle śladów, że średnio doświadczony policjant odszukałby ją bez trudu. Mogło to, oczywiście, świadczyć na jej korzyść - proszę bardzo, nie mam nic do ukrycia.

Nie dało się tego powiedzieć o serii głupot, których dopuściła się w nocy i rano.

Żałowała teraz, że ukradła Jackowi broń. Zrobiła to bez zastanowienia, w napadzie paniki, powodowana lękiem o bezpieczeństwo

dzieci. Weszła do gabinetu Jacka, otworzyła szafkę z bronią i ukryła colta w spodniach. Jack natychmiast by się domyślił, Susanna nic nie zauważyła.

Pocieszała się, że starczyło jej rozsądku, by wyjąć magazynek, pistolet ukryć głęboko w walizce, a naboje w torbie. Tym sposobem zabezpieczyła się niejako przed dalszymi konsekwencjami własnej głupoty.

Wiedziała, że Jack wybaczy jej numer z samolotem, ale nie kradzież broni.

Przed opuszczeniem Teksasu wykonała jedno mądre posunięcie, prosząc Evę Dunning, by obejrzała rzekomy list Allyson. Eva była biegłym grafologiem. Kara podczas pakowania znalazła jakąś starą pocztówkę od Allyson, potem zrobiła ksero listu, wycięła z kopii kilka niewinnie brzmiących słów, po czym podsunęła kartkę i fragment skopiowanego listu Evie.

- Spróbuję ustalić, czy pisała to ta sama osoba - powiedziała Eva - choć dajesz mi dość skromny materiał.

Kara nie odważyła się pokazać całego listu. Wyciągnięta w środku nocy z łóżka Eva była już i tak zaniepokojona i nieufna.

- To wszystko, co mogę ci dać. Eva nie nalegała więcej.

- Rozumiem, że nie powinnam o tym z nikim rozmawiać? - zapytała tylko.

- Bardzo proszę, ale nie chcę, żebyś musiała kłamać...

- Oczywiście. Obejrzę to, ocenię, potem podrę, wrzucę do klozetu i spuszczę wodę. Coś jeszcze?

Umówiły się, że Kara zadzwoni do niej później, ale postanowiła z tym poczekać, aż znajdą się w Stonebrook. Jeśli list został sfalszowany i

Allyson nie miała pojęcia, co się dzieje z jej dziećmi, Kara wolała się o tym dowiedzieć na miejscu. Była potwornie zmęczona, a powracające od czasu do czasu nudności dodatkowo ją osłabiały i stresowały. Sama już nie wiedziała, czy to zatrucie, czy efekt nocy spędzonej z Samem, czy może początki grypy.

Kiedy dojechali do Bluefield, dzieci, zamiast się odprężyć, zsunęły się w swoich fotelach, jakby chciały się ukryć.

Minęli stary ratusz zamieniony w teatr letni, kościół, potem księgarnię, elegancki sklep z winami, pub O'Reilly'ego, wreszcie obejście Jerichów z szarym domem, starą oborą i zaparkowanym na podwórzu traktorem. Kara pomyślała o Picie. Być może nadal miał do niej żal, że namówiła go, by zgodził się pójść na ugodę.

- Już niedaleko - powiedziała właściwie nie wiadomo po co.

Dzieci milczały. Co prawda minęli już ostatnie domy wioski, jechali teraz między polami, drogą na granicy gruntów rodziny Jericho i Stockwellów, ale ani Lillian, ani Henry nie wychylali głów, ciągle skuleni w swoich fotelach.

Stonebrook Cottage, chata z polnego kamienia, z czerwonymi okiennicami, stała w lesie, na niewielkiej polanie, do której prowadziła wąska polna droga.

Na dole była bawialnia, sypialnia, kuchnia i łazienka, dwie dodatkowe sypialnie o ściętych sufitach znajdowały się na poddaszu. We wszystkich oknach wisiały proste zasłony z białego płótna. Wokół chaty był trawnik, rosło kilka rododendronów

A dookoła pustka - las, dalej pola, żadnych innych domów. Kara lubiła spędzać tu weekendy, w samotności, z dala od ludzi. Teraz

zastanawiała się, co pocnie, jeśli na tym pustkowiu pojawi się mężczyzna w czarnym sedanie... albo dwóch Strażników Teksasu.

Kiedy zaparkowała pod wielkim starym orzechem, dzieci wyskoczyły z samochodu i rzuciły się w stronę drzwi. Lillian szybko wyjęła klucz ze skrzynki pocztowej. Kara uśmiechnęła się na to ich nagłe ożywienie. Co za zmiana w porównaniu z minioną nocą. Wysiadła z auta i wciągnęła głęboko w płuca rześkie powietrze. Aż za dobrze zdawała sobie sprawę, jak wielką wzięła na siebie odpowiedzialność, nie informując o wszystkim Allyson.

- Idziesz, ciociu? - zawołał Henry od drzwi.

- Muszę wykonać jeden telefon. Zaraz przyjdę. Obydwoje ze śmiechem wbiegli do chaty, a Kara oparła się o samochód i wybrała numer Evy. Gdyby odebrał ktoś inny, przerwałaby połączenie. Odetchnęła z ulgą, kiedy usłyszała głos Evy.

- Kara, jak dobrze, że dzwonisz. Martwiłam się o ciebie. Wszystko w porządku?

- Dziękuję. Możesz swobodnie rozmawiać?

- Tak, inaczej nie odezwałabym się do ciebie po imieniu. Jack twierdzi, że robi wszystko, żeby policja nie zgarnęła cię pod zarzutem uprowadzenia dzieci. Oczywiście przesadza, ale prawda jest taka, że małych Stockwellów widziano po raz ostatni w pobliżu twojego domu...

- Powiedziałaś mu, że byłam u ciebie w nocy?

- Musiałam. Nie miałam wyboru.

- Rozumiem. Nie przejmuj się.

- Powiedziałam, że pożyczyłam ci samochód. Twoja przyjaciółka musiała najwidoczniej zapewnić policję, że nie martwi się o dzieci, skoro są z tobą, ale znasz Jacka. Karo...

- Wszystko będzie dobrze, Evo. Teksaska policja zapewne jest zadowolona z rozwoju sytuacji, bo lepiej nie mieszać się w sprawy rodzinne pani gubernator Connecticut. Przepraszam, że postawiłam cię w takiej niezręcznej sytuacji...

- Tym się nie przejmuj. Martwię się o ciebie...

- Posłuchaj... Powiedz Jackowi, że rozmawialiśmy. Dzieci są bezpieczne i ani on, ani policja nie muszą wiedzieć nic więcej. - Kara nadal nie była pewna, czy postępuje słusznie, a jednocześnie działała cały czas z niezwykłą, nawet jak na siebie, stanowczością. Nie chciała, by ktokolwiek zauważył jej rozterki. - Co z Samem Temple'em?

- Rozmawiałam z nim rano. Karo... - Eva westchnęła. - Mam ci dużo do powiedzenia, ale na to przyjdzie czas później. Chcesz pewnie usłyszeć moją opinię na temat próbek pisma, które mi zostawiłaś?

- Potrafisz coś powiedzieć?

- Kartki i listu nie pisała ta sama osoba. List, w każdym razie to, co mi dałaś, wygląda na podrobiony. Musiałaś coś podejrzewać, skoro zwróciłaś się do mnie o opinię. Takie rzeczy rozpoznaje się po łączeniu liter. Ludzie na ogół o tym zapominają. No nic, nie będę ci robić wykładu. Ważne jest to, że kartki i listu nie pisała ta sama osoba - powtórzyła Eva. - Właściwie jestem tego pewna.

Kara pomyślała, że miała przynajmniej na tyle przytomności umysłu, żeby odciąć dół kartki z podpisem Allyson, ale został stempel z Hartford, a i sama treść jasno wskazywała, kto był nadawczynią. Teraz zresztą nie miało to większego znaczenia. Lillian i Henry kłamali.

- Co zrobiłaś z próbkami?

- To, co obiecałam.

Wrzuciła je do muszli i spuściła wodę. Kara oparła się o drzewo. Dlaczego dała się tak podejść dzieciakom? Uwierzyła w ich strach. Była ich matką chrzestną. Zawierzyli jej, uznawszy, że jest ich adwokatem. Co miała robić?

Mogła zrobić sto różnych rzeczy.

- Evo, nie wiem, jak mam ci dziękować. Powiedz mojemu bratu, że dzieci są już poza granicami Teksasu i policja nie musi się o nie martwić.

- Będzie się dopytywał, gdzie jesteście.

- Jasne. Odezwę się, jak tylko wyjaśnię parę spraw. Dziękuję raz jeszcze, Evo. Jestem twoją dłużniczką.

- Daj spokój. Czasami całkiem miło jest utrzyć trochę nosa Strażnikowi Teksasu.

Rozłączyły się i w tej samej chwili z chaty wypadła Lillian.

- Ciociu, chodź! W lodówce są lody!

Kara uśmiechnęła się słabo. Lody nie rozwiążą jej problemów, ale też nie zaszkodzą.

Sam dotarł do Bostonu i teraz siedział przy ogromnym barze w pubie Jima, miejscu lubianym w całej okolicy, słynącym z tradycyjnej zupy z małżami, gotowanej na mleku. Tutejszy chowder cieszył się naprawdę wielką sławą.

Choć dopiero zapadał zmierzch, w pubie było pełno gości. Studenci, strażacy, robotnicy z pobliskich budów, ludzie z okolicy, młodzi i starzy. Iris Galway, babka Susanny, nie pojawiła się tego wieczoru, w każdym razie jeszcze się nie pojawiła, choć mieszkała na tej samej ulicy.

Sam po raz pierwszy zawitał do pubu Jima mniej więcej pół roku temu, zimą, kiedy uganiał się po świecie za pewnym Teksaszczykiem podejrzany o morderstwo. Powody dzisiejszej wizyty też nie były szczególnie sympatyczne.

Jim Haviland, właściciel pubu, przywitał Sama szerokim uśmiechem.

- A niech mnie kule biją. Powrót Strażnika Teksasu.

Davey Ahearn, serdeczny przyjaciel Jima, siedział na swoim zwykłym miejscu, na samym końcu baru. Był hydraulikiem, miał sumiasty wąż i irytujący zwyczaj mówienia tego, co myśli, wedle zasady: co w głowie, to na języku.

- Gdzie podziałeś kapelusz i spluwę?

- Jestem tu nieoficjalnie - poinformował Sam obu panów.

Jim Haviland zarzucił sobie ściereczkę na ramię.

- Chyba nie przyjechałeś tylko po to, żeby zjeść mój chowder?

Sam akurat nie przepadał za chowderem z małżami. Przyleciał do Bostonu, wynajął samochód i pojechał prosto na małe lotnisko pod Bostonem, z którego zwykle korzystał Jack i z którego musiała skorzystać również Kara.

Skorzystała. Przyleciała późnym popołudniem, ale nikt nie pamiętał, czy były z nią jakieś dzieci. Kiedy jechał z lotniska do pubu Jima, zadzwoniła Eva Dunning, na prośbę Susanny, co oznaczało, że Susanna nie chce rozmawiać z nim osobiście. Eva poinformowała go o telefonie Kary. Kara prosiła o powtórzenie bratu i Samowi, że dzieci są w dobrych rękach i obaj powinni zapomnieć o sprawie, bo wszystko jest w porządku.

Sam był innego zdania.

Nie wiedział, co Eva i Susanna powiedziały Jackowi. Dotąd udało mu się unikać rozmowy z Jackiem Galwayem i był to jak na razie jedyny sukces w tej sprawie.

- Znasz siostrę Jacka, prawda? - zwrócił się do Jima.

- Kara? Jasne. Wróciła chyba do Teksasu...

- Mniej więcej rok temu. Pracuje w kancelarii adwokackiej w Austin.

- Mówią, że Austin to całkiem ładne miasto, jak na Teksas, ma się rozumieć - wtrącił Ahearn.

Sam puścił uwagę Dave'a mimo uszu, co specjalnie nie obeszło jej autora.

- Czy Kara wspominała ci kiedyś, że przyjaźni się z Allyson Stockwell? - wypytywał dalej Sam.

- Nową panią gubernator z sąsiedniego stanu? - upewnił się Haviland. - Wspominała, pewnie. Przyjaźnią się od czasów studiów. To straszne, co się stało z Mikiem Parisim.

- Powiniennem był wiedzieć. - Davey pokręcił głową. - Skoro pojawia się Strażnik Teksasu, musi chodzić o czyjąś śmierć.

Sam na szczęście przespał się w czasie lotu, inaczej powiedziałby wszystkowiedzącemu hydraulikowi kilka słów do słuchu.

- Gubernator Parisi wynajął letni dom w Bluefield w Connecticut i tam zginął. Kojarzy ci się to miejsce w jakiś sposób z Karą?

Jim zmarszczył czoło, myślał.

- Spędzała tam często weekendy. Zatrzymywała się w małym domku w posiadłości Stockwellów. To taka chata zupełnie na uboczu.

- Stonebrook Cottage - rzucił Ahearn natychmiast. - Pamiętasz, Jimmy? W tym świrniętym Bluefield wszyscy ludzie nadają imiona domom. Krzywiła się, że „U Jima” to żadna nazwa dla pubu i mógłbyś

wymyślić coś oryginalniejszego. Odpowiedział jej wtedy, żeby ci nie zawracała głowy takimi głupotami.

- Jezu, Davey, ty pamiętasz wszystko - mruknął Jim. - Tak, przypominam sobie... Lubiała jeździć do tej chaty. - Spojrzał na Sama z niejaką rezygnacją, może i ulgą. - Nie powiesz nam, co jest grane?

- Nie, sir.

- Mogę przynajmniej zapytać, dlaczego to ty przyjechałeś, a nie jej brat?

Sam wolał zachować odpowiedź dla siebie.

- Jeśli sprawa dotyczy Kary Galway, będziesz miał pełne ręce roboty, Temple - ostrzegł go Ahearn. - Jest bystra, uparta, jest prawniczką i umie posługiwać się bronią.

Sam w zasadzie był gotów zgodzić się z opinią Daveya, ale Jim rzucił przyjacielowi niechętnie spojrzenie, po czym zwrócił się do Sama:

- Możemy ci jakoś pomóc?

- Powiedźcie mi wszystko, co wiecie o Stonebrook Cottage i jak się tam najlepiej dostać.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Allyson popijała herbatę w jadalni swojego domu na przedmieściach Hartford, który, choć wygodny, nie umywał się do oficjalnej rezydencji gubernatora. Po raz pierwszy od kilku dni odczuwała spokój. Dzięki Bogu dzieci były bezpieczne pod opieką Kary.

Hatch co prawda nie dawał nic po sobie poznać, ale przez ostatnie dwa dni czekał w napięciu, że lada chwila w wiadomościach CNN pojawi się tekst biegnący u dołu ekranu: „Trwają poszukiwania zaginionych dzieci pani gubernator Connecticut”. To on kontaktował się z letniskiem i policją w Teksasie. Najtrudniej było mu przekonać Jacka Galwaya, że Allyson w pełni ufa Karze. Allyson znała Jacka Galwaya i świetnie rozumiała jego opory. Jack niczego nie przyjmował na słowo, a już szczególnie gdy chodziło o jego młodszą siostrę. Wiedziała, że ten człowiek uspokoi się, dopiero kiedy Kara ponownie usiądzie za biurkiem w swojej kancelarii.

Kiedy Kara w końcu zadzwoniła, Allyson się popłakała. Teraz już miała pewność; Henry i Lillian dotarli bezpiecznie do Stonebrook Cottage.

- Wymyślili zwariowaną historię, kazali mi milczeć i zmusili, żebym ich tu przywiozła - opowiadała Kara. - Nie rozgryzłam jeszcze do końca motywów, którymi kierowały się twoje dzieci, ale wszystko jest w porządku. Ty jesteś ich matką, sama z nimi o tym pogadaj.

- Nie wiem, co im przyszło do głowy. - Allyson miała przyspieszony oddech. - Odetchnęłam, kiedy się dowiedziałam, że uciekli do Austin.

- Zadzwoniłabym do ciebie od razu, ale obiecałam im milczeć jak grób... - Kara przerwała, jakby nie miała siły mówić. - Niech sami wszystko ci opowiedzą. Kiedy tu przyjedziesz?

- Mogłabym nawet zaraz, ale chyba lepiej poczekać do rana. To prawie godzina drogi, a Madeleine w dalszym ciągu o niczym nie wie. Pozwól mi się trochę pozbierać, dobrze? Dzieciaki chyba wytrzymają do rana?

- W porządku, przyjeźdź rano, tak będzie lepiej. Już późno, wszyscy powinniśmy się przespać. - Kara ziewnęła i Allyson pomyślała, że jej przyjaciółka zachowuje się wyjątkowo spokojnie, zważywszy, przez co przeszła. - Czekamy na ciebie. Lodówka jest zaopatrzona, więc nie zginiemy z głodu.

- Karo, nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi, że tak się stało. To lato było straszne, pomyślałam, że wyjazd do Teksasu dobrze im zrobi. Tak bardzo chcieli zobaczyć, gdzie teraz mieszkasz. To miała być dla nich atrakcja...

- Myślę, że problem tkwi gdzie indziej, nie w ich wyjeździe do Teksasu. Chcesz z nimi porozmawiać?

Allyson serce zabiło mocniej.

- Tak, ale... Boże, co ja im powiem? Mało brakowało, a zrobiłby się szum na cały kraj, media miałyby używanie.

- Sama będziesz wiedziała, co im powiedzieć. Allyson rozmawiała z obojgiem. Powiedziała im, żeby się nie martwili, że ich kocha i że przyjedzie po nich rano. Usiłowała mówić spokojnie, rozsądnie i nie brzmieć jak wariatka, która przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny umierała ze strachu.

To oczywiste, że zwrócili się do Kary. Była ich matką chrzestną, najlepszą przyjaciółką matki i była blisko, w Austin. Ufali jej. Kara Galway była osobą mądrą i kompetentną, ale tkwiła w niej ciągle mała

dziewczynka uwięziona w rozbitym samochodzie, bezradnie patrząca na śmierć matki.

Allyson skończyła rozmawiać z dziećmi i uśmiechnęła się przez łzy. Musi nad sobą panować, bo ludzie zaczną coś podejrzewać. Być może nawet zaczną kwestionować jej zdolność do sprawowania urzędu. Nie mogła do tego dopuścić. Zaczynała dobrze się czuć w nowej roli, zaczynała dostrzegać możliwości, jakie się przed nią otwierają. Wreszcie wyszła z cienia Parisiego.

Bardzo jej brakowało Mike'a, ale musiała wypełniać swoje obowiązki. Pierwszym było zajęcie się dziećmi, które najwyraźniej przechodziły kryzys, kolejnym - uwolnienie się od człowieka nękającego ją anonimowymi telefonami.

Gdyby przynajmniej mogła wesprzeć się na Picie... Dodałby jej otuchy, stanąłby, jak zawsze, po jej stronie i wszystkie kłopoty od razu wydałyby się mniej ważne, wręcz banalne. Allyson nie wyobrażała sobie życia bez niego, ale też nie wyobrażała sobie, że zdołałaby stawić czoło Madeleine, Hatchowi i tym wszystkim, którzy nigdy nie zaakceptowaliby u boku pani gubernator tak zwanego prostego człowieka, w dodatku z kryminalną przeszłością. Musiała też pamiętać, jak taki skandal, a nie obyłoby się bez skandalu, wpłynąłby na życie dzieci.

Hatch zapukał w uchylone drzwi gabinetu i Allyson dała mu znak, żeby wszedł.

Miał czterdzieści siedem lat, dokładnie tyle, ile miał Lawrence w chwili śmierci. Wyglądał jednak znacznie starzej, miał zmęczoną twarz człowieka, który zbyt wiele przeżył. Na wiadomość, że Kara się odezwała, zareagował dokładnie tak, jak Allyson oczekiwała:

- Powinna była skontaktować się ze mną. Allyson uśmiechnęła się.

- Kara robi wszystko po swojemu, znasz ją przecież. Na szczęście dzieci są całe i zdrowe i wreszcie skończyło się to całe zamieszanie.

- Na pewno się skończyło? - zapytał Hatch z naciskiem.

- Oczywiście.

Starła się, by jej głos brzmiał mocno i pewnie.

Gdyby tylko pozwoliła, Hatch natychmiast przejąłby ster, zrobiłby z niej swoją marionetkę i zaczął podejmować decyzje w jej imieniu. Nie lubił wystawiać się na widok publiczny, nie szukał poklasku i uznania, chciał mieć realną władzę. Blaski i cienie sprawowania urzędu gotów był pozostawić Allyson, jednak ona potrafiła bronić własnej niezależności. Pomyślała o dzieciach i zaśmiała się.

- To dwa diabły wcielone... Napędzili nam stracha. Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę.

- Pojedziesz tam rano? Skinęła głową.

- Musimy przygotować oświadczenie dla mediów, na wypadek gdyby cała sprawa wyszła na jaw. Krótkie, rzeczowe wyjaśnienie bez żadnych komentarzy. Twój rzecznik...

- Nie, sama powinnam wygłosić oświadczenie. Jestem ich matką.

Hatch nie nalegał, ale wyszedł niezadowolony. Martwił się o nią, miał ochotę zadać jej kilka pytań, a przede wszystkim miał pretensje do Kary. To ostatnie nie było ani niczym dziwnym, ani niczym nowym. Hatch nieustannie miał pretensje do Kary i nadal był w niej zakochany.

Billie Corrigan ziewnęła szeroko, chociaż nie skończyła jeszcze swojego pierwszego piwa.

- No wiesz, Billie, wypijaś kilka łyków i już zasypiasz? - zaśmiał się Pit, przekrzykując gwar panujący w pubie O'Reilly'ego.

Billie skrzywiła się w odpowiedzi.

- Jestem na nogach od ósmej rano.

- Ja musiałem wstać o piątej.

- Tak, ale ty jesteś farmerem, a ja dziewczyną z miasta.

Pit sączył piwo i zastanawiał się, po co właściwie przyszedł do pubu.

Lubił Billie, może dlatego. Była zupełnie inna niż jej zawsze sztywny, pełen dystansu przyrodni brat. Ojcem obojga był nieodżałowany Frank Corrigan, ale mieli różne matki. Billie wychowywała się wśród nowojorskiej cyganerii, Hatch w Stockwell pod niezwykle czujnym okiem madame Madeleine.

Billie niesłychanie śmieszył sposób bycia brata i jego nienaganne maniery. Zamieszkała w Bluefield po śmierci ojca i otworzyła tu nieźle prosperującą firmę cateringową, z której usług Pit nigdy nie miał okazji skorzystać, bo ciężko pracujący farmerzy raczej nie urządzają przyjęć. Billie miała rude włosy, niebieskie oczy, dorodne kształty i ochotę na Pita.

Tego wieczoru wbiła się w białą bluzkę i džinsy, przy czym jedno i drugie wydawało się o numer za małe, co Pit próbował ignorować. Po wyjściu z więzienia rzadko zaglądał do pubu, dzisiaj jednak zrobił wyjątek. Charlie przyniósł wiadomość, że Henry i Lillian prysnęli z letniska w Teksasie, najprawdopodobniej do Kary Galway do Austin. Pit próbował dodzwonić się do Allyson pod numer stacjonarny w Stockwell Farm. Ostatecznie jako sąsiad miał prawo martwić się o dzieci. Chciał powiedzieć Allyson o platformie na dębie, bo to mogło mieć coś wspólnego z ucieczką dzieci.

Odebrał Hatch, nadęty bubeł, i poinformował go oficjalnym tonem, że Allyson jest w Hartford i że on sam też się tam właśnie wybiera. Z Hatchem Corriganem nie było rozmowy. Facet zawsze traktował Pita z

góry. Ciekawe, zważywszy, że miał tatusia alkoholika, który po pijanemu skreślił kark. Allyson, chociaż nigdy nie zaznała biedy, też nie pochodziła z bogatej rodziny. Jej ojciec był skromnym lekarzem w New Haven.

„Prawdziwymi” Stockwellami byli tylko: przyrodni brat Hatcha, Lawrence, i jego dzieci. Lawrence nie żył od dawna, a cała fortuna rodzinna należała do Lillian i Henry'ego. Lawrence odnosił się do wszystkich z jednakowym szacunkiem, niezależnie od tego, kto skąd pochodził i w jaki sposób zarabiał na życie. Allyson wychowywała dzieci w tym samym duchu, nie chciała, żeby pieniądze i pochodzenie przewróciły im w głowach.

Tak naprawdę Pit nie miał powodów wściekać się na Hatcha; gdyby Allyson chciała, sama zadzwoniłaby do niego i powiedziała mu o dzieciach.

- Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo o tych cholernych bławatnikach, to jak Boga kocham zacznę krzyczeć - jęknęła Billie. - Mówię poważnie. Zacznę rozbierać wszystkie domki dla tych rozkosznych ptaszków w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

Pit zaśmiał się.

- Nie zaczniesz. Ethel Smith na pewno by cię zabiła.

Na dźwięk nazwiska Ethel Billie jęknęła po raz kolejny.

- Spotkałam ją dzisiaj po południu w miasteczku. Zaczęła się zastanawiać, jak długo młody bławatnik ze złamaną łapką może przeżyć w chlorowanej wodzie. Strasznie sarkała, że ludzie używają za dużo chloru.

- Uczyła mnie w podstawówce - powiedział Pit.

- Jezu, musi mieć chyba sto lat.

- Zajął się ptakami, kiedy przeszła na emeryturę. Ludzie będą gadać o bławatnikach, dopóki do nich nie dotrze, że Wielki Mike zginął, ponieważ nie umiał pływać.

Billie westchnęła, pokręciła głową, łzy napłynęły jej do oczu.

- Widziałam go wieczorem poprzedniego dnia. Urządził niewielkie przyjęcie...

- Tak, słyszałem.

- Tryskał energią. Pit upił łyk piwa.

- Taki właśnie był, zawsze pełen życia.

- Nie znałam go zbyt dobrze, ale wszyscy tak mówią. - Billie uśmiechnęła się i ziewnęła znowu, jakby lada chwila miała zasnąć na siedząco. - Jakie masz plany? - zagadnęła.

- Skończę piwo i zbieram się do domu.

Coś błysnęło w oczach Billie - tęsknota, pragnienie, a może Pit po prostu zobaczył w nich to, co chciał zobaczyć? Noc z Billie pozwoliłaby mu uwolnić myśli od Allyson, ale już sama ta myśl wydała mu się zdradą. Wiedział, że Allyson go kocha. Po prostu po śmierci Wielkiego Mike'a, w momencie mianowania na stanowisko gubernatora, znalazła się między młotem a kowadłem. Potrzebowała czasu, żeby ułożyć sobie wszystko w głowie.

Billie zsunęła się ze stołka, ocierając się leciutko o ramię Pita.

- Jutro zaczynam pracę dopiero o dziewiątej - powiedziała z uśmiechem. - Dla ciebie to pewnie pora lunchu.

Odwrócił się i patrzył za nią, jak idzie do wyjścia, kołysząc biodrami. Ciągle czuł ciepło jej ciała. Billie nie była zakazanym owocem, nie nosiła nazwiska Stockwell i nie sprawowała urzędu gubernatora. Pracowała tak samo ciężko jak on, a jego kryminalna przeszłość była jej w

najwyższym stopniu obojętna. Wszystko wskazywało, że tylko czeka, by Pit uczynił pierwszy krok. Co go, do diabła, powstrzymywało?

Odwrócił się i dokończył swoje piwo. Allyson, na nieszczęście, siedziała w Hartford. Gdyby była w Stockwell, przemknąłby przez las do posiadłości, nie zważając na ochronę. Wystarczyło jedno słowo pani gubernator, żeby go przepuścili.

Nie pamiętał, aby kiedykolwiek pragnął jej aż tak bardzo, tak desperacko, jak w tej chwili.

Co za cholerny pech... Właśnie teraz Allyson go porzuciła, lecz on był zbyt głupi i uparty, by przyjąć to do wiadomości.

Henry dopiero po drugiej wielkiej porcji lodów przyznał się, że list od Allyson to fałszywka. Kara, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, zadzwoniła do Allyson i przekazała jej pobieżną relację z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Kiedy zgodziła się pomóc Lillian i Henry'emu, zobowiązała się milczeć, jednak przyznanie się Henry'ego do fałszerstwa zmieniało całkowicie postać rzeczy. Musiała zaryzykować i zawiadomić Allyson, ze względu na dobro dzieci, bo najwyraźniej działo się z nimi coś niedobrego.

Wydobycie od Kary obietnicy milczenia było z ich strony sprytnym posunięciem. Dzięki temu zyskali na czasie i dotarli bezpiecznie z powrotem do Connecticut.

- Nie miałem wyboru, musiałem tak zrobić - tłumaczył Henry.

- To ja pisałam - wtrąciła Lillian cichutko i skuliła się na krześle. - Próbowaliśmy i wyszło, że ja lepiej potrafię podrobić pismo mamy.

- Ale pomysł był mój.

- Nie kłóćcie się już, kto bardziej zawinił. - Kara w zdumieniu pokręciła głową. Zjadła może jedną łyżkę lodów, resztę zostawiając dzieciom. - Jak długo jestem adwokatem, nie słyszałam, żeby dwoje dzieciaków wyprowadziło w pole własną ciotkę przy pomocy sfalszowanego listu od matki.

- W szkole wszyscy bez przerwy fałszują podpisy rodziców - przypomniała jej Lillian.

- Bo próbują ukryć jakieś drobne przewinienia, ale wy wmówiliście mi z całym rozmysłem, że grozi wam niebezpieczeństwo. - Kara nie potrafiła wykrzesać z siebie prawdziwej złości. Ciągle nie rozumiała, co powodowało Lillian i Henrym. Po co to przedstawienie? Jak udało im się poprzedniego wieczoru tak świetnie udawać przerażenie? Westchnęła.

- A gdybym została zaaresztowana pod zarzutem uprowadzenia nieletnich?

Lillian zrobiła wielkie oczy, jakby dopiero teraz uświadomiła sobie, co ryzykowali, ale Henry tylko prychnął lekceważąco.

- Nie aresztowaliby cię. Powiedzielibyśmy, że wcale nas nie porwałś - zapewnił z wyższością.

- Nie znacie mojego brata. Jest Strażnikiem Teksasu. Straszny facet. Cieszcie się, że wydostaliśmy się z Teksasu, zanim nas dorwał. - On albo Sam Temple, pomyślała. - Powiecie mi w końcu, o co chodziło? Uciekając z letniska, podjęliście ogromne ryzyko. Dlaczego po prostu nie zadzwoniliście i nie powiedzieliście, że potrzebujecie mojej pomocy? Przecież natychmiast bym przyjechała.

- Woleliśmy sami przyjechać - stwierdził Henry takim tonem, jakby to wszystko wyjaśniało.

Lillian uderzyła w płacz.

- Tęskniliśmy za tobą. I za Wielkim Mikiem...

- Naprawdę grozi nam niebezpieczeństwo - powiedział Henry, również bliski płaczu. - Mama o tym nie wie, bo nie chcieliśmy jej denerwować.

- Pewnie, lepiej żeby ciotka umierała ze strachu.

- Kara odchyliła się na krzesło, zamknęła oczy i przez chwilę słuchała nocnego koncertu świerszczy. Co ona robi? Te dzieciaki najwyraźniej potrzebowały pomocy, której ona nie była w stanie im udzielić. Opuściła ich, przenosząc się do Teksasu, a Wielki Mike umarł. Dwa trudne rozstania w przeciągu roku. To ich wytrąciło z równowagi. Otworzyła oczy i położyła dłoń na dłoni Henry'ego; była lodowata. - Jakie niebezpieczeństwo wam grozi?

Spojrzał jej prosto w oczy, wysunął do przodu brodę, jakby chciał przydać sobie powagi, wydać się starszy. A przecież był tylko dzieckiem. Dzieckiem, które zmagало się z jakimiś problemami.

- To, co ci opowiadaliśmy o tym mężczyźnie, to prawda. On nas śledził.

- Naprawdę widzieliście go wczoraj przed moim domem czy zmyślaliście?

Łyzeczka Lillian zadzwoniła o dno pustej miseczki po lodach.

- Ja go widziałam. Naprawdę.

- W porządku. - Kara ustąpiła, by ich dodatkowo nie stresować. - A więc śledzi was jakiś podejrzany typ. Trzeba się tym zająć.

Henry zerwał się z krzesła.

- Nie, ciociu! Nie możesz nikomu powiedzieć ani słowa! Obiecałaś!

Podniosła dłoń, próbując go uspokoić.

- Dobrze, ja się tym zajmę. Byliście wczoraj wieczorem bardzo zmęczeni. Może wam się tylko wydawało, że widzicie tego człowieka. Może to był po prostu ktoś, kto pracuje na ranczu, a wy niepotrzebnie wpadliście w popłoch...

- Nie. - Lillian energicznie pokręciła głową. - On nie pracuje na ranczu.

- I nie jest żadnym pedofilem - dodał Henry. Kara wytrzeszczyła oczy.

- Nie jest pedofilem? Jezu, Henry...

Henry wzruszył obojętnie ramionami.

- Mama mówi, że lepiej wiedzieć o istnieniu takich ludzi, niż udawać, że nie istnieją.

- Przewrotny zawsze ubezpieczony - wyrecytowała Lillian.

Kara pokręciła głową.

- Pierwszy raz usłyszałam słowo „pedofil”, kiedy zaczęłam studiować prawo.

Dzieciom najwyraźniej zaimponowało, że nie są tacy naiwni, jak była ich ciotka, nawet jeśli Kara odrobinę przesadziła. Nie wyjeżdżała do Yale zupełnie zielona - potrafiła pilotować małe samoloty, posługiwać się bronią, biegać w maratonach, radzić sobie z bratem i z ojcem, którzy próbowali wymazać z jej pamięci obraz umierającej matki. Nigdy nie pogodzili się ze swoją porażką.

Co widzieli Lillian i Henry? Co odcisnęło się na zawsze w ich pamięci? Bo coś się odcisnęło. Tego była pewna.

- Wiem, że bardzo wam brak Wielkiego Mike'a. Kara wstała. Bolały ją wszystkie mięśnie, żołądek znowu dawał znać o sobie. Zakręciło się jej głowie, musiała oprzeć się o stół. Kuchnia z białymi szafkami i

kolorowymi naczyniami nie zmieniła się w ogóle od jej pierwszej wizyty w Stonebrook, a było to jeszcze w czasach studenckich. Wszystko tu lśniło czystością, wszystko wydawało się swojskie.

- Poza tym musicie się przyzwyczaić do myśli, że mama została gubernatorem, a to nie będzie łatwe - ciągnęła. - Nie wiem, czy nie powinnam czuć się wystrychnięta na dudka.

Henry przewrócił oczami.

- Nie mów tak. Nam naprawdę grozi niebezpieczeństwo.

- Dlaczego tak myślicie? Jesteście jeszcze dziećmi. Komu moglibyście zagrażać?

- Widzieliśmy, jak utonął Wielki Mike.

Henry wyrzucił z siebie te słowa, jakby chciał powiedzieć: „No i co, nadal mi nie wierzysz?”. Zaciśnął dłonie, przygryzł wargę, buzia mu poczerwieniała, w oczach zalśniły łzy, ale spojrzenie pozostało twarde i nieugięte. Kara nie wiedziała, co o tym myśleć.

Lillian utkwiała wzrok w pustej miseczce.

Bali się, nie udawali. Nieważne, czy coś widzieli, czy nie, tak czy inaczej działo się z nimi coś niedobrego.

- Możecie mi powiedzieć coś więcej? - Kara usiłowała mówić spokojnie.

- Siedzieliśmy w domku na drzewie. Widzieliśmy wszystko przez lornetkę. To był wypadek. - Henry odgarnął włosy przyklejone do spoconego czoła. - Ja zobaczyłem go pierwszy, krzyknąłem i wtedy Lillian też popatrzyła.

Chryste. Kara musiała przywołać na pomoc doświadczenie prawnicze. Zadawaj rzeczowe pytania, nie reaguj na odpowiedzi.

- Gdzie jest ten wasz domek?

- Na starym dębie przy żwirowisku - powiedział Henry. - Wszystko stamtąd widać. Najczęściej przyglądaliśmy się, jak wybierają żwir. Tam są takie fajne maszyny.

- Okropnie hałasują - wtrąciła Lillian.

- Mama wie o waszym domku na drzewie?

- Nikt nie wie. On jest na dębie przy samym żwirowisku. Gdyby mama się dowiedziała, to kazałaby nam go rozebrać. Charlie Jericho omal nas nie przyłapał. Zabiłby nas.

W to Kara nie wątpiła. Charlie był okropnym zrzędą, jednak powszechnie lubianym. Na pewno zrugalby dzieci za niebezpieczne zabawy.

- Widać stamtąd dom, który wynajął Wielki Mike?

Henry pokiwał głową.

- Ale tylko przez lornetkę.

Lillian wpatrywała się uparcie w miseczkę po lodach.

- Widzieliśmy basen - powiedziała, nie podnosząc głowy. - Mike leżał na brzuchu, unosił się na wodzie. Śmiesznie to wyglądało. Ja nie wiedziałam, że stało się coś złego, ale Henry od razu się domyślił.

- Co zrobiliście? - Kara wołała nie wyobrazać sobie widoku, który musiały zobaczyć dzieci przez lornetkę.

- Zeszliśmy od razu z drzewa i zaczęliśmy biec. Biegliśmy i biegliśmy... - Lillian mówiła szybko, wyrzucała z siebie słowa. - Zgubiłam swoją lornetkę, taką na różowej tasiemce, ale Henry powiedział, że mam się nie zatrzymywać, więc biegłam dalej. Chcieliśmy go uratować.

- Nie mogliście - powiedziała Kara cicho. - Byliście zbyt daleko od jego domu.

- Już nie żył. - Głos Henry'ego brzmiał sucho, obojętnie, jakby ta sprawa przestała go obchodzić.

Klasyczne wyparcie, pomyślała Kara. Brawura. Dziecięca próba poradzenia sobie ze śmiercią. - Nie mogliśmy mu pomóc. Mówiłem Lil, że nic się nie da zrobić.

Kara oparła się ciężko o zlew. Teraz naprawdę zrobiło jej się niedobrze na myśl, przez co musiały przejść dzieci... Przerażenie, rozpacz, poczucie całkowitej bezradności.

- Kiedy zawróciliście?

- Byliśmy prawie przy płocie domu Wielkiego Mike'a - ciągnął Henry bezbarwnym głosem. - Tam, gdzie ogród graniczy z lasem. Widzieliśmy ochroniarzy z krótkofalówkami... strasznie krzyczeli... jeden skoczył do basenu.

- Bałam się - powiedziała Lillian. - Zwymiotowałam.

Kara widziała dwoje dzieci szaleńczo biegnących przez las na ratunek przyjacielowi. Widziała, jak się zatrzymują, jak uświadamiają sobie, że ich przyjaciel nie żyje. Gubernator nie żyje. Sytuacja ich przerosła.

- Wycofaliście się - powiedziała. - Nie rozmawialiście z ochroniarzami.

Henry pokiwał głową.

- Tak, zawróciliśmy. Lillian prychnęła gniewnie.

- Moja lornetka przepadła. Ktoś ją ukradł. Henry mówi, że szukałam nie tam, gdzie trzeba, ale ja wiem, że ktoś ją ukradł. A ty jak myślisz, ciociu?

Kara nie odpowiedziała na pytanie Lil.

- Każde z was miało swoją lornetkę?

- To stare lornetki. Babcia je nam dała - rzucił Henry. - Ja moją zostawiłem na drzewie.

- Potem wróciliście do tego waszego domku?

- Nie. Pobiegliśmy prosto do domu. Chcieliśmy opowiedzieć wszystko babci i mamie, ale już rozmawiały z policją. Przyjechali po mamę, żeby ją zabrać na zaprzysiężenie. - Henry zaczął trzeć oczy, ziewnął szeroko, jakby nagle zmorzył go sen. Po chwili opuścił dłonie i wzruszył ramionami gestem doświadczonego, znużonego człowieka. - Nie mogliśmy nic zrobić - powtórzył.

Kara milczała przez chwilę, w końcu zapytała:

- Wiedzieliście, że Mike nie umie pływać, prawda? Henry kiwnął głową, nie patrząc na ciotkę.

- Wiemy, że to nie nasza wina - odezwała się Lillian - ale gdybyśmy mogli go uratować... - przerwała i podniosła się powoli zza stołu. - Powinniśmy powiedzieć policji, co widzieliśmy?

- Powinniście - stwierdziła Kara. - Może posiadacie jakieś istotne informacje, które mogłyby pomóc w śledztwie. Każdy szczegół jest ważny.

- Oni ciągle myślą, że to był wypadek? - spytał Henry.

W jego głosie było coś, czego Kara nie umiała nazwać, ale pytanie zabrzmiało tak, że przeszedł ją lodowaty dreszcz.

- O ile wiem, tak. Henry, czy masz jakiegokolwiek powody przypuszczać, że to nie był wypadek?

Henry ziewnął szeroko.

- Jestem zmęczony. - Spojrzał na siostrę. - Ja będę spał w dużym pokoju.

- Nie, ja chcę tam spać!

Obydwoje wypadli z kuchni i rzucili się ku schodom. Po drodze przepychali się, kłócili i piszczeli, jakby zupełnie zapomnieli, o czym przed chwilą opowiadali.

Kara sprzątnęła ze stołu, włożyła naczynia do zlewu, wlała odrobinę płynu do zmywania. Wciągnęła głęboko w płuca chłodne, nocne powietrze.

Dzieci nie powiedziały jej wszystkiego. Tamtego dnia widziały coś jeszcze ze swojego domku na drzewie.

Rano miała przyjechać ich matka. Niech ona się nimi zajmie. Może jej powiedzą całą prawdę. Niech Allyson spróbuje dojść, co się naprawdę wydarzyło.

Kara wróci do Teksasu i będzie musiała tłumaczyć się przed Jackiem i Samem. Ciekawe, czy w ogóle zechcą jej słuchać, czy od razu zakuwają w kajdanki.

Na myśl o tym, że Sam założy jej kajdanki, uśmiechnęła się mimo woli. Właściwie nie potrafiła powiedzieć, co ją tak rozbawiło. Może po prostu traciła rozum ze zmęczenia. W każdym razie woląca myśleć o zakuwaniu w kajdanki niż o swoich chrześniakach siedzących na starym dębie z lornetkami przy oczach.

Zaczęła zmywać naczynia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Telefon komórkowy Kary odezwał się mniej więcej dwadzieścia minut po tym, jak dzieci pobiegły na poddasze. Nie miała ochoty odbierać. Leżała na kanapie w bawialni i wpatrywała się w błękitne ściany. Błękit powinien uspokajać... Nie uspokajał. Była potwornie zmęczona, a przy tym tak spięta, że nie mogła zmrużyć oka.

Ktokolwiek dzwonił, nie czekała jej przyjemna rozmowa. Pomimo wszystko nacisnęła zielony guzik i usłyszała swój słaby, schrypnięty głos.

Na Samie nie zrobił on najmniejszego wrażenia.

- Ostrzegam cię lojalnie - zaczął. - Jestem pięć minut drogi od Stonebrook. Tylko nie strzelaj do mnie.

- Co takiego?

Rozłączył się.

Kara rzuciła telefon w kąt kanapy. Jak ją znalazł?

Kto wskazał mu drogę? Stonebrook nie było na żadnej mapie, nawet na planie Bluefield.

Wszystko jedno. Zaraz miał tu być.

Pobiegła na górę. Lillian już spała, na poduszce leżała książka, oczywiście przygody Harry'ego Pottera, otwarta na pierwszej stronie. Henry nie spał. Musiała go uprzedzić.

- Nie przestrasz się i nie zdenerwuj, jeśli za chwilę usłyszysz samochód. Jedzie tu Strażnik Teksasu, ten, który złożył mi wizytę wczoraj w nocy. To mój przyjaciel. - Mocno przesadziła, ale jak miała wyjaśnić swoje zawile relacje z Samem dwunastolatkowi? - Niczym się nie przejmuj, dam sobie radę.

Henry uniósł się na łokciu.

- Ciociu, pamiętasz, co obiecałaś... że nikomu nic nie powiesz...

- Pamiętam. Wszystko zostanie między nami. To poufne informacje.

- A to o domku na drzewie? To też poufna informacja?

- Tak, cokolwiek od was usłyszę, traktuję jako poufne. - Henry wyraźnie się uspokoił. Kara pocałowała go w czoło. - Powiesz Lillian, gdyby się obudziła?

Skinął głową bez słowa. Sącząca się przez okno srebrna poświata wydobywała z mroku jego bladą buzię, jakby cały blask księżyca skupił się na tej twarzyczce.

Kara zbiegła na dół, wyszła przed chatę. Czowała pod stopami ciepło promieniujące jeszcze z nagranych w dzień granitowych stopni. Gdzieś niedaleko w lesie pohukiwała uparcie sowa, szemrał strumyk. Weekendy w Stonebrook były miłym wytchnieniem po męczącym tygodniu w Hartford, ale Kara nigdy nie zdecydowałaby się zamieszkać na wsi, chociaż czasami łaknęła spokoju. Postanowiła wrócić do domu, do Teksasu, by uporządkować swoje życie. I oto znów była tutaj, na Północy.

W Austin nie znalazła poszukiwanego spokoju. Może George Carter miał rację - zbyt wiele pracy, za mało odpoczynku.

Zza zakrętu wyjechał samochód, błysnęły reflektory. Kara mimo woli drgnęła i uświadomiła sobie, że boi się konfrontacji z Samem. Zaparkował tuż za Sedanem, który wynajęła w Bostonie. Uznała, że zrobił to z rozmysłem, żeby utrudnić jej ewentualną ucieczkę. W końcu raz mu już uciekła, teraz był ostrożniejszy. Gdyby przewidział, do czego jest zdolna, nie ruszyłby się spod jej drzwi do rana.

Cóż, jakoś będzie musiała sobie z nim poradzić.

Wysiadł z samochodu, zamknął drzwiczki, zarzucił torbę na ramię i szedł powoli w stronę chaty. W końcu postawił stopę na granitowym stopniu i spojrzał jej w twarz.

- Dobry wieczór, panno Karo.

Ubrany był w dzinsy, jasną koszulę i kowbojskie buty. Nie przypiął odznaki, nie włożył białego kapelusza, dwóch nieodzownych przecież rekwizytów Strażnika Teksasu. Nie zauważyła też, żeby był uzbrojony.

Nie miała pojęcia, czy przyjechał służbowo, czy prywatnie. Nieważne. Wkrótce się dowie.

Skinęła głową na powitanie.

- Piękny wieczór, prawda? O wiele chłodniej niż w Austin. Ale nie musiałeś tu za mną przyjeżdżać.

- Nie mów mi, co musiałem, a czego nie musiałem. - Mówił spokojnym tonem, ale oczy błyszczały mu gniewnie. - Jim Haviland i Davey Ahearn powiedzieli mi, że prawdopodobnie znajdę cię tutaj. Potem zadzwoniłem do Jacka. Był tu raz, jakieś pięć, sześć lat temu.

- Mogłeś zadzwonić do mnie. Powiedziałabym ci, jak dojechać.

- Tak?

- Sam...

- Hatch Corrigan poinformował Jacka, że jesteś tutaj z małymi Stockwellami i że kontaktowałaś się z ich matką.

- To prawda, ale sprawa jest trochę skomplikowana...

- Jack twierdzi, że wszyscy są zadowoleni.

- Poza tobą.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Wszystkie przestępstwa, jakie popełniłaś, miały miejsce na terenie Teksasu. Cóż za lekkomyślność.

- Nie popełniłam żadnego przestępstwa.

- Porwanie, zabór mienia, włamanie, nielegalne posiadanie broni, to tylko niektóre z twoich dokonań.

- Daj spokój, Sam. Nie masz podstaw, żeby mnie aresztować.

- Twój brat nie wie jeszcze, że przywłaszczyłaś sobie jego pistolet.

- Nie powiedziałaś mu?

Sam nie odrywał wzroku od jej twarzy.

- Nie.

- No widzisz, jesteś po mojej stronie. Robisz tylko dużo szumu, rzucasz pogrózkami, ale nie zrobiłeś nic w tej sprawie... Nawet nie powiedziałaś Jackowi.

- Poradziłem mu, żeby porozmawiał ze swoją żoną.

- Wcale się was nie boję, ani ciebie, ani mojego braciszka. Wejdiesz czy będziesz tak stał? - Otworzyła szeroko drzwi i gestem zaprosiła go do środka. Była podniecona, ale do tego nigdy by się nie przyznała. - Pan pierwszy, sierżancie. Rozumiem, że to Susanna wymogła na tobie, żebyś mnie odszukał.

- Martwiła się o ciebie.

- To zrozumiałe. Mam za sobą upiorny dzień. Sam podniósł torbę i wszedł do bawialni, a Karze przypomniało się, jak dwa tygodnie wcześniej wchodził do jej domu. Od samego początku wiedziała, że ten wieczór zakończy w łóżku. Wydawało się to nieuniknione, chciała, żeby tak właśnie się stało. Weszła za nim do pokoju i zamknęła drzwi.

- Dzieci są już w łóżkach. - Uznała, że umiarkowanie ugodowa postawa będzie lepsza niż dążenie do otwartej konfrontacji. Sam miał pełne prawo zżymać się, w końcu zamiast siedzieć spokojnie w Teksasie, wylądował gdzieś w Connecticut, na kompletnym odludziu. - Wykonałam

kilka głupich posunięć, ale dla tych dzieci zrobię wszystko, weź to pod uwagę, zanim wyrobisz sobie ostateczną opinię na mój temat.

Sama nie wzruszyła deklaracja Kary.

- Susanna uważa, że to przez to, co zaszło między nami.

- Wezwała cię na dywanik, tak? Susanna się myli. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Karo, jeśli sprawiłem ci ból...

- Nie.

- Nie mówię tylko o emocjach - ciągnął. - Nie zdawałam sobie sprawy, że...

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest niedoświadczona. Cholera. Udawała, że go nie słyszy, była to jedyna linia obrony, jaką potrafiła w tej chwili wymyślić.

- Nie mówmy o tym, czego nie da się cofnąć. Wykonałeś zadanie, znalazłeś mnie. Jestem bezpieczna, dzieci też. Wszystko dobre, co się dobrze kończy, prawda? Masz stąd niedaleko do Hartford. Przenocujesz w hotelu koło lotniska i pierwszym porannym samolotem wrócisz do San Antonio. Na mój koszt.

- Mowy nie ma. Tak też przypuszczała. Postawił torbę na podłodze.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego wykręciłaś taki numer.

- Nie mogę ci powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

Nie mogę zdradzać informacji, powierzonych mi przez moich klientów.

- Te dzieciaki nie są twoimi klientami. Musiałabyś mieć zgodę sądu, żeby je reprezentować. Albo upoważnienie podpisane przez ich matkę. Zgody sądu nie zdążyłabyś załatwić, a Allyson Stockwell nie wiedziała nawet, gdzie jesteście.

- Wystarczy samo porozumienie zawarte między pełnomocnikiem i klientem...

Sam skrzywił się.

- Prawnicze sztuczki. Jesteś ich matką chrzestną, tak? Może odwołaj się po prostu do zdrowego rozsądku?

Kara uśmiechnęła się z politowaniem i było to politowanie skierowane pod własnym adresem.

- Za późno. Naprawdę zamierzasz tu zostać?

- Tak, madame.

- W porządku. W pokoju, który zajął Henry, jest drugie łóżko, ale nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś tam spał, dopóki nie poznasz...

- Mogłem poznać ich wczoraj, przy prażonej kukurydzy.

Kara po raz kolejny udała, że nie słyszy, co nie było wcale łatwe. Sam był pewny siebie, doświadczony, kompetentny, należał do elitarnej jednostki i w dodatku miał mnóstwo seksapilu. Nic dziwnego, że ich pierwsza wspólna kawa skończyła się w łóżku.

Być może tamtego wieczoru obydwójce nie byli całkiem sobą.

- Możesz przenocować w sypialni na dole - zdecydowała szybko. - Zabiorę tylko swoje rzeczy. Będę spała tutaj, na kanapie.

Wzruszył ramionami.

- W porządku. Mam za sobą ciężki dzień i marzę o łóżku. - Zarzucił sobie torbę na ramię i dodał z nieznacznym uśmiechem: - Jeśli chcesz, możesz spać ze mną, zmieścimy się.

- To nie jest dobry pomysł.

- Taka odpowiedź nie oznacza definitywnej odmowy. Zapamiętam to sobie. - Skinął jej głową. - Jesteś wykończona, ja też. Rano wrócimy do naszej rozmowy. Sam trafię do sypialni.

Wyszedł z pokoju i Kara padła na kanapę. Na szczęście nie klócił się, kto ma gdzie spać. Przemknęło jej przez myśl, że może nie jest taki najgorszy. Chyba zrozumiał, w jak trudnej znalazła się sytuacji, jakie podjęła ryzyko dla swoich wystraszonych chrześniaków i jak bolesny musiał być dla niej powrót do Connecticut teraz, po śmierci Wielkiego Mike'a.

Rano Sam znowu pewnie zacznie odgrywać rolę złego gliniarza, będzie dręczył ją pytaniami, ale na razie dał jej spokój i była mu za to wdzięczna.

Przypomniała sobie o pistolecie Jacka i usiadła sztywno. Akurat, dał jej spokój! Wiedział, że w domu jest broń i będzie chciał ją zabezpieczyć. Przeszuka jej bagaże, tak na wszelki wypadek. Przyjechał prywatnie, był poza granicami Teksasu i miał w nosie nakazy i inne formalności. Będzie węszył tak długo, aż natrafi na coś interesującego.

- Zaczekaj!

Rzuciła się za nim, wpadła do sypialni i podbiegła do swoich bagaży złożonych koło łóżka. Szukając pistoletu, natrafiłby na testy ciążowe, a wtedy byłaby załatwiona. Włożyła je do torby podróżnej, w przekonaniu, że tutaj będą mniej widoczne niż w torebce.

Ilekróć wyjmowała portfel albo szminkę, rzucały jej się w oczy i przypominały o obawach, które od wczoraj zatruwały jej myśli. Być może była jednak w ciąży. Z Samem.

- Zabiorę moje rzeczy. Nie chcę cię budzić rano, a ja zwykle wstaję o świcie - tłumaczyła się dość nieporadnie.

Sam oparł się o drzwi.

- Wiem.

Nie ułatwiał jej sytuacji. Kara chwyciła torbę i przycisnęła ją do piersi. Tańczyła na linie. Prędzej czy później powinie mi się noga, pomyślała smętnie.

- Bardzo sprytnie, panno Karo, ale prosiłbym jednak o pistolet.

Bardzo dobrze. Niech myśli, że wpadła w panikę z powodu colta należącego Jacka.

- Magazynek wyjęłam i zapakowałam oddzielnie. Po przyjeździe tutaj w ogóle nie ruszałam broni. Żaden prokurator nie będzie mnie ścigał z powodu...

- W Connecticut może nie, ale zobaczysz, co będzie się działo, kiedy prokurator w Teksasie usłyszy, że ukradłaś pistolet Strażnikowi Teksasu.

- Jack stanie po mojej stronie.

- Nie stanie, jeśli mi zaraz nie oddasz tego cholernego colta.

- Wiem, jak się obchodzić z bronią.

W ciemnych oczach Sama pojawił się groźny błysk.

- To ma mnie uspokoić?

- Sam, na litość boską - mruknęła.

Jeśli ustąpi zbyt łatwo, ten koszmarne facet nabierze podejrzeń, że ukrywa coś jeszcze. Wyciągnął rękę.

- Oddaj mi broń, Karo. Ja zawsze mogę pokazać blachę i liczyć na wyrozumiałość kolegów z Connecticut, ty nie możesz. Wyświadczam ci przysługę.

Miał rację. Z formalnego punktu widzenia każdy policjant opuszczający granice własnego stanu powinien respektować przepisy dotyczące broni obowiązujące w aktualnym miejscu pobytu. Jurysdykcją Sama był Teksas, poza Teksasem tracił uprawnienia. Jeśli chciał nosić broń w Connecticut, powinien postarać się o miejscowe zezwolenie.

Jednak lokalna policja skłonna była spojrzeć przez palce na uzbrojonego kolegę tak długo, dopóki nie czynił użytku z posiadanej broni.

Na Karę nikt nie spojrzełby przez palce. Gdyby w tej chwili byli w Teksasie, Sam też by jej nie odpuścił.

- Mówisz tak, jakby ktoś miał mnie przyłapać na nielegalnym posiadaniu broni.

- Ja cię przyłapałem.

Rzeczywiście wyświadczał jej przysługę. Położyła torbę na łóżku i ostrożnie zaczęła ją otwierać, usiłując sobie przypomnieć, gdzie wcisnęła pistolet, a gdzie testy ciążowe.

Sam obserwował od drzwi, jak szpera w torbie, poszukując pistoletu. Znalazła go dość szybko, przy okazji upchnęła testy ciążowe głębiej.

Zamknęła torbę i dopiero teraz poczuła, że na czoło wystąpiły jej krople potu, jakby była Bóg wie jak groźnym przestępcą.

Podążyła pistolet i kaburę Samowi.

- Jeszcze magazynek - zażądał.

- Doskonale wiesz, że Jack nigdy by mnie nie aresztował...

- Nie będzie musiał. Gdybyś próbowała wjechać z bronią do Teksasu, osobiście bym cię zaaresztował. Byłabyś moja.

Kolana się pod nią ugięły na tę dwuznacznie brzmiącą pogroźkę. Musiała oprzeć się o łóżko, ale Sam nic nie zauważył. Był zajęty tym, co wyczyniała przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny, nie zwracał uwagi, jak Kara reaguje na jego bliskość.

Wczoraj w domu Galwayów, po wernisażu Gordona, ostatniej nocy w jej domu, ilekroć go widziała, budziły się w niej nieznane dotąd emocje. Dostrzegała wszystko, każdy szczegół: ciemne oczy, silne ciało, trzeźwy stosunek do życia. Sam miał jasno sprecyzowane poglądy i nie krył się z

nimi, niezależnie od okoliczności. Ludzie go lubili, kobiety uwielbiały, ale Kara podejrzewała, że bardzo niewiele osób wie, jaki naprawdę jest Sam Temple.

Wyciągnęła z torebki załadowany magazynek.

- Postawiłam was wszystkich, Jacka, Susannę, ciebie, w okropnej sytuacji. Przepraszam.

- Oni wiedzą, że dla tych dzieciaków gotowa jesteś zrobić wszystko, zapominając o zdrowym rozsądku. - Spojrzenie Sama złagodniało, nie miał już takiej zaciętej miny jak jeszcze przed chwilą. - Ja też już to zrozumiałem.

Wsunął magazynek do colta i Kara wzdrygnęła się na szcęk metalu, kiedy Sam wprowadził kulę do komory. Chwyciła swoją torbę.

- Skoro dostałeś pistolet, możesz być teraz dla mnie miły.

- Będę spał spokojniej, to pewne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Madeleine, swoim zwyczajem, przyczepiła się do Pita, ledwie się pokazał w Stockwell. Kazała mu przyjść na taras, gdzie układała wielobarwne bukiety z astrów i cynii. Miała na rękach ogrodowe rękawice i starannie przycinała łodygę każdego kwiatu. Pit zawsze uważał, że Madeleine i jego ojciec są do siebie bardzo podobni. Oboje potrafiliby zamęczyć człowieka na śmierć.

Madeleine nie wyglądała na swoje osiemdziesiąt lat. Była ubrana w prostą bluzkę w granatowo-białe pasy i białe spodnie. Kiedy Pit podszedł, westchnęła, nie podnosząc głowy.

- Słyszałeś chyba, że Lillian i Henry są z Karą Galway w Stonebrook Cottage. Wczoraj wieczorem Hatch w końcu powiedział mi o ich eskapadzie. Domyślałam się, że w miasteczku aż huczy od plotek?

Pit wzruszył ramionami.

- Nie powiedziałbym.

- Nie rozumiem Allyson. Powinna się tu niebawem pojawić. Hatch prosił, bym nie jechała do Stonebrook, że niby najpierw ona powinna zobaczyć się z dziećmi. - Madeleine energicznym ruchem przycięła łydę kolejnej cynii. - Gdyby powiedziała mi, co się stało, mogłabym jakoś pomóc. A gdyby tak dzieci pojawiły się nagle tutaj? To byłby dla mnie szok, prawdziwy szok.

- Na pewno poradziłyby pani sobie - powiedział Pit. - Allyson i Hatch doszli widać do wniosku, że lepiej nic nikomu nie mówić. Oni najlepiej orientują się w sytuacji, wiedzą, co robić...

- Hatch? Hatch nie miał nic do gadania. Owszem, jest doradcą Allyson, ale słucha jej we wszystkim. Ślepo. Allyson każe mu skakać, a on tylko pyta, jak wysoko.

- Niech pani tak nie mówi, pani Stockwell. Nie byłby doradcą, gdyby nie miał własnego zdania. Złości się pani, bo nic pani nie powiedzieli.

Madeleine prychnęła, ale nic nie odpowiedziała. Pit nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego opowiada mu o rodzinnych sprawach. Zawsze tak było, nawet kiedy jako młody chłopak przychodził tutaj myć okna albo kosić trawniki. Charlie twierdził, że Madeleine zwierza mu się, bo nie ma przyjaciół. Nikt nie chciał jej słuchać. Kiedy Pit wrócił z więzienia,

przyjęła go, jakby widzieli się ostatnio dwa dni temu. Znowu został jej powiernikiem, jakby nic się nie stało, jakby nie wyrządziła mu krzywdy swoją intrygą. Nie miał dowodów, ale wiedział, że to sprawka Madeleine. Na pewno zamierzała dać mu nauczkę. Wystarczyło, że szepnęła słówko kilku osobom, a już wylądował w więzieniu.

Ciekawe, jak by zareagowała na wiadomość, że jej synowa spotykała się z nim potajemnie tuż pod jej nosem.

- Nie lubię, kiedy mnie traktują jak sklerotyczną staruchę, której nie można zaufać - mruknęła.

- Może po prostu nie chcieli pani denerwować.

- Rzeczywiście, jakbym nigdy w życiu nie miała problemów, jakbym nie wiedziała, co to tragedia. Patrzyłam, jak mój mąż wykrwawia się na śmierć, tu, na tym trawniku. - Wskazała fatalne miejsce nożycami. - Nie jestem słabą kobietką.

- Nikt tak nie twierdzi, ale skoro dzieci uciekły z letniska, dotarły do Austin, a potem tutaj, musiały mieć jakiś powód. Allyson jest ich matką. Ona musi dojść, co się stało - powiedział Pit.

Madeleine posłała mu nieprzyjazne spojrzenie. W jej niebieskich oczach można było jeszcze dojrzeć, kim była kiedyś, pięćdziesiąt lat wcześniej. Piękną, zmysłową, silną kobietą o stalowej woli. Tak mówili ci, którzy pamiętali ją z dawnych czasów, na przykład rodzice Pita.

- Ty zawsze trzymasz stronę Allyson.

- Nie trzymam niczyjej strony. Wie pani, dlaczego zwrócili się do Kary?

- Skąd mam wiedzieć? Przecież ci mówię, że nikt mnie o niczym nie informuje. Są bardzo zżyci z Karą, zawsze byli. Myślałam, że po jej wyjeździe do Teksasu to się zmieni, ale jak widać, stało się inaczej.

Pit wzruszył ramionami.

- Teksas nie jest w innej galaktyce. - Uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć, że uważa rozmowę za skończoną. - Niech się pani już nie złości, pani Stockwell. Do wszystkich ma pani pretensje. Proszę się cieszyć, że dzieciaki wróciły całe i zdrowe...

- Cieszyć się, że wróciły całe i zdrowe? Rozumiem. Domyślam się, że tak właśnie zareagowali w twoim domu. Bea i Charlie zawsze dawali ci za dużo swobody. Ja widzę to inaczej. Moje wnuki są teraz uciekinierami. Zbiegami.

- Wszystko będzie dobrze. Chyba pani nie chce, żeby chowały się pod kloszem i wyrosły na ciepłe kluchy?

Madeleine odłożyła nożyce, zdjęła rękawice.

- Jesteś impertynentem, Pit. Zupełnie jak twój ojciec. Nie wiem, dlaczego jeszcze korzystam z twoich usług.

Pit uśmiechnął się szeroko.

- Gdyby nie ja, ten dom dawno zamieniłby się w ruinę.

- Uważasz, że sama nie dałabym sobie rady?

- Nikt nie dałby sobie rady.

Madeleine westchnęła głęboko i omiotła wzrokiem ogród.

- Kiedy mój teść kupował tę posiadłość, wydawało mu się, że będzie samowystarczalny. Mój mąż myślał podobnie, był szczęśliwy, kiedy mógł uprawiać ziemię, niczego więcej nie pragnął. - Uśmiechnęła się. - Może dlatego ciągle wynajduję ci jakieś zajęcia. Patrzę na ciebie i przypominam sobie jego.

Pitowi zrobiło się nagle żal Madeleine. Edward Stockwell pozostał miłością jej życia, bez względu na to, ilu potem miała jeszcze mężów i kochanków.

- Muszę wracać do pracy, pani Stockwell...

- Idź, idź, stara baba się rozkleiła. Zamień kilka słów z Billie, jest nad basenem. Przygotowuje dla mnie party. Chcę urządzać duże przyjęcie. Chcę, żeby ludzie dobrze się bawili, zapomnieli o wybuchu w Dzień Niepodległości i śmierci Mike'a Parisiego.

- To były wypadki... - zaczął. Madeleine zmierzyła go zimnym wzrokiem.

- Wiem.

To Billie zorganizowała przyjęcie, na którym doszło do eksplozji petard, ale nawet zawsze podejrzliwa Madeleine nie obarczała jej winą za ten incydent. Wszystkie lokalne gazety rozpisywały się, jak to Pit uratował Allyson i dzieci, co Madeleine skomentowała kilkoma gniewnymi prychnięciami.

Zszedł po kamiennych schodkach nad basen, gdzie siedziała Billie z notesem w ręku, zaopatrzona w butelkę wody mineralnej. Uśmiechnęła się szeroko na widok Pita.

- Madeleine już ci się wyzaliła, że nikt jej o niczym nie mówi? Zapomina, ile ma lat. Na wiadomość o ucieczce wnuków pewnie dostałaby zawału. Nie potrafi okazać miłości, ale kocha te dzieciaki. - Billie upiła łyk wody. - Wiesz, że Kara przywiozła te diabły do Stonebrook?

Pit pokiwał głową.

- Madeleine właśnie mi powiedziała.

- Nie wiem, co oni sobie wyobrażali. Kara jest co prawda adwokatem, ale to twarda Teksanka. Mieli szczęście, że nie odstawiła ich prosto na policję albo do pogotowia opiekuńczego dla nieletnich.

Wcisnął dłonie w kieszenie dżinsów i słuchał z obojętną miną. Nie chciał, żeby Billie wyczytała coś z jego twarzy i nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w rozmowy na temat Allyson czy Kary.

- Madeleine mnie tu przysłała. Podobno chciałaś się ze mną zobaczyć.

- Tak. - Billie zerwała się z leżaka. - Chodzi o to party. W pierwszej chwili pomyślałam o pokazie ogni sztucznych, ale po tym, co się stało w Dzień Niepodległości, zrezygnowałam z fajerwerków. Madeleine nie chce o tym słyszeć. Rzeczywiście, mało brakowało... - Wzdrygnęła się teatralnie, w oczach zamigotała jawna kpina. - Trudno, nie będziemy wysadzać gości w powietrze.

- Billie, na miłość boską...

- Przepraszam. - Nie wyglądała na zawstydzoną. - Należę do tych, którzy uważają, że wszystko dobre, co się dobrze kończy. Nieważne. Wracajmy do rzeczy. Postanowiłam zainstalować oświetlenie wokół basenu. Szeregowe połączenie, lampki choinkowe, ale tylko białe. Kupię je za grosze. Do tego świece w papierowych torbach z piaskiem ustawione wzdłuż ścieżek. Cholera, jak to się nazywa?

- Luminaria.

Billie zaśmiała się i dała Pitowi sójkę w bok.

- Co za słowo w ustach prostego wieśniaka. Pomożesz mi?

Jej zapach był zaraźliwy.

- Jasne. Powiedz tylko, co mam robić.

- Świetnie. - Rozpromieniła się. - Dzięki.

Pit wrócił do pracy. Musiał wzmocnić przyporę przy jednej ze ścian starej stodoły. Szedł przez trawnik i widział oczyma wyobraźni, jak skrada się tam nocą.

Allyson zaraz przyjedzie, ale nie będzie miała dla niego czasu, zbyt pochłonięta dziećmi i ich ucieczką z letniska. Jeśli jednak zwróciłaby się do niego o radę, powie jej, żeby zapytała Lil i Henry'ego o domek na drzewie. Jeśli postanowi go unikać, nie będzie się wtrącał.

Hatch i Madeleine nie chcieli się zgodzić, żeby szła sama do Stonebrook Cottage, ale zignorowała ich sprzeciwy. Ochronie ten pomysł też się nie podobał. Dyskusja toczyła się na zalanym słońcem tarasie. Było gorąco, wilgotno, znikąd najmniejszego powiewu wiatru. Męczący skwar jeszcze wzmagął nerwowe napięcie. Allyson była wyczerpana, ale wiedziała, że jeśli teraz ustąpi, będzie musiała ustępować już zawsze, nikt nie będzie jej słuchał ani liczył się z jej zdaniem. Ludzie z jej otoczenia zaczną ją rządzić, kierować, popychać w obranym przez siebie kierunku. Stanie się marionetką w rękach tych, którzy wolą z ukrycia pociągać za sznurki, niż pokazywać się w mediach.

A wyborcy ? Wyborcy uznają, że dotrwa do końca kadencji Mike'a i zniknie, zapadnie się w niebyt. Jeśli nie postawi na swoim w sprawie, która dotyczy jej własnych dzieci, to nigdy nie zyska autorytetu i nie będzie decydować o żadnych ważnych sprawach.

Henry i Lillian potrzebują jej. Pójdzie do nich. Sama.

- Pójdę przez las, drogą, którą przemierzałam setki razy, zanim objęłam urząd, i którą nadal będę chodziła, kiedy odejdę z urzędu. - Mówiła wyraźnie, stanowczym głosem, chociaż w środku cała się trzęsła z niepokoju. - Będę miała przy sobie pager i komórkę. Gdybym potrzebowała pomocy, zawiadomię was.

Hatch zrobił kwaśną minę, natomiast jego matka oliwiła nożyce, udając, że nie bierze udziału w dyskusji.

Allyson westchnęła.

- To raptem piętnaście minut drogi. Jak już tam dotrę, zadzwonię.

- Allyson, na miłość boską, od śmierci Wielkiego Mike'a minęły zaledwie dwa tygodnie - nie ustępował Hatch.

Rozumiała jego troskę, ale musiała porozmawiać z Karą i przede wszystkim zobaczyć się dziećmi. W cztery oczy. Bez obstawy. Bez tego, co było nieuchronnie związane z jej nową pozycją.

- Zaufajcie mi. Jeśli przewrócę się i rozbiję głowę, stan Connecticut jakoś sobie poradzi. Tracę tylko czas. Niedługo wrócę.

Zeszła z tarasu i skierowała się przez trawnik w stronę lasu i ścieżki prowadzącej prosto do Stonebrook Cottage. Nie mogła się już doczekać, kiedy zobaczy dzieci. Nikt nie zdołałby jej teraz przeszkodzić.

Czuła na sobie twarde, pełne dezaprobaty spojrzenie Madeleine. Ledwie się pojawiła w Bluefield, teściowa już pokazuje humory. Zapewne uważała Ally za dziecinną, upartą i lekkomyślną. Za kobietę, która nigdy nie była dość dobra dla Lawrence'a. Bo przecież dobra żona dostrzegłaby w porę, że dzieje się z nim coś złego, wysłałaby go do lekarza, kiedy jeszcze istniała szansa powstrzymania raka.

Madeleine nigdy nie powiedziała tego głośno, ale tak właśnie myślała i dawała to odczuć Allyson na każdym kroku.

- Zaczekaj - zawołał Hatch.

Allyson nie zatrzymała się, nie zwolniła. Hatch dogonił ją. Dyszał ciężko, siwiejące włosy przykleiły się do spoconego czoła, stalowe spojrzenie przypominało spojrzenie Madeleine.

- Idź - powiedział nieoczekiwanie miękko. - Idź sama do Stonebrook. Biorę to na siebie. Po śmierci Mike'a wszyscy są przewrażliwieni, dlatego robią tyle zamieszania.

- Wiem. - Pierwsza złość minęła i Allyson poczuła się tak, jakby nagle uszła z niej cała energia. - Wy tłumacz wszystko ochroniarzom, nie chcę, żeby poczuli się urażeni. Mam do nich pełne zaufanie...

- Oni o tym wiedzą, Allyson. Wszystko w porządku - zapewnił. Od tak dawna ją wspierał, troszczył się o nią, pomagał.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła, Hatch?

- Dałabyś sobie radę. Jesteś twarda, podobna do mojej matki.

Uśmiechnęła się.

- Powinam ci dać po głowie za to porównanie. Hatch nie odpowiedział uśmiechem. Tak bardzo się różnili: ona w dżinsach i bawełnianej sportowej koszulce, on w garniturze i lśniących półbutach. Nie uspokoiła go wcale wiadomość, że dzieci są z Karą w Stonebrook Cottage.

- Jeśli będziesz mnie potrzebowała, dzwoń - przypomniał jeszcze.

Podziękowała mu i ruszyła szybko przez opadający ku granicy lasu trawnik. Kiedy zobaczyła koło stodoły Pita, jeszcze przyspieszyła kroku, niemal biegła. Już na podjeździe dostrzegła jego furgonetkę, ale starała się o nim nie myśleć. Powinna zająć się dziećmi, one teraz były najważniejsze.

Schylony nad taczkami Pit wyprostował się na jej widok. Sprawiał wrażenie zmęczonego, przepracowanego. Miał jasne włosy i błękitne oczy. Allyson wstrzymała oddech. Od lat był dla niej kimś bardzo ważnym i nie mogła pojąć, dlaczego tak długo nie zauważała, że jest w niej zakochany. Była córeczką doktora z New Haven, żoną dwadzieścia lat od niej starszego dziedzica nazwiska i fortuny Stockwellów, a teraz nie widziała świata poza tym młodszym od niej o cztery lata mężczyzną, który siedział w więzieniu i nie miał żadnego wykształcenia.

- Witaj, Allyson. - Pit zachowywał się tak, jakby nie zauważył, że nieoczekiwane spotkanie wprawilo ją w zakłopotanie. Ogorzała skóra lśniła od potu, włosy miał przewiazane czarną bandaną, dzinsy spuszczone nisko na biodra.

Prosty farmer po wyroku, jej kochanek.

Niemily ucisk w zoladku wzmogł się jeszcze. Dlaczego ukrywala ten zwiasek? Dlaczego tak jej zalezalo na zachowaniu tajemnicy? Gdyby się nie upierala, nie odbieralaby teraz niepokojacych anonimowych telefonow.

- Widzialam twoja furgonetke, ale nie sadzilam, ze zastane cię akurat tutaj. - Sztywne, oficjalne slowa, nawet w jej uszach zabrzmialy falszywie.

- Madeleine prosila, zebym wzmocnil przypore przy polnocnej scianie, wlasnie konczę. - Zmruzył oczy, jego twarz przybrala powazny wyraz, jakby chcial dociec, co Allyson czuje, co myśli. Ludzie go nie doceniaja, przemknelo jej przez glowe. Nie dostrzegaja jego zyciowej mardosci i dojrzalosci. Pamietala, ze byl tak samo powazny i zasepiony, kiedy zdarzył się wypadek w Dzień Niepodleglosci. - Slyszalem o Lillian i Henrym. Wszystko juz w porzadku?

Allyson kiwnęła glowa.

- Idę wlasnie do nich.

- Ludzie juz gadaja...

- Będa gadać, to nieuniknione, ale mam nadzieje, ze media nie rzuca się na nas. Lillian ma dopiero jedenaście lat, Henry dwanaście, nie chcialabym, zeby ich imiona pojawily się nagle we wszystkich wiadomosciach.

- Ludzie będa chcieli wiedzieć, dlaczego nie byli pod stalą ochroną.

- Nie byli... Kropka. I nie będą, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. Tutaj takiej konieczności nie było. - Głos się jej łamał, do oczu napłynęły łzy. - Musze już iść.

Pit oparł się o stylisko łopaty.

- A co z tobą? Wszystko w porządku?

- Tak - przytaknęła machinalnie. - Chciałabym... - Powstrzymała łzy, zniżyła głos. - Chciałabym, żebyś ze mną poszedł, ale to... Nie możesz.

Uniósł łopatę i wbił ją w ziemię, jakby nie dotarły do niego słowa Allyson. Pit słyszał tylko to, co chciał.

- Powiedz tym swoim łapserdakom, że gdyby się nudzili i znowu chcieli dać nogę, to ja znajdę dla nich jakieś zajęcie.

Allyson stała, wahała się. Pit zajął się robotą, dawał jej szansę, by odeszła niepostrzeżenie. Nie chciał rozmawiać na temat ich związku, nie teraz, ale wiedziała, że czekał na wyjaśnienia. Miał do tego prawo. Od jej zaprzysiężenia minęły już dwa tygodnie, a ona ciągle nie zdecydowała, jak powinna postąpić, jak zachować się wobec Pita. Wiedziała tylko, że tęskni za nim, pragnie go duszą i ciałem.

Ruszyła w stronę Stonebrook. Nawet w pierwszych miesiącach po śmierci Lawrence'a nie czuła się tak strasznie samotna jak w tej chwili. Samotna, obolała, zrozpaczona. Ale w dużej mierze sama była temu winna, poddała się emocjom, z którymi nie potrafiła sobie teraz poradzić.

Przeszła przez niewysoki kamienny murek, minęła pole i ruszyła ścieżką przez młodniak porastający zbocze wzgórza. Przeskoczyła przez strumyk, lądując miękko na wilgotnym mchu. Po chwili dopadły ją komary.

Gdzieś niedaleko dzieciół stukał pracowicie w pień drzewa. Dopiero teraz dotarło do niej, że jest zupełnie sama i wolna, nikt jej nie pilnuje i nie

obserwuje. Szła na spotkanie z dziećmi i najbliższą przyjaciółką. Jakie to normalne, zwyczajne, pomyślała z uśmiechem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sam pił już trzecią poranną kawę i słuchał z zadowoleniem, jak Kara tłumaczy się przed bratem. Kilka razy dawała znaki Samowi, żeby poszedł sobie do bawialni, ale on nie ruszał się od kuchennego stołu, chociaż wątpił, żeby zdołała mu uciec.

O świcie wymiotowała. Usłyszał ją, stanął pod drzwiami łazienki, zapytał, czy może jakoś pomóc, ale kazała mu wynosić się do diabła.

Teraz czuła się chyba lepiej, w każdym razie na śniadanie zjadła dwa talerze owsianki na mleku.

Kawa musiała stać otwarta co najmniej rok, bo smakowała wyjątkowo obrzydliwie.

Kara zapewniła Jacka, że nie ma już jego colta 45, ale nie omieszkała mu przypomnieć, że, owszem, potrafi posługiwać się bronią. Jest prawniczką. Ma trzydzieści cztery lata. Doskonale radzi sobie sama, od momentu kiedy wyjechała na studia. Potrafi podejmować decyzje bez pomocy brata.

Jack, podobnie jak Sam, nie dał się przekonać, co można było łatwo przewidzieć, ponieważ Kara zdawała się nic nie rozumieć. Od momentu, kiedy usłyszała, że mali Stockwellowie uciekli z letniska, zachowywała się jak osoba pozbawiona piątej klepki. Albo rzeczywiście była niepoczytalna, albo coś ukrywała. Sam opowiadał się za tym drugim. Pod wieloma

względami przypominała mu Jacka. Obydwoje byli rozsądni do bólu i zdrowi na umyśle, ale kiedy chodziło o ich najbliższych, budziła się w nich chorobliwa nadopiekuńczość i trzymali buzię na kłódkę. Kara kochała Lillian i Henry'ego, dziedziców fortuny Stockwellów, potomstwo nowej pani gubernator stanu Connecticut. Dwa płowowłose aniołki, które na widok Sama zapytały rzeczowo, czy zamierza je aresztować.

- Jack chce z tobą rozmawiać. - Kara podała mu słuchawkę i stanęła na środku kuchni z rękoma założonymi na piersi. Miała na sobie czarne legginsy i białą koszulkę.

- Rozmawiałeś z Susanną - powiedział Sam do słuchawki.

- Kara coś ukrywa.

Owszem, ukrywała. Sam nie miał zamiaru zwierzać się Jackowi, że dwa tygodnie wcześniej spędził noc z jego siostrą, Jack i tak był już wściki. Samolot, pistolet, Stockwellowie...

Susanna nic mu nie powie, nie dlatego, by kogoś kryć. Po prostu wychodziła z założenia, że rzecz wykracza poza obszar zainteresowań Jacka, mówiąc inaczej, nic mu do tego, z kim sypia jego siostra.

- Masz mój pistolet? - dopytywał się Jack.

- Mam.

- Kiedy Allyson Stockwell zabierze dzieci?

- Powinna tu być lada chwila. Jacka nie zadowolila ta odpowiedź.

- Kara wciskała ci kit o poufnych informacjach i prawach klienta?

- Nadal wciska.

- Mogę wsiąść w pierwszy samolot, jeśli uważasz, że się przydam.

- Przy odrobinie szczęścia powinniśmy być dzisiaj wieczorem w San Antonio - uspokoił przyjaciela Sam.

Jack chrząknął gniewnie.

- Nie licz na to. Opiekuj się nią, okay?

- Jasne.

Kara zaklęła pod nosem, a Sam upił łyk kawy. Jakoś nie potrafił wykrzesać z siebie współczucia dla zruganej przez brata pani mecenas.

- Gdybyś zadzwoniła do niego, jak tylko te dzieciaki pojawiły się u ciebie, gdybyście polecili normalnym, liniowym samolotem, gdybyś nie zabrała pistoletu...

Nie dała mu dokończyć.

- Na lotnisku przywitałaby nas gromada ochroniarzy. Dowiedzieliby się, jakim samolotem lecimy. Gdybym zadzwoniła do któregoś z was, w ogóle nie wywiozłabym dzieci z Teksasu.

- Słusznie.

Kara chwyciła swój telefon komórkowy.

- Obiecałam Lillian i Henry'emu, że im pomogę, i dotrzymałam słowa.

- Ludzie na ogół nie dotrzymują obietnic dawanych dzieciom.

- Ja dotrzymuję.

Wyszła na zewnątrz, trzaskając siatkowymi drzwiami. Sam wylał do zlewu resztę kawy. Kara była pewnie dodatkowo rozdrażniona porannymi wymiotami. Wyszedł za nią przed chatę i wciągnął w płuca rześkie powietrze. Jak na Nową Anglię ranek należało pewnie uznać za ciepły.

Usadowił się w drewnianym fotelu ogrodowym pod wielkim klonem i przyglądał się, jak Kara zdejmuje kratę z grilla i kładzie ją na stole, jak idzie do kuchni, wraca z miską gorącej wody, jak potem przynosi gąbkę, druciak, papierowe ręczniki, gumowe rękawice. Kiedy już zgromadziła wszystko, zaofiarował się z pomocą, ale propozycja została odrzucona.

- Dlaczego nie wracasz do Teksasu? - Nie podniosła nawet głowy. - Jak będziesz tu zbyt długo siedział, w naszym pięknym stanie rozpleni się przestępczość.

Sam wyciągnął nogi i powiedział sobie, że nie da się sprowokować.

- Dwa dni temu skończyłem prowadzić dochodzenie na granicy z Meksykiem. W tej chwili czeka mnie trochę papierkowej roboty, nic pilnego. Mój porucznik wie, gdzie jestem. - Jego porucznik, czyli jej brat.

- Susanna nie powinna była zmuszać cię do przyjazdu tutaj.

- Przyjechałbym, nawet gdyby mnie o to nie prosiła.

Raczej kazała niż prosiła, ale rzeczywiście nie dlatego wybrał się w podróż. Kara miała kłopoty, nie mógł jej tak zostawić bez pomocy.

Kara zanurzyła druciak w wodzie z proszkiem.

- Nie znalazłbyś mnie, gdyby nie jej wskazówki.

Nic nie powiedział. Ważne, że w końcu ją znalazł.

Zmywak niewiele pomógł w usuwaniu zapieczzonego brudu i Kara wrzuciła go z powrotem do wody z takim impetem, że ochlapała sobie przy okazji białą koszulkę.

- Teraz rozumiesz, dlaczego tak długo mieszkałam na Północy? -

Oderwała kawałek papierowego ręcznika i zaczęła się wycierać. - W Teksasie nie mogłam swobodnie oddychać. To wielki stan, ale wystarczyło, by w moim domu pojawiły się dzieciaki, które szukały pomocy, a już deptało mi po piętach dwóch dzielnych Strażników Teksasu...

- Te dzieciaki są nieletnie, uciekły z letniska, a ich mamusia sprawuje urząd gubernatora.

- To tylko dzieci.

- Właśnie. - Sam skrzyżował stopy, rozkoszując się miłym porankiem. - Mogłabyś oddychać pełną piersią również w Teksasie i korzystać z uroków wolności, gdybyś nie robiła głupstw. Ale ty zabrałaś samolot Jacka, ukradłaś jego broń. Postawiłaś jego żonę przed trudnym wyborem: albo okłamać męża, albo zdradzi twoje zaufanie...

- Henry i Lillian są dla mnie ważniejsi niż drobne rodzinne nieporozumienia i niezręczne sytuacje. - Spojrzała na Sama, ale w jej wzroku było więcej wahania niż zamierzonej złości. - Co twoim zdaniem powinnam była zrobić?

Nie oczekiwała odpowiedzi, ale Sam mimo to odparł:

- Zaprosić mnie na kukurydzę i pozwolić porozmawiać z dziećmi.

- Jasne. Wujek Temple Dobra Rada przybywa z pomocą. Na pewno natychmiast by cię pokochały i zwierzyły się ze wszystkich kłopotów...

- Tak właśnie powinnaś była postąpić i dobrze o tym wiesz.

Przez chwilę myślał, że rzuci w niego papierowym ręcznikiem, ale jakoś się powstrzymała.

- Ja tu gram trochę inną rolę niż ty. Jestem ich matką chrzestną, adwokatem i przyjaciółką ich matki. Weź to, proszę, pod uwagę. Poza tym - znów zajęła się szorowaniem kratownicy grilla - wiem więcej niż ty.

Przyglądał się jej i nagle zrozumiał, że tamta noc dwa tygodnie temu wcale nie była jedyna i ostatnia. Czuł, wiedział niemal na pewno, że będzie się jeszcze kochał z Karą. Że to nieuniknione.

- Doskonale wiem, jak to jest, kiedy sprawy osobiste wchodzą w konflikt z obowiązkami zawodowymi.

- Mam wobec Lillian i Henry'ego zobowiązania moralne i zawodowe. I kocham oboje, bez względu na wszystko.

- Nie ma miłości bezwarunkowej. Kara podniosła głowę.

- To cynizm. Im szybciej wrócisz do Teksasu, tym lepiej. Nie jesteś mi tu do niczego potrzebny.

- Naprawdę nikogo nie potrzebujesz?

Nie odpowiedziała, ale przez jej twarz przemknął grymas irytacji, może lęk...

- Jestem po twojej stronie.

- Jeszcze przed chwilą odgrażałeś się, że mnie aresztujesz.

- I miałbym ku temu wszelkie podstawy, co nie oznacza, że nie jestem po twojej stronie.

Kara westchnęła ciężko.

- Sam, nie jesteś po niczyjej stronie. To sprzeczne z twoim charakterem. Urodziłeś się, by być samotnym wilkiem.

Samotny wilk. Dawno nie słyszał tego określenia. Wstał z fotela, podszedł do Kary.

- Dlaczego wymiotowałaś dzisiaj rano?

- Strułam się jakimś świństwem. - Wyłowiła druciak z miski i zaatakowała kratownicę ze zdwojoną energią. - Już mi lepiej. Może to ze zdenerwowania...

Sam pokręcił głową.

- Nie wyglądasz na znerwicowaną osobę. Najwyraźniej ją spłoszył, bo zostawiła kratownicę i ruszyła do kuchni.

- Trzeba odczekać, aż zapieczony brud i tłuszcz puści pod wpływem proszku - wyjaśniła. - Chcesz, żebym dowiedziała się, o której masz najbliższy lot? - zapytała jeszcze, odwracając się w progu.

- Nigdzie nie lecę.

- Mogę cię stąd wyrzucić - stwierdziła obojętnym tonem.

Sam wzruszył ramionami.

- Jack powiedział, że jest gotów przylecieć tu w każdej chwili. Ja albo on, wybieraj.

Kara pchnęła siatkowe drzwi.

- Poddaję się. W przeciwnym razie skończy się tak, że będę miała was obu na karku. Zostań. Zabrałeś mi pistolet, ale gdybym go potrzebowała... - Upuściła gąbkę i szybko podniosła. - Nieważne.

- Kara...

Udała, że nie słyszy, i zniknęła w kuchni. Sam opadł z powrotem na fotel w cieniu klonu i zaczął analizować motywy postępowania Kary. Henry i Lillian zwolnili ją z obowiązku zachowania tajemnicy w sprawie sfalszowanego listu - to było wszystko, czego dowiedział się od dyskretnej pani adwokat. Cholera jasna, te wszystkie tajemnice zaczynały mu działać na nerwy.

Cokolwiek ów list zawierał, skłonił Karę do opuszczenia Teksasu w trybie natychmiastowym. Nie chciała go pokazać, choć Sam nalegał. Twierdziła, że Sam nie ma prawa żądać od niej czegoś takiego.

A może by tak przeszukać jej bagaże? W Connecticut nie potrzebował nakazu, był prywatną osobą, znajomym Kary z Teksasu, facetem, z którym spędziła jedną noc, kiedy utopił się Wielki Mike.

Tyle że rzecz nie miała skończyć się na tej jednej nocy. Czuł to. Czuł, że wiele jeszcze się wydarzy, zanim znajdą się znowu w Teksasie.

Z chaty wybiegła Lillian i w sekundę później siedziała już w fotelu naprzeciwko Sama. W każdym calu była panienką z dobrego domu, produktem jankeskiej elity, może z wyjątkiem podrapanych nóg i nabzdyczonej miny.

- W Teksasie jest dużo jadowitych węży, prawda? - Nabzdyczenie najwyraźniej odnosiło się do tych gadów.

- Nie wiem, czy dużo, ale tak, madame, w Teksasie są jadowite węże.

Lillian parsknęła śmiechem.

- Dlaczego mówisz do mnie „madame”?

- Wolisz, żebym mówił panno Lillian?

- Wystarczy po prostu Lillian - oznajmiła z powagą. - Albo Lil.

Henry i mama mówią do mnie Lil. Ciocia Kara też mnie tak czasem nazywa, ale rzadko.

- A koleżanki i koledzy ze szkoły, jak się do ciebie zwracają?

- Lillian.

- Ładne imię. Interesują cię węże?

- Wcale. Nie znoszę węży. Moja przyjaciółka Cicely lubi je łapać.

Kiedyś złapała trzy malutkie wężyki, a ja zaczęłam okropnie wrzeszczeć.

Były obrzydliwe. Wiły się strasznie, a ona chciała, żebym je pogłaskała. -

Zrobiła teatralną minę i wysunęła język. - Bleeeee.

Sam usadowił się wygodniej w fotelu. Panna Lillian szybko go zaakceptowała.

- Najlepiej zostawić węże w spokoju, wtedy one ciebie też zostawią w spokoju.

- To samo mówili nam na lotnisku. Wszystkich pytałam i pytałam, ale nikt mi nie chciał powiedzieć, jakie gatunki jadowitych węży żyją w Teksasie. A ty wiesz jakie?

- To zależy gdzie. Teksas jest wielki. Mamy mokasy na błotnego, jest też wąż koralowy, chyba osiem odmian grzechotnika. W mieście raczej trudno spotkać węża.

Lillian wzdrygnęła się.

- Osiem odmian grzechotnika. Nie chcę nigdy więcej jechać do Teksasu. Henry mówi, że w Connecticut też są jadowite węże, ale ja mu nie wierzę. Głupek. A ty wierzysz, że w Connecticut są jadowite węże?

- Nie wiem nic o węzach mieszkających w Connecticut. - Sam uznał, że najlepiej być szczerym. - Chyba macie tu grzechotnika leśnego, ale występuje dość rzadko.

Lillian najwyraźniej wolałaby usłyszeć, że w Connecticut w ogóle nie ma i nigdy nie było żadnych jadowitych stworzeń.

- Ja nigdy żadnego nie widziałam - oznajmiła z mocą.

Sam roześmiał się.

- To przesądza sprawę, panno Lillian.

Lillian wbiła wzrok w jeden punkt i Sam odruchowo zerwał się z fotela. W sekundę później zerwała się Lillian i pisnęła głośno na widok jasnowłosej kobiety, która wyłoniła się spośród drzew:

- Mamusiu!

Rzuciła się przez trawnik w stronę matki. Sam patrzył, jak Allyson Lourdes Stockwell chwyta córkę w ramiona, tuli ją, a potem okręca w radosnym powitaniu.

Z chaty wypadł Henry, dobiegł do kamiennego murku, tu się zatrzymał i czekał, aż Allyson postawi Lillian na ziemi i obie przejdą przez niski kamienny murek. Wetknął dłonie do kieszeni, ziewnął szeroko i powiedział nonszalancko, a nawet lekko znudzonym tonem:

- Cześć, mammo.

- Cześć, Henry. - Allyson uśmiechnęła się, przygarnęła syna do siebie i pocałowała go w czubek głowy. - Cieszę się, że wróciliście.

Tęskniłam za wami.

Sam przyglądał się z prawdziwym zainteresowaniem tej rodzinnej scenie. Jego matka była nauczycielką kochała dzieci, ale gdyby wykręcił jej taki numer, jaki wykręcili właśnie Lillian i Henry, przez tydzień nie mógłby usiąść na tyłku.

Teraz Kara wyszła przed dom. Nawet jeśli bała się, że przyjaciółka będzie miała jakieś zastrzeżenia co do jej postępowania, nie dała po sobie niczego poznać. Niewątpliwie przydały jej się doświadczenia wyniesione z sali sądowej.

- Mamo, pozwól, że przedstawię ci sierżanta Samuela Temple'a, Strażnika Teksasu - powiedział Henry tonem księcia Walii. - Sierzancie, to moja mama, Allyson Stockwell.

- Miło mi panią poznać. - Sam uściśnął wyciągniętą dłoń. Ładna, elegancka pani, pomyślał, ale na jej twarzy widać, ile ostatnio przeżyła.

- Dziękuję, dziękuję za wszystko. - Podeszła do

Kary. Obydwie były spięte, jakby bały się, że każde słowo, każdy gest może pogorszyć trudną sytuację. Allyson uśmiechnęła się blado. - Przepraszam cię. Myślałam, że pobyt na letnisku dobrze im zrobi. Czekali na ten wyjazd całe lato, cieszyli się, że przy okazji cię odwiedzą.

- Nie przepraszaj, Allyson. Nic się nie stało - zapewniła Kara. - Dotarliśmy tu szczęśliwie, to najważniejsze. Wejźmy do środka... albo usiadźmy w ogrodzie.

Allyson chwyciła przyjaciółkę za rękę.

- Karo...

- Wszystko w porządku, Allyson. Ej... mamy cały dzbanek świeżej lemoniady. I lód.

- Świetnie, napijemy się lemoniady - powiedziała Allyson machinalnie, nie zdając sobie sprawy, co mówi, i dodała nieoczekiwanie: -

Przygotowałam oficjalne oświadczenie, w którym stwierdzam, że dzieci samowolnie opuściły lotnisko i pojechały do ciebie. Koniec, kropka. Nie ma w tym kłamstwa, jest natomiast wyraźna informacja dla mediów, że to sprawa wyłącznie rodzinna i mają zostawić nas w spokoju. No i zdaniem Hacha, prawdopodobnie zostawią. Ze względu na dzieci nikomu nie będzie zależało na rozdmuchiwaniu sprawy. Nie sądzę, żeby zjawili się tu dziennikarze.

Henry pociągnął matkę za rękę.

- Chodź, mamó, napijemy się lemoniady.

- Proszę? - Najwyraźniej nie dotarło do niej wcześniejsze zaproszenie Kary. Ocknęła się szybko, uśmiechnęła i potarła syna za włosy. - Jasne, napijmy się lemoniady. Chcę usłyszeć tę „niesamowitą opowieść”, którą sprzedaliście Karze.

Kara patrzyła chmurnym wzrokiem, jak Allyson z dziećmi wchodzi do kuchni.

- Coś złego dzieje się z twoją przyjaciółką - mruknął Sam. - Dzieciaki to czują, tak jak ty. Idę o zakład, że niczego się od nich nie dowie.

Kara zacisnęła dłonie, przygryzła wargę, najwyraźniej też postanowiła milczeć.

- Może podzielisz się ze mną tą „niesamowitą opowieścią” - zasugerował ostrożnie.

Zamiast odpowiedzieć, oderwała kawałek ręcznika z rolki i zaczęła wycierać kratownicę.

- Brud powoli puszcza - mruknęła.

Allyson, zgodnie z obietnicą, zadzwoniła najpierw do Hacha i poinformowała go, że bezpiecznie dotarła do chaty. Usadowiła się wygodnie, by wysłuchać opowieści dzieci, ale dzieci nie miały nic do powiedzenia. Nie zamierzały zdradzić rzeczy najważniejszych: dlaczego uciekły, dlaczego zjawily się u Kary, dlaczego zmusily ciotkę, żeby odstawiła je do Stonebrook. Nabraly wody w usta.

Allyson zrobiło się przykro.

- Boicie się kłopotów, dlatego milczycie? - zapytała w końcu.

- Nie. - Henry wypil już jedną lemoniadę i ponownie napełnił szklanke. - Ciocia Kara jest naszym adwokatem. Dopilnuje, żebyśmy nie mieli żadnych kłopotów.

- Henry, Kara nie może być waszym adwokatem...

- Ona mówi, że wszystko, co jej powiedzieliśmy, jest poufne.

- Jeśli powierzyliście jej informacje w przekonaniu, że może was reprezentować, to owszem, ale... - Allyson starała się mówić spokojnie, bez okazywania zniecierpliwienia i rozczarowania. - Jesteście moimi dziećmi, muszę wiedzieć, co się z wami dzieje. Chcę wiedzieć. Lillian, ty też nie masz rai nic do powiedzenia?

Lillian, podobnie jak matka, nawet nie tknęła swojej lemoniady.

- Żołądek mnie boli - oznajmiła.

Allyson musiała się poddać. Wiedziała, że nalegania nic nie dadzą. Ktoś radził jej, by zbytnio nie naciskała. Nie pamiętała kto. Jej matka? Madeleine? Opiekunowie z letniska w Teksasie? Nie mogła sobie przypomnieć.

- Cieszę się, że jesteście cali i zdrowi. Powiecie mi, co się stało, kiedy uznacie za stosowne. Jeśli jest coś, co absolutnie powinnam

wiedzieć, na pewno z tym do mnie przyjdziecie. Albo poprosicie Kare, żeby porozmawiała ze mną w waszym imieniu.

Henry zamknął lodówkę i wrócił do stołu.

- Jasne, mamo.

- Przez kilka dni mogę pracować tutaj, w Bluefield. Nie musimy wracać od razu do Hartford. Babcia będzie się mogła wami nacieszyć.

- Kiedy przeprowadzimy się do rezydencji gubernatora? - zapytała Lillian.

- Niedługo. Zatrzymamy nasz dom w West Hartford, nadal będziecie chodzić do tej samej szkoły...

- Wiemy - uciał Henry.

No to sobie porozmawialiśmy, pomyślała rozczarowana Allyson.

- Przez ostatnie dwa tygodnie miałam nawał zajęć. Nowe obowiązki spadły na mnie jak grom z jasnego nieba, ale teraz jest już lepiej. Sierpień to generalnie spokojny miesiąc dla władz stanowych, niewiele się dzieje. - Chryste, zaczyna przemawiać jak polityk, który żyje z terminarzem w ręku, a nie jak rozsądna, panująca nad sytuacją matka.

Uśmiechnęła się niepewnie. Nie miała pojęcia, co dzieje się z jej dziećmi. Cóż, od nich niczego się nie dowie, a Kary nigdy w świecie nie zapyta, co za „poufne informacje” przekazali jej Henry i Lillian.

- Z czasem wszystko się ułoży - powiedziała.

Henry zajął się lemoniadą, Lillian utkwiła spojrzenie gdzieś w przestrzeni. Podniosła szklanekę, zachmurzyła się po czym zwróciła do matki:

- Mamo, czy w Connecticut są jadowite węże? Henry mówi, że są, a Sam to potwierdził.

Allyson spodziewała się wszystkiego, ale nie rozmowy na temat węży w Connecticut. Już miała rzucić ostrą uwagę, jednak w ostatniej chwili się pohamowała.

- W naszym stanie na pewno żyje grzechotnik leśny, ale występuje niezwykle rzadko. Skąd to pytanie?

- Lillian po prostu chce wiedzieć - odpowiedział za siostrę Henry. - Udaje, że boi się węży.

- Hm, to było trudne lato. - Allyson podeszła do zlewu i wylała prawie nie tkniętą lemoniadę. - Wydarzyło się wiele nieoczekiwanych rzeczy. Trzeba czasu, żebyśmy ochłonęli i przyzwyczaili się do nowej sytuacji.

Lillian podniosła wzrok na matkę.

- Dlaczego ktoś inny zamiast ciebie nie może być gubernatorem?

- Owszem, może i będzie, ale dopiero po wyborach. Na razie ja muszę pełnić urząd. Tak jest zawsze. Kiedy umiera gubernator, jego urząd obejmuje zastępca... Wielki Mike zmarł i musiałam przejąć jego obowiązki.

- Jesteś zadowolona? - Pytanie Henry'ego zabrzmiało jak atak... albo wyrzut.

- Nie jestem zadowolona - szepnęła Allyson, jeszcze zaszokowana. - Mike był moim przyjacielem. Przyjaźnił się z waszym ojcem na długo przed naszym ślubem. Nie - powtórzyła. - Nie chciałam, żeby przytrafiło mu się coś złego.

- Ja nie o tym myślałem. - Henry mówił cicho, ale patrzył na matkę twardo, jakby chciał powiedzieć: nie oszukasz mnie. - Pytam, czy fajnie jest być gubernatorem, czy ci się to podoba.

Allyson czuła, że rozmowa ją przerasta. Nie odpowiadała na pytania syna tak, jak by chciała.

- Nie potrafię powiedzieć. Jeszcze zbyt wcześnie na ocenę - odparła zgodnie z prawdą. Opuściła bezradnie ramiona.

Bała się, że każde następne słowo może tylko pogorszyć sytuację. Bała się, że dzieci już wkrótce ją znienawidzą. Kochała je bezgranicznie, ale nie mogła żyć wyłącznie dla nich. Jednak samorealizacja w roli pani gubernator to może przesada, szczególnie po tragicznej śmierci Wielkiego Mike'a.

Henry przyjął chyba odpowiedź za dobrą monetę, Lillian udawała, że nie słucha; zawsze tak się zachowywała, kiedy chciała uniknąć konfrontacji.

- Nauczę się być gubernatorem - mówiła Allyson. - Nauczę się gospodarować czasem. Ostatnie dwa tygodnie były wyjątkowo ciężkie, ale to się zmieni. Wielki Mike odszedł, a my musimy nauczyć się żyć bez niego. - Zamilkła na moment, ale żadne z dzieci nie odezwało się. - Nie wysłałam was do Teksasu dlatego, że chciałam się was pozbyć.

- Wiemy - powiedział Henry takim tonem, jakby matka była kompletną idiotką która w dodatku uważa swoje pociechy za równie upośledzone na umyśle.

Allyson, o dziwo, ucieszyła ta reakcja. Była dumna z syna.

- Jeśli czegoś nie rozumiem, wyjaśnij mi to, proszę.

Henry wstał, sięgnął po szklanekę z lemoniadą.

- Możemy wyjść na zewnątrz? Strasznie tu duszno. Chodźmy nad strumyk.

- Chodźmy - zawtórowała mu Lillian.

Allyson w pierwszym odruchu chciała ich zatrzymać, dopóki nie powiedzą wszystkiego, nie wyjaśnią, co w nich wstąpiło, żeby uciekać z letniska i opowiadać Karze niestworzone historie, ale tylko kiwnęła głową.

- Nie odchodźcie za daleko i uważajcie na siebie,

- Będziemy mogli zostać tutaj na noc z ciocią Karą? - zapytała Lillian.

- Nie wiem, czy ciocia będzie mogła zostać...

- Będzie mogła - zapewnił Henry. - Powiedziała, że wzięła kilka dni wolnego.

Tak, to był chyba niezły pomysł. Dzieci lubiły Karę, jeśli spędzą z nią kilka dni, na pewno uspokoją się i zapomną o swojej „niesamowitej opowieści”. Allyson też przyda się trochę czasu, żeby przywyknąć do nowej roli oraz postanowić coś w sprawie anonimowych telefonów. Jeśli ten człowiek nie przestanie wydzwaniać, będzie musiała komuś o tym powiedzieć. Nie może udawać w nieskończoność, że nic się nie dzieje.

Kiedy dzieci pobiegły nad strumyk, Allyson wyszła z chaty. Sam na jej widok wycofał się uprzejmie, by mogły spokojnie porozmawiać.

- Zadziwiasz mnie czasami, Karo - powiedziała i odprowadziła go wzrokiem.

Kara, która siedziała pod drzewem w fotelu ogrodowym, udała, że nie słyszy uwagi przyjaciółki. We wszystkich innych sprawach otwarta, nigdy nie lubiła mówić o swoim życiu prywatnym, nigdy nie zwierzała się ze swoich tęsknot i marzeń. Allyson też nie była wcale pewna, czy opowiedziałaby Karze o swoim związku z Pitem, gdyby ta nie przeniosła się do Teksasu. Prawdopodobnie nie powiedziała, co nie znaczyło, że nie tęskniła za zwierzeniami i rozmowami z Karą.

- Nie puścili pary z ust, prawda? - Kara zaprosiła Allyson gestem, żeby usiadła obok niej. - Miałam nadzieję, że jednak ci powiedzą, prosiłam o to.

- Nic się nie stało. To znaczy stało się, ale potrafię być cierpliwa. Najważniejsze, że wrócili do domu. - Allyson usiadła w fotelu. Ileż to razy siedziały w tym samym miejscu, popijając drinki, żartując, gadając o różnych sprawach i obserwując bawiące się dzieci. Kiedyś zrobiły im nawet huśtawkę z opony... - Oni ci ufają, Karo. Dziękuję Bogu, że zwrócili się właśnie do ciebie. Pewnie narobili ci mnóstwo kłopotów... Kara machnęła ręką.

- Nieważne. Masz wspaniałe dzieci.

- Owszem. Jedenaście i dwanaście lat. - Allyson uśmiechnęła się smutno. - Wyobrażasz sobie, jacy będą za kilka lat?

Kara wybuchnęła śmiechem.

- Teraz rozumiesz, dlaczego przy pierwszej nadarzającej się okazji związałam do Teksasu?

- Jesteś okropna. Oni tak za tobą tęsknili... Ja też. I Hatch tęsknił. - Allyson zawiesiła głos, choć wiedziała, że nie doczeka się reakcji ze strony Kary. - Chciałby się z tobą zobaczyć.

- Nie podoba mu się moje postępowanie?

- Od momentu kiedy zadzwonili z letniska, że dzieci zniknęły, Hatchowi nic się nie podoba. Powinnaś była słyszeć, jak przekonywał twojego brata, że nie należy wszczynać alarmu. - Allyson wyprostowała nogi. Z Karą czuła się zupełnie swobodnie. Uśmiechnęła się pod nosem. - Domyślałam się, że dzielny sierżant Temple nie przyjechał tu na twoje zaproszenie?

- Sam się zaprosił.

- Ach. Chroni cię...

- Nie. Kombinuje, jak mnie odstawić z powrotem do Teksasu i wsadzić za kratki.

- Kto wie, to mogłoby być nawet zabawne.

- Allyson!

- Rany, od kilku dni po raz pierwszy poczułam ochotę na żarty. Mike by się nie przejął, już słyszę, jak mówi, że prawo masz po swojej stronie. - Allyson przez chwilę w milczeniu obserwowała bąka krążącego wokół pąsowych malw pod oknem kuchennym. - Dzieciaki chcą zostać tu z tobą dzień, dwa. Zgodzisz się? Może to rzeczywiście dobry pomysł. Wszyscy zdążymy przez ten czas ochłonać po ostatnich wydarzeniach.

- Wiesz, że możesz na mnie liczyć. Chętnie pobędę trochę z Lillian i Henrym. Jestem bardzo przemęczona, przyda mi się kilka dni odpoczynku.

- Twoja praca...

- Dostałam polecenie odgórne. Szef wręcz kazał mi wziąć wolne. Ostatnio przesadzałam, siedziałam w biurze od świtu do nocy.

- Wiedziałam, że tak będzie, jak tylko zawiadomiłam cię o śmierci Mike'a. Zawsze zakopujesz się w robocie, kiedy coś cię gryzie.

Kara pokiwała głową.

- To straszne, że już go nie ma.

- Straszne.

Podniosły się i ruszyły nad strumyk. Dzieci uganiały się za żabą, która próbowała im zwiać. Pożegnali się z matką jak gdyby nigdy nic i wrócili do zabawy. Allyson powiedziała, że mogą tę noc spędzić jeszcze w Stonebrook i żeby do niej dzwoniли, jeśli będą chcieli porozmawiać.

- Po południu przyniosę wam ubrania na zmianę, dobrze?

- Dobrze, mam - powiedział Henry, nie przerywając polowania na żabę,

Allyson wracała do domu, łykając łzy. Dlaczego dzieci nie chciały jej nic powiedzieć? Co się stało? Kara też nabrała wody w usta, nawet jednym słowem nie skomentowała sytuacji ani zachowania dzieci. Sam Temple zajął się czyszczeniem kratownicy. Zrobił na Allyson wrażenie człowieka, który nie toleruje wykrętów i nie pozwoli sobie wciskać kitu, ale najwyraźniej i jemu nie udało się zmusić Kary i dzieci do mówienia.

Zaproponował, że odprowadzi Allyson, ale pokręciła głową.

- Nie ma potrzeby.

- Nie przekonasz go - ostrzegła Kara z uśmiechem. Sam spojrzał na nią tak, że pod Allyson ugięły się kolana, choć przecież spojrzenie nie było adresowane do niej.

- Idąc tutaj, stoczyłam walkę z własną ochroną, żeby zostawili mnie w spokoju.

- Oni muszą cię słuchać. Sam nie musi. Nie znasz go jeszcze, Allyson.

- Dobrze, poddaję się. Idziemy, panie...? Jak właściwie należy się do pana zwracać?

- Sam, madame.

Ciemne oczy, muskularna sylwetka i ten uśmieszek... Na Karze musiało to robić wrażenie, tak jak na Samie bez wątpienia musiały robić wrażenie ciemne oczy Kary i jej szczupła sylwetka. Widok Strażnika

Teksasu u boku Kary Galway wprowadził Allyson w doskonały humor, po raz pierwszy od kilku dni miała dobry nastrój. Gdyby żył Mike, mieliby o czym poplotkować...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kara wróciła nad strumyk. Lillian przykucnęła między paprociami, w miejscu gdzie strumyk rozszerzał się, tworząc niewielkie oczko wodne i wpatrywała się w siedzącą na mchu żabę.

- Ciii - ostrzegła. - Ona się boi.

- Czego?

- Nie wiem.

Żaba wykonała długi skok i z głośnym pluskiem wylądowała w wodzie, a przestraszona Lillian gwałtownie drgnęła, po czym wstała i otrzepała kolana. Henry podniósł się z kamienia, na którym przed chwilą przysiadł, i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Wiedziałem, że jej nie złapiesz.

- Wcale nie zamierzałam jej łapać - oznajmiła Lillian. - Powinna być wolna.

- Ej, obserwatorzy przyrody - zagadnęła Kara. - Jeśli mamy tu zostać kilka dni, musimy pomyśleć o jedzeniu. W tej chwili dysponujemy jedynie płatkami owsianymi, zwietrzałą kawą i lodami w dużych ilościach. Wy może nie musicie jeść, ale ja niedługo na tym pociągnę.

- Jest jeszcze makaron i ser - poinformowała ją Lillian usłużnie.

- Oraz jedna pomarańcza - dodała Kara. - Wyświadczyć mi przysługę. Sam poszedł odprowadzić waszą mamę do Stockwell.

Chciałabym, zanim wróci, pojechać do miasteczka i zrobić zakupy.

Kara planowała wykorzystać nieobecność Sama. Zostawił ją i dzieci samym sobie w nadziei, że uda mu się wyciągnąć coś z Allyson. Strażnik Teksasu na tropie tajemnicy... Nie zamierzał marnować czasu na

czyszczenie grilla. Nie pozwolilby Karze pojechać samej do miasteczka, ale szczęśliwie postanowił zająć się Allyson. Cóż, jedzenie i tak należało kupić. Lillian i Henry pomogą jej sporządzić listę zakupów, potem posprzątają w chacie. Jednak przede wszystkim Kara chciała pokazać Samowi, że będzie robić to, co uzna za słuszne. Nie pozwoli, by ktoś dyktował jej warunki.

Wiedziała, że wyczytał z zachowania Allyson to samo, co ona - napięcie, zmęczenie, troskę. Śmierć Wielkiego Mike'a, nowe obowiązki, zniknięcie dzieci, wszystko to odcisnęło na Allyson widoczne piętno. Skwapliwie podchwyciła pomysł, by dzieci zostały jeszcze w Stonebrook. Kara zastanawiała się, czy ludzie z otoczenia Allyson, którzy widywali ją codziennie, też dostrzegli zmiany, jakie w niej zaszły.

Ulotniły się gdzieś jej zwykły optymizm i pewność siebie. To już nie była ta Allyson, z którą Kara żegnała się w zeszłym roku.

Sam nie musiał znać szczegółów ucieczki dzieci z letniska, żeby dostrzec, że z panią gubernator Lourdes Stockwell dzieje się coś złego.

Henry zareagował pierwszy, Lillian ruszyła zaraz za nim. Pobiegli w stronę chaty, wyprzedzając Karę. Zawołała jeszcze za nimi, że wezmą wóz Sama. I tak blokował jej samochód, a kluczyki leżały na komodzie w sypialni. Uznała, że tak będzie prościej i szybciej.

Henry najwyraźniej jechał do miasteczka z musu, ale minę miał dość obojętną. Nikt by się nie domyślił, że przed chwilą odbył trudną rozmowę z matką czy też raczej konsekwentnie unikał odpowiedzi na niewygodne pytania.

- Jeśli naprawdę grozi wam niebezpieczeństwo - zaczęła Kara - powinnam kogoś o tym poinformować. Będziecie potrzebowali ochrony. Człowiek, który was śledził, być może podążał naszym śladem.

Henry tylko wzruszył ramionami, ale Lillian wychyliła głowę z tylnego siedzenia.

- Sam nas obroni. Ma pistolet.

Kara z wrażenia omal nie zjechała na pobocze.

- Skąd wiecie? Czy wy wszystko widzicie?

- Jasne - dodał Henry. - Sam nas obroni.

Kara puściła mimo uszu uwagę Henry'ego. Woląca nie wyjaśniać mu, że Sam jest człowiekiem, który zawsze postępuje zgodnie z prawem i w razie jakiegokolwiek zagrożenia z pewnością ściągnie do chaty wszystkich ochroniarzy z urzędu gubernatora stanu Connecticut.

- Sam nosi broń, bo nie chce, żebyście wy mieli do niej dostęp. - Albo ja, dodała w myślach. - Jest zawodowym policjantem, a nie pomyłecem, który zacznie strzelać z biodra, gdy coś mu się nie spodoba. Użyje broni tylko w ostateczności.

- Gdybyś zobaczyła kogoś obcego, a Sama akurat nie byłoby w pobliżu, co byś zrobiła? - zainteresowała się Lillian.

- Wezwałabym policję...

Lillian aż się zatchnęła z wrażenia.

- Nie możesz, przecież obiecałaś...

- Lillian, Henry, posłuchajcie uważnie. Wasza matka jest gubernatorem. Ma ochronę, której obowiązkiem jest pilnować bezpieczeństwa jej i jej rodziny. Jeśli czujecie się zagrożeni, dostaniecie obstawę, która będzie was pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Nie chcemy żadnych obcych ochroniarzy - powiedział Henry. - Ty nam wystarczysz.

- Pozwólcie mi przynajmniej powiedzieć Samowi o tym człowieku z rancza.

- Ona nam nie wierzy - szepnęła Lillian do brata, nachylając się ku niemu. - Gdyby wierzyła, powiedziała by wszystko mamie, a wiesz, co zrobiłaby wówczas mama...

- Lillian! - Henry rzucił siostrze ostrzegawcze spojrzenie. - Za dużo gadasz.

- Nie wiem, w co mam wierzyć - powiedziała Kara dyplomatycznie. - Staram się nie przesądzać niczego z góry, mieć głowę otwartą na różne ewentualności. Jednak Lillian ma rację, gdybym uważała, że grozi wam poważne niebezpieczeństwo, nie jechałobyście teraz ze mną po zakupy. Nie neguję tego, że śledził was jakiś tajemniczy osobnik, zastanawiam się tylko, jakie to ma znaczenie. W każdym razie dojrzałam w tej historii kilka pocieszających faktów. Ten facet nie próbował się do was zbliżyć, nie chciał wam zrobić krzywdy, no i nie pojawił się na razie w Stockwell.

- Chcesz, żebyśmy powiedzieli o nim mamie? - zapytał Henry.

- Chcę, żebyście opowiedzieli mamie o wszystkim, co was niepokoi.

Kara nie ukrywała zdenerwowania i zniecierpliwienia. Zaczynała mieć dość sekretów i przemilczeń. Utknęła w martwym punkcie, w dodatku czuła cichy żal do Allyson. Jej przyjaciółka w zasadzie umyła ręce, zamiast próbować rozwiązać problem. Kara zerknęła na Henry'ego, potem na Lillian. Na myśl, jakie z nich jeszcze dzieciaki, chciało się jej płakać.

Niech to. Czyżby ta płaczliwość wynikała z ciąży? Przecież hormony nie mogły się aż tak rozszaleć zaledwie w dwa tygodnie. To na pewno stres.

- Jeśli uważacie, że mamie coś grozi, powinniście jej o tym powiedzieć albo poprosić, bym z nią na ten temat porozmawiała - ciągnęła, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. - Takich informacji nie wolno

zatrzymywać dla siebie. To nie w porządku. Jeśli mogę wam coś poradzić, jako wasz adwokat i wasza matka chrzestna, powinniście opowiedzieć mamie o domku na drzewie i o tym, co widzieliście w dniu śmierci Mike'a. Mama na pewno poinformowałaby o wszystkim policję. Nie mielibyście z tego powodu żadnych kłopotów.

Rozmawiali już o tym poprzedniego dnia i dzisiaj rano, za każdym razem z miernym skutkiem.

- Zastanowimy się - powiedział Henry.

- Dobrze, przemyślcie to.

Zatrzymała się przed niewielkim sklepem spożywczym w bocznej uliczce blisko rynku. Dzieci zdejmowały z półek, na co miały ochotę, Kara pakowała do wózka owoce, warzywa, mleko, chleb i lody w smakach, których nie mieli w lodówce. Wzięła też jedno opakowanie witamin, przydadzą się, jeśli okazałoby się, że rzeczywiście jest w ciąży. Miała zrobić test przed dwoma dniami, ale dostała wiadomość o ucieczce dzieci i rozpętało się piekło. Teraz musiała znosić obecność Sama, ale to nie miało znaczenia. Niemożliwe, żeby była w ciąży.

Powinna skupić się na problemach swoich chrześniaków. Próbowwała zachować bezstronność, ale w głębi duszy podejrzewała, że po śmierci Wielkiego Mike'a dzieci z odprysków zasłyszanych informacji, z kilku oderwanych faktów skonstruowały przerażający scenariusz, uwierzyły w spisek i grożące im niebezpieczeństwo. Na lotnisku mogły widzieć kilku różnych mężczyzn, którzy w ich wyobraźni zamienili się w jednego, tajemniczego prześladowcę.

Biorąc pod uwagę, przez co przeszli tego lata, Lillian i Henry potrzebowali fachowej pomocy psychologa, terapeuty, kogoś, kto pokazałby im, w jaki sposób radzić sobie z traumą. Już sama eksplozja

w Dzień Niepodległości była wystarczająco okropnym przeżyciem, a przecież w ogóle nie. wracali w opowieściach do tamtego fatalnego wydarzenia. Potem patrzyli bezradnie na śmierć Mike'a i to wszystko musiało się odbić na ich psychice.

Allyson będzie przeciwna wszelkim interwencjom, tego Kara była pewna. Pamiętała, jak przyjaciółka zachowywała się na pogrzebie Lawrence'a dziesięć lat temu i na pogrzebie Mike'a przed dwoma tygodniami. Należała do tych twardych ludzi, którzy wierzą, że sami sobie poradzą ze swoim cierpieniem. Gdyby ktoś jej powiedział, że stosuje znany w psychologii mechanizm wyparcia, byłaby zdziwiona i oburzona. Dla niej taka postawa była oznaką emocjonalnej dojrzałości i klasy.

Oczywiście osobnik z Teksasu mógł być jakimś pomyłką, który nie miał nic wspólnego z wydarzeniami w Connecticut. W takim wypadku wystarczyło powiedzieć Samowi, że jakiś podejrzany typ kręcił się wokół dzieci, a Sam już by się postarał, żeby teksańska policja odnalazła tego człowieka.

Ani chwili nie zastanawiałby się nad trudnym położeniem Kary, w ogóle by się tym nie przejął.

Włożyła do koszyka dużą paczkę świeżo mielonej kawy z gatunku „szatan na śniadanie”, słusznie przewidując, że czeka ją jeszcze kilka dni w towarzystwie sierżanta Temple'a, znanego miłośnika aromatycznego naparu.

Przy kasie zapłaciła kartą kredytową, przymykając oko na torby chipsów, pudełka ciastek, stertę batoników i ogromną porcję kukurydzy do prażenia.

Przecież Allyson nie powiedziała, że dzieci powinny się zdrowo odżywiać.

Właśnie przepakowywali zakupy z wózka do bagażnika samochodu, kiedy w pobliżu rozległ się znajomy głos:

- Kara? Witaj, tak myślałam, że to ty. - Przed Karą stanęła Billie Corrigan z dwoma ogromnymi torbami czegoś, co wyglądało jak lampki na choinkę. Uśmiechnęła się szeroko do Kary, potem do Lillian i Henry'ego.

- Co u was? Poza tym, że dostarczacie tematu do plotek całemu Bluefield?

Kara odpowiedziała uśmiechem.

- Miło cię widzieć, Billie. Właśnie zrobiliśmy mały wypad na zakupy.

- I nie zaatakowali was dziennikarze? Ty zawsze miałaś szczęście, Karo. - Billie zaśmiała się głośno. Jej dobry humor udzielił się Karze. Nie znały się zbyt dobrze, ale zawsze się lubiły. Billie oparła jedną torbę na biodrze, drugą postawiła na ziemi. - To zdobycze ze sklepu z tandetą. Gdyby Madeleine wiedziała, gdzie kupuję dekoracje na jej przyjęcia, przestałaby korzystać z moich usług. Wszystko jest kwestią umiejętnej prezentacji. Tego nauczyłam się od mojego świętej pamięci zapijaczonego ojca, niech spoczywa w spokoju.

- Jesteś dobra w swoim fachu - powiedziała Kara. Billie zmrużyła oczy.

- Myślisz, że zrobiłabym karierę w Teksasie? Kara parsknęła śmiechem.

- Przyjęlibyśmy cię z otwartymi ramionami.

- „My”? A zatem uważasz się za Teksankę... Nie dziwię się, w końcu urodziłaś się tam, masz tam rodzinę, co też jest ważne. Ja na przykład cieszę się, że zamieszkałam w pobliżu Hacha, chociaż nie widuję go tak

często, jak bym chciała. - Po chwili zwróciła się do dzieci energicznie upychających zakupy w bagażniku. - Co wam wpadło do głowy, żeby nawiewać z letniska? Gdybym była waszą matką, złołabym wam tyłki tak, że przez tydzień nie moglibyście usiąść.

Dziatek mruknęły coś uprzejmie i szybko wsiadły do samochodu, zatrzasnąwszy drzwi. Billie pokręciła głową i powiedziała już poważnym tonem:

- Wcale się nie dziwię, że trochę im odbija. Śmierć Wielkiego Mike'a wszystkich wytrąciła z równowagi. Poza tym każdego z nas od czasu do czasu nachodzi ochota, żeby uciec od własnego życia. Mogę ci w czymś pomóc?

- Chyba nie, ale dzięki za dobre chęci. Gdybym czegoś potrzebowała, na pewno się odezwę.

- Widziałaś się już z Hatchem? - Coś w tonie głosu Billie pozwalało się domyślić, że wiedziała o uczuciu brata dla Kary.

- Jeszcze nie.

- Bardzo za tobą tęsknił.

- Ja też bardzo za wami tęskniłam. Miło było cię zobaczyć, Billie.

Musimy już jechać.

Allyson prowadziła Sama ścieżką przez las i opowiadała, że jeszcze na początku dwudziestego wieku wszędzie wokół rozciągały się pola uprawne. Teraz pozostały po nich jedynie ruiny niskich kamiennych murków wyznaczających miedze, gdzieś resztki drewnianych płotów, zwoje zardzewiałego drutu kolczastego... Podobnie będzie ze zwirowiskiem na zboczu wzgórza, mówiła Allyson. Po latach rana w krajobrazie zniknie bez śladu, bo potęga natury jest niezmierna.

Sam słuchał, prawie się nie odzywał.

Szli teraz między topolami i Allyson ciągnęła, nie zrażona milczeniem towarzysza:

- Charlie i Pit zasypią oczywiście wyrobisko, ale nawet gdyby tego nie zrobili, natura sama dokona dzieła, tyle że będzie trwało to znacznie dłużej. Moja teściowa już nie doczeka... - Allyson uśmiechnęła się smutno.

- Madeleine twierdzi, że zwirowisko niczym się nie różni od kopalni odkrywkowej, ale nie ma racji. Jerichowie doskonale wiedzą, że jeśli nie przywrócą wzgórz do dawnego stanu, zapłacą wysoką karę. Lepsze to, niż gdyby podzielili swoje grunta na niewielkie działki i sprzedawali je mieszkańcom za bająnskie sumy. Och, dopiero wtedy Madeleine by pomstowała.

- Nie macie przepisów strefowych regulujących gęstość zabudowy?

- Mamy, ale w Bluefield są one mniej restrykcyjne niż gdzie indziej. Generalnie realizujemy w Connecticut program zachowania ziem uprawnych. Władze wykupują od właścicieli prawa deweloperskie, ale Jerichowie nie podpisali umowy z władzami stanowymi, mogą robić ze swoją ziemią, co im się podoba.

Sam potoczył spojrzeniem po skąpanych w porannym słońcu wzgórzach.

- Pięknie tutaj. Allyson uśmiechnęła się.

- Owszem, pięknie.

Kiedy przeszli przez łąkę porośłą wysokimi trawami i polnymi kwiatami, w oddali pokazały się zabudowania Stockwell.

- Madeleine ciągle nazywa posiadłość Stockwell Farm - mówiła Allyson - chociaż Stockwell nigdy nie było farmą z prawdziwego

zdarzenia. Owszem, dziadek i ojciec mojego męża hodowali zwierzęta i uprawiali ziemię, ale tylko na swoje potrzeby. - Zaśmiała się z zakłopotaniem. - Czy pan tak działa na wszystkich? Paplę jak najęta...

- Chętnie słucham.

- Stockwellowie są bogaci, mają pieniądze, ja nie mam. Nie narzekam, choć cały majątek odziedziczą moje dzieci. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Na standardy Connecticut to nie jest zawrotna fortuna porównywalna z bogactwem Rockefellerów...

- Nie posiadali ziem, które mogli przekształcić w park narodowy? Allyson spojrzała na Sama z ukosa.

- Ma pan coś przeciwko bogaczom, sierżancie Temple?

Sam uśmiechnął się szeroko.

- Ja? Nie. Pochodzę z Teksasu, gdzie mieszka mnóstwo bogaczy, madame.

- Dobry Boże. Do Kary też pan się tak uśmiecha?

- Na nią to nie działa.

- Tak pan myśli?

Nie, nie myślał tak, ale nie zamierzał rozmawiać na temat Kary z panią gubernator Connecticut, niezależnie od tego, jak długo się przyjaźniły. Czuł wyraźnie, że z tą kobietą dzieje się coś niedobrego. W każdym razie miała na tyle przytomności umysłu, by zawiadomić szwagra, że wraca ze Stonebrook w towarzystwie. Sam nie musiał więc obawiać się, że opadnie go za chwilę zgraja ochroniarzy z pistoletami gotowymi do strzału.

Kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy,omal się nie potknęła i nie przewróciła. Sam chwycił ją za łokieć, przytrzymał. Poczuł, że drży, w dodatku przygryzła wargę aż do krwi.

- To albo Hatch, albo któreś z dzieci - bąknęła wyraźnie zakłopotana swoją gwałtowną reakcją, wyjęła z kieszeni mały aparat, nacisnęła zielony guzik i przez chwilę słuchała, ściskając kurczowo komórkę w dłoni.

- Nie mogę teraz rozmawiać - powiedziała chłodnym, wręcz oficjalnym tonem. - Oddzwonię później. - Zatrzasnęła klapkę aparatu i włożyła go do kieszeni.

- Przepraszam. Nie powinnam była odbierać.

- Nic się nie stało.

Sam obserwował ją uważnie. Z trudem chwytła powietrze, była blada jak płótno, tylko na policzkach pojawiły się niezdrowe czerwone plamy. Sam już był gotów wzywać ochronę. Nie chciał, żeby mu pani gubernator zemdląła na rękach.

Podniosła dłoń i uśmiechnęła się słabo.

- Już wszystko w porządku. Atak paniki. Mam chyba prawo do małego ataku paniki? - Wciągnęła powietrze. - Nic takiego nie zdarzyło mi się od czasów pierwszego egzaminu na studiach. Kara była ze mną, ale niewiele to pomogło. Powinnam była powiedzieć jej wcześniej, jak strasznie się boję. Wszyscy zwierzają się Karze.

- Mike Parisi zwierzył się jej, że nie umie pływać - zauważył Sam.

- Mnie się nie zwierzył, w ogóle nie powierzał mi swoich sekretów. Dowiedziałam się dopiero po jego śmierci. - Mówiła zbyt szybko, tak szybko, że Sam ledwo mógł ją zrozumieć. - Traktował Karę jak córkę, ale myślę, że w tym było coś jeszcze.

- Kochał się w niej?

- Podkochiwał... Być może. Platonicznie. Kara jest typem kobiety, w której mężczyźni kochają się skrycie, na odległość. Jakby się bali, że wszystko runie, jeśli jej dotkną. - Allyson oddychała teraz spokojniej,

czerwone plamy zaczęły znikać, powoli wracała do siebie. W jej oczach nieoczekiwanie pojawił się wesoły błysk. - Ale pan nie ma tego problemu, prawda, sierżancie Temple?

Sam uśmiechnął się.

- Ma pani dużo śmiałości, pani gubernator.

- Uczę się.

- Powie mi pani, kto dzwonił?

- Nic ważnego i godnego pańskiej uwagi. - Allyson ruszyła dalej przez łąkę. - Domyślam się, że niezbyt podoba się panu koncepcja śmierci z powodu ptaszka w basenie, ale tak właśnie było w przypadku

Wielkiego Mike'a. Wyobraża pan sobie, że ktoś mógł to zaaranżować? Takie absurdalne morderstwo? Morderca musiałby złapać bławatnika, złamać mu nóżkę, utrzymywać go przy życiu, przewidzieć, kiedy Mike pojawi się nad basenem, na chwilę przedtem wrzucić ptaka do wody... to jakieś szaleństwo.

- Logika każe zakładać, że był to wypadek - powiedział Sam.

- Otóż to.

- Pani wierzy, że to był wypadek?

- Nie ciągnijmy tej dyskusji - ucięła nagle pani gubernator.

Sam zatrzymał się.

- Dalej może pani iść sama, ja muszę wracać do Kary i dzieci.

- Po prostu nie chce pan, żeby moi ochroniarze zobaczyli, że ma pan broń. Jestem gubernatorem tego stanu i znam prawo. - Przez moment przypominała Samowi jej syna, który również pokrywał brak pewności siebie trochę bezczelną butą. Jednak to wrażenie szybko minęło. Znów stała przed nim pani gubernator, kobieta, której siły nie powinien lek-

ceważyć, nawet jeśli w tej chwili miała jakieś kłopoty emocjonalne. -
Dlaczego pan tu przyjechał, Sam?

- Bratowa Kary prosiła mnie, żebym ją odnalazł. Allyson uśmiechnęła się.

- Kara popełniła kilka wykroczeń?

- Sporo.

- I bardzo dobrze.

- Pani gubernator, moim zdaniem pani dzieciom grozi jakieś niebezpieczeństwo i one o tym wiedzą, a pani w najgorszym wypadku czegoś się domyśla. Powinna pani porozmawiać ze swoimi ludźmi.

Na twarzy Allyson pojawiła się lodowata maska i Sam zrozumiał, że przekroczył dozwolone granice. Cóż, niezbyt go to obeszło. Allyson Stockwell odchyliła głowę, refleksy słońca zagrały na jej jasnych włosach. Wyglądała w tej chwili na znacznie starszą, niż była i na bardzo zmęczoną.

- Lillian i Henry mają skłonność do dramatyzowania sytuacji. Kara również, choć cenię jej profesjonalizm. Na pańskim miejscu starałabym się zachować obiektywizm.

- Jeśli ukrywa pani jakieś istotne informacje przed policją...

- Mam panu przypomnieć, że Connecticut to nie pańska jurysdykcja?

- Sam nie odpowiedział i Allyson dodała zimnym tonem: - Dziękuję za asystę. Mam nadzieję, że pozwoli mi pan wychowywać dzieci zgodnie z moimi zasadami i przekonaniem.

- Odwróciła się, odeszła i zatrzymała po kilku krokach. Spojrzała na Sama znacznie cieplej i przyjaźniej niż przed chwilą. W jej oczach zalśniły łzy.

- Zajmiecie się nimi, prawda?

Sam podszedł do niej.

- Pani gubernator... Allyson, proszę mi powiedzieć, co się dzieje. Prawda, to nie moja jurysdykcja, ale jeśli pani ma jakieś kłopoty...

Ale Allyson już biegła w stronę domu. Teraz nie przypominała Samowi dumnej pani gubernator, a raczej przerażone dziecko.

Sam nie zamierzał jej gonić. Odwrócił się i ruszył w stronę Stonebrook. Stockwellowie na pewno mieli psy. System alarmowy. System drutów ostrzowych. Ochrona Allyson Lourdes Stockwell zatrzymałaby go w kilka sekund, zażądałaby okazania pozwolenia na broń. On na ich miejscu zrobiłby dokładnie to samo.

A pani gubernator i tak nie zamierzała dzielić się z nim istotnymi informacjami.

Wracał do chaty, oganiając się od komarów, które atakowały ze wszystkich stron, całymi chmurami. Jeśli panna Lillian jeszcze raz spyta go o węże, powie jej, że woli mieć do czynienia z ośmioma gatunkami teksańskich grzechotników niż z przeklętymi komarami z Connecticut.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kiedy Kara podjechała pod chatę, Sam siedział na kamiennych stopniach. Miała nadzieję, że wróci przed nim, nie udało się. Sam wstał i ruszył powoli w stronę samochodu, był wyraźnie niezadowolony. Wysiadła i otworzyła bagażnik. Nie przestraszy jej jakiś tam rozeźlony Strażnik Teksasu.

Sam był szybszy i ubiegł ją. Wyjął z bagażnika dwie duże torby z zakupami i wręczył dzieciom.

- Zanieście to do domu - powiedział. Usłuchały bez szemrania.

Została jeszcze jedna torba i baniak mleka. Kara już miała po niego sięgnąć, ale Sam dotknął jej łokcia, zmrużył oczy i wycedził z pięknym teksańskim akcentem:

- Należy odróżniać co moje, a co twoje, panno Karo.

- Gdybyś nie zaparkował tuż za moim samochodem, nie musiałabym brać twojego. Zostawiłam ci kartkę, że jadę po zakupy do miasteczka, więc przestań patrzeć na mnie jak bazyliszek.

- Najwyższa pora, żebyśmy wyjaśnili sobie kilka rzeczy.

- Mianowicie?

Musiał albo wyczuć coś w jej tonie, albo zbyt długo siedział przed chatą pogrążony w ponurych myślach, bo zbliżył się do Kary, zatopił palce w jej włosach i spojrzał prosto w oczy.

- Twój brat położyłby mnie trupem na miejscu, gdyby wiedział, o czym teraz myślę.

- Ja też mogę cię położyć trupem...

- Nie sądzę.

Mówił tak, jakby doskonale wiedział, czego Kara pragnie. Nachylił głowę i zbliżył usta do jej warg, powoli, jakby dawał jej szansę wycofania się. Nie poruszyła się, więc Sam ją pocałował. I było w tym pocałunku przypomnienie tamtej nocy sprzed dwóch tygodni, tamtej bliskości.

- Sam... dzieci...

- Na pewno widziały już całujących się ludzi.

- Nie mnie.

- Zatem najwyższy czas, żeby zobaczyły.

Przygarnął ją bliżej i pocałował jeszcze raz. Kara nie broniła się, przeciwnie, przywarła do niego całym ciałem.

Podniósł głowę, ale nadal trzymał mocno Karę w ramionach.

- Wtedy, dwa tygodnie temu, wszystko stało się zbyt szybko, ale nie żałuję. Nie potrafię. - Mówił niskim, zdławionym głosem, bardzo szczerze, Kara to czuła.

- Nie boję się, że zrobię ci krzywdę. Gdybym się bał, musiałbym się wycofać, a nie mam najmniejszego zamiaru.

- Ty niczego się nie boisz - mruknęła Kara.

- Boję się. Boję się, że nie jestem zdolny do takiej miłości, na jaką zasługujesz, do takiego związku, jaki udało się stworzyć Jackowi i Susannie. To, co ich łączy, można nazwać związkiem dusz. Ty wiesz o tym najlepiej, bo obserwujesz ich od lat. - Cofnął się o krok. - A ja jestem samotnym wilkiem, sama mnie tak nazwałaś.

- Sam... - Kara z trudem chwyciła powietrze, próbowała się opanować, w końcu uciekła w kpinę:

- Nie wiem, może częściej powinnam wymykać się spod twojej kontroli, jak dzisiaj...

Dotknął jej nosa, potem ujął pod brodę.

- Kiedyś przestaniesz żartować i ukrywać prawdziwe uczucia. Wtedy zaczniesz ze mną rozmawiać. - Nachylił się i wyjął z bagażnika ostatnią torbę.

- Musimy ustalić kilka podstawowych zasad.

- Kto powiedział, że masz prawo ustalać jakiegokolwiek zasady? - Nie wiedziała, jak zareagować na ten nie znoszący sprzeciwu ton.

- W porządku, panno Karo. - W oczach Sama zabłyśły wesole iskierki, w kącikach ust pojawił się cień uśmiechu. - Możesz mieć swój wkład w ustalenia, ale pozwolisz, że ja zacznę?

- Proszę bardzo.

- Nie będziesz ruszać się z chaty beze mnie. To samo dotyczy dzieci.

- Zakołysał się na piętach. - Twoja kolej.

- To wszystko? Niewiele żadasz...

- Nie żądam, proszę. Tak, to wszystko, madame. A ty, co masz do powiedzenia?

Bawił się jej kosztem, w każdym razie do pewnego stopnia. Proszę bardzo, dlaczego nie? Uśmiechnęła się słodko.

- Oddasz mi mój pistolet?

- Nie chciałbym spotkać się z tobą w sali sądowej.

- Powiedzmy, że wolałbyś nie być świadkiem strony przeciwnej, w dodatku świadkiem niezbyt wiarygodnym...

- Może. Pamiętaj o jednym, gdybyśmy byli teraz w Teksasie, nie omawialibyśmy podstawowych zasad, tylko wysokość kaucji.

Kara chwyciła baniak z mlekiem.

- Mogłam zabrać ci pistolet, kiedy mnie całowałeś.

- Byłaś zajęta odwzajemnianiem pocałunku.

- Straszny z ciebie zarozumialec, gdy chodzi o kobiety.

Sam uśmiechnął się szeroko.

- Wiedziałem, że będziesz wolała się całować, niż sięgać po pistolet.
Skończyłaś Yale, jesteś bystra.

Nie trzeba kończyć Yale, żeby dokonać takiego wyboru, pomyślała z rozbawieniem. Sam Temple nie był zwyczajnym facetem, sytuacja też nie była zwyczajna.

Sam przestał się uśmiechać, mocniej chwycił torbę z zakupami.

- Co się dzieje z twoją przyjaciółką, panią gubernator?

Kara wzdrygnęła się.

- Nie wiem. Chyba jej uwierzył.

- Chodź. Rozpalimy grill i zrobimy hot dogi. Opowiesz mi trochę o ważnych ludziach w Connecticut. - Ruszył w stronę chaty, zerkając do torby. - Pełno tu różnych świństw.

- Uznałam, że nie pora przypominać dzieciom o zasadach zdrowego odżywiania.

- Może masz rację. - Postawił stopę na stopniu i obejrzał się. - Jeszcze jedno, Karo - mówił teraz poważnym, niemal surowym tonem. - Jeśli znów zaczniesz wymiotować, jedziemy do najbliższej apteki.

- W chacie jest dobrze zaopatrzona apteczka...

- Czy są w niej również testy ciążowe? Patrzył na nią oskarżycielsko, ale Kara skrzywiła się lekceważąco.

- To zwykłe zatrucie pokarmowe.

Nie powiedział już słowa. Kara minęła go i weszła do chaty. Na ustach czuła jeszcze smak pocałunku, w głowie jej wirowało.

Po lunchu Pit Jericho wybrał się do Stonebrook Cottage. Najpierw zobaczył Henry'ego i Lillian. Szaleli na huśtawce, beztroscy, jak gdyby nic się nie stało.

Przywitał się uprzejmie z Karą. Serdeczna jak zawsze, udawała, że nie pamięta o dawnych nieporozumieniach. Miał prawo mieć do niej żal, w końcu to ona namówiła go, żeby poszedł na ugodę i zgodził się na wyrok. Jednak Pit już dawno to przebolewał, Allyson wytłumaczyła mu, że w jego sytuacji to było jedyne sensowne rozwiązanie. Czasami zastanawiał się, czy Allyson zbliżyłaby się do niego, gdyby Kara została w Connecticut. Obecność przyjaciółki wydawała się ją hamować.

Kara przedstawiła mu swojego przyjaciela, Strażnika Teksasu, Sama Temple'a, który zrobił taką minę, jakby wiedział wszystko o więziennej przeszłości Pita. Albo Kara mu powiedziała, albo miał w głowie radar wykrywający bez pudła ludzi po odsiadce. Może jedno i drugie. Pit jęknął w duchu i pomyślał, że zachowuje się jak paranoik.

Chciał pogadać z dziećmi sam na sam, zapytać o ich domek na dębie, ale nie miał jak, a przy Karze i Strażniku Teksasu wolał nic nie mówić. Bał się zaszkodzić Henry'emu i Lillian, no i nie chciał wyjść na histeryka. Postanowił nie poruszać na razie tego tematu.

Z zainteresowaniem przyglądał się Strażnikowi Teksasu. Temple nie był w typie Kary, ale kto właściwie był w jej typie? Hatch Corrigan coś do niej czuł, Wielki Mike również, tak przynajmniej uważał Pit. Obydwaj byli sporo starsi od Kary. Temple wyglądał na jej rówieśnika, ale był gliniarzem, stróżem prawa i na pewno nie skończył Yale.

Cóż, Kara Galway zawsze lubiła kroczyć swoimi ścieżkami. Od lat przyjaźniła się z Allyson i choć bardzo się różniły, kochały się i ufały sobie

bezgranicznie. Taka przyjaźń wymyka się racjonalnym osądom i Pit nawet nie próbował jej zrozumieć.

- Napijesz się lemoniady albo mrożonej herbaty? - zaproponowała Kara.

- Nie, dzięki. Wpadłem tylko na chwilę. Masz zamiar zostać tu trochę dłużej?

Kara skinęła głową.

- Tak. Chcę pobyć z Lillian i Henrym, dawno ich nie widziałam.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

Poprawił sznur przy huśtawce i pożegnał się. Głupio mu było, że przyjechał do Stonebrook Cottage, właściwie nie wiadomo po co. Ubzdurał sobie, że stanie się dla dzieci Allyson kimś w rodzaju ojczyma? Znał je od maleńkiego, ale był dla nich jedynie przyszłym robotnikiem najemnym. Kiedy umrze Madeleine, a one odziedziczą majątek Stockwellów, będą zapewne korzystać z jego usług. Ujrzał siebie za trzydzieści lat, na ciągniku, dowodzącego gniewnie, zupełnie jak ojciec, że drewno na opał jest naprawdę suche.

Lillian i Henry nie pamiętali swojego ojca. Lawrence był znacznie starszy od Allyson i może na tym polegał problem, szukała kogoś podobnego, a Pit... Pit nadawał się jedynie do łóżka.

Wrócił w ponurym nastroju do Stockwell i natychmiast złapała go Madeleine. Siedziała na tarasie i popijała mrożoną herbatę, ale nie zaproponowała Pitowi poczęstunku.

- Nie mogę się przyzwycząić do tych ochroniarzy. Kręcą się po całej posiadłości, kiedy Allyson przyjeżdża - sarknęła, ale Pit czuł, że to zamieszanie w gruncie rzeczy ją cieszy. - Całe popołudnie konferuje z

Hatchem albo wisi na telefonie. Mówi, że musi wypełniać swoje obowiązki, rozumiem, ale dzieci są chyba ważniejsze...

- Wracam właśnie ze Stonebrook. Dzieci mają się dobrze.

- Wcale nie mają się dobrze. Nie mogą mieć się dobrze, jeśli postanowiły uciec z letniska, ale Allyson nie próbuje nawet dojść do motywów ich postępowania.

- Może wie...

- Nonsens. Ona nie chce wiedzieć. Nie rozumiem, co to wychowywanie dzieci w dyscyplinie, to oczywiste. Za czasów mojej matki za takie rzeczy dostawało się pasy na goły tyłek.

Pit uśmiechnął się szeroko.

- Za czasów pani matki? Aż taka wiekowa to pani nie jest. Pasy na goły tyłek to raczej czasy pani babki.

- Mam osiemdziesiąt lat. Nigdy nie myślałam, że dożyję takiego sędziwego wieku.

Najwyraźniej była w nastroju do pogaduszek, ale Pit wolał zakończyć rozmowę.

- Może Allyson chce wykorzystać obecność Kary, żeby po jej wyjeździe mieć więcej czasu dla dzieci.

Madeleine podniosła na swego pracownika zdumione spojrzenie.

- Jesteś takim rozsądnym, rozumnym człowiekiem, Pit. Że też dostrzegłam to dopiero teraz.

Pit nie był pewien, czy ma to stwierdzenie przyjąć jako przeprosiny za krzywdę, którą Madeleine wyrządziła mu przed laty, ale wolał nie pytać. Wszystkiemu na pewno by zaprzeczyła. Zapewniałaby, że nigdy mu nie życzyła źle, nie zamierzała również stawać na jego drodze do szczęścia i niszczyć jego afektu do Allyson. Tak właśnie by powiedziała: „afektu”.

Nawet kiedy wspominała swoich czterech mężów, nigdy nie mówiła, że ich kochała. Nie, ona „darzyła ich ogromnym afektem”. Byli też jacyś kochankowie na boku, ale Madeleine uważała seks i pożądanie za rzeczy, które przydarzają się jedynie ludziom z plebsu.

Wrócił do pracy. Pomachał ręką do ochroniarza warującego koło stodoły. Ochroniarz nie zareagował. Nie dojrzał nigdzie Allyson, ale wiedział, że jest w domu. Miał przed oczami jej obraz, jak w świetle księżycy odchyła głowę, szczytując. Serce zaczęło bić mu szybciej, poczuł bolesny ucisk w piersi, jakby uchodziła z niego nadzieja, plany na przyszłość, wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, o czym skrycie marzył...

Kara wślizgnęła się do łazienki, zamknęła drzwi na klucz, drżącymi dłońmi otworzyła pudełko z testem ciążowym. Kręciło się jej w głowie, zapewne z nerwów, ale gdyby zemdląła i runęła z głośnym łoskotem na podłogę, Sam na pewno wyważyłby drzwi... Nie wolno jej zemdleć.

Przeczytała instrukcję, postąpiła zgodnie z zawartymi tam wskazówkami i czekając na wynik, weszła pod prysznic.

A jeśli rzeczywiście jest w ciąży? Co wtedy? Co będzie z Samem, z pracą, z rodziną? Co będzie czuła, nosząc w brzuchu dziecko? Czy będzie dobrą matką?

Stała jej przed oczami własna matka, wyciągająca ku niej zakrwawioną dłoń.

- Zajmę się tobą, Karo...

Wyszła spod prysznica, owinęła się wielkim ręcznikiem kąpielowym i spojrzała na pasek testu.

Jedna różowa linia.

Wynik negatywny.

To te cholerne tacos z owocami morza. Nerwy. Grypa żołądkowa.

Usiadła na brzegu wanny i rozplakała się.

Lillian pochłonęła na lunch kilka hot dogów, po czym oświadczyła Samowi, że zostanie wegetarianką. Usadowiła się w fotelu ogrodowym obok niego.

- Wiedziałeś, że ludzie jedzą żaby?

- Tylko żabie udka.

- To obrzydliwe.

- Zupełnie jak makaron z serem, prawda? - Oprócz hot dogów jedli na lunch makaron z serem.

Zachichotała. Matka przywiozła im czyste ubrania na zmianę oraz, ku zdumieniu wszystkich, bukiet astrów i cynii od babci. Dzieci pokazały jej, co Pit poprawił w huśtawce, opowiedziały o polowaniu na żaby, o zakupach w miasteczku. W opinii Sama Allyson wyglądała tak samo marnie jak rano, kiedy rozstawał się z nią na łące, ale dzieci najwyraźniej nic nie zauważyły.

- Ludzie jedzą również węże - ciągnął temat Sam.

Lillian niemal się zadławiła.

- Nie...

Sam uśmiechnął się. Lillian nabierała coraz większego obrzydzenia do mięsożerców i wyraźnie się tym szczyciła.

- Ja próbowałem, ale niezbyt mi smakowało. Nie byłem zachwycony. Wolę ogon aligatora. Bardzo delikatne mięso.

- Aligatora? - Zerwała się z fotela i pobiegła do drzwi kuchennych. - Henry, Henry! Sam jada różne obrzydlistwa!

- A potem dziwisz się, że ludzie opowiadają kawały o Tekszańczykach. - Zza węgła chaty wyszła Kara, boso, z wilgotnymi włosami, ubrana w szorty i luźny bawełniany sweterek. Miał czerwone policzki i zapuchnięte oczy. Opadła na fotel, z którego przed chwilą zeskoczyła Lillian. Wbiła spojrzenie w oświetlone słońcem liście klonu i oznajmiła:

- Widać, że płakałam, wiem, ale mam to w nosie. Nagle pękłam, za dużo tego wszystkiego: śmierć Wielkiego Mike'a, problemy dzieci, Allyson i jej przygnębienie. Ty.

- Powiedz słowo i natychmiast zabiorę cię do Teksasu.

- Nie mogę uciekać...

- Ani rozwiązywać cudzych problemów.

- Próbuję, próbuję... - westchnęła ciężko, nie przestając wpatrywać się w koronę drzewa. - Nie mogę zostawić teraz Lillian i Henry'ego.

- Ponieważ zwrócili się do ciebie po pomoc. Kara kiwnęła głową.

- Daj spokój, Sam. Przecież to nie jest aż tak skomplikowane.

Obiecałam im coś i zamierzam dotrzymać obietnicy.

Nie przekonała go.

- Gdybym znał wszystkie fakty, być może zgodziłbym się z tobą, ale ponieważ ich nie znam, pozostanę sceptyczny,

- Musiałeś wyssać sceptycyzm z mlekiem matki.

- To nie najgorsza postawa wobec życia. Podniosła się z fotela, niespokojna, zaaferowana.

Kara Galway już taka była, nie mogła trwać w bezruchu, nie znosiła bezczynności. Sam wysunął nogi, a kiedy zawadziła o jego stopę, chwycił ją i posadził sobie na kolanach.

- Skreśl mnie z listy powodów do płaczu. - Położył delikatnie dłoń na jej brzuchu. - Jeśli jesteś w ciąży, zajmę się tobą.

Nie mógł powiedzieć nic głupszego. Spodziewał się, że Kara zjeży się, parsknie, powie mu, całkiem słusznie, że sama może zająć się sobą i dzieckiem, ale nic takiego nie nastąpiło.

- Wiem - szepnęła ku zaskoczeniu Sama i oparła czoło na jego ramieniu. Jeśli chodzi o niego, mogła tak trwać do końca życia...

Niestety, zerwała się nagle i oznajmiła z mocą:

- Nie chcę nikogo potrzebować.

- Ja też nie. Nie musisz mnie potrzebować, ale możesz chcieć. Jasne?

- Akademicka dyskusja. - W oczach Kary zalśniły łzy wyraźnie kłójące się z hardym tonem głosu. - Nie jestem w ciąży.

Sam przez moment milczał, zastygł zaskoczony raptownym uczuciem pustki, które go ogarnęło.

- Będziemy mieli świetne dzieciaki, Karo. Czarnookie, niezależne i uparte jak wszyscy diabli.

- Pewnie. Po takich rodzicach... Stworzymy niezwykle romantyczną rodzinę. Strażnik Teksasu i adwokat. - Zaśmiała się ponuro. - Nie myśl sobie, że nie wiem, jaki jest twój stosunek do małżeństwa. Jesteś ambitny, Sam. Ambitny i zdolny. Jack mówi, że mógłbyś startować w wyborach na gubernatora, gdybyś zdecydował się odejść z rangerów.

- Nie zamierzam rzucać służby. - Sam wyczuwał powątpiewanie Kary, jej niepewność. Ciągle zastanawiała się, kim on jest, czego pragnie. Widział, jak walczą w niej różne emocje: potrzeba miłości, poczucie obowiązku, duma, ale także lęk i obawa przed zranieniem. - Ty mnie w ogóle nie znasz, Karo.

Spojrzała na niego niemal surowo.

- Dlaczego powiedziałeś, że zająłbyś się mną?

- Głupie określenie, zgoda. Nie zostawiłbym was samych, może tak.

Nie pozwoliłbym, żeby moje dziecko wychowywało się bez ojca. -

Chodziło o coś jeszcze, ale Sam nie potrafił nazwać tego czegoś. Być może myślał o rodzinie. Odpowiedzialności. Wzajemnym oddaniu. Miłości.

Lepiej wyrażać się prosto, nie komplikować sprawy.

- Bardzo ładna postawa - mruknęła Kara. - Wiesz, czego ja pragnę, Sam? Związku dusz.

- To rzadkość.

- A ty niestety nie wierzysz w bezwarunkową miłość, prawda?

- Zawsze są jakieś warunki.

- Wymień choćby jeden.

- Wierność.

Kara uśmiechnęła się.

- W związku dusz nie podlega kwestii. Odchylił się w fotelu, wyprostował nogi i wzrok

Kary bezwiednie powędrował w okolice jego lędźwi. Związek dusz. Pewnie. Teraz on się uśmiechnął.

- Seks o każdej porze dnia i nocy. To jest najważniejszy warunek, nie sądzisz?

- Jesteś zepsuty do szpiku kości, Temple. - Kara zaczerwieniła się. - Wiedziałam to już tamtego wieczoru, kiedy poszliśmy na kawę. To była niezła noc, co? Jeśli cię to pocieszy, to wiedz, że od dawna miałam ochotę przespać się z tobą.

- I nie rozczarowałaś się?

- Nie rozczarowałam się.

Mówiła takim tonem, jakby tamta noc stanowiła zamknięty epizod, jakby coś takiego już nigdy nie miało się powtórzyć.

Podniosła się i ruszyła w kierunku chaty. Patrzył za nią i dopiero teraz do niego dotarło, że Kara w swoim mniemaniu rozważała czysto hipotetyczną sytuację, nie zastanawiała się natomiast, jak rozwinęłyby się ich znajomość, gdyby oboje trochę popracowali nad związkiem i poszli na kompromisy. Cóż, z pewnością obojgu przydałaby się odrobina zdrowego rozsądku. Sam uznał, że należy zająć się tą sprawą. Natychmiast.

Wstał, wszedł po kamiennych stopniach i pchnął siatkowe drzwi. Kara stała przy zlewie, szukając najwyraźniej jakiegoś zajęcia. Położył dłonie na jej ramionach i obrócił ją ku sobie. Mogła mu powiedzieć, żeby zabierał łapy, zostawił ją w spokoju i poszedł sobie do diabła. Nie zrobiła tego, ale uciekała przed jego spojrzeniem.

Nigdy w życiu nie spotkał kogoś takiego.

- Nie wiem, czy jestem odpowiednim kandydatem do związku dusz...

- Albo jesteś, albo nie - stwierdziła rzeczowo, bez cienia przekąsu, tonem adwokata, który omawia z klientem jego sytuację. Sam nie dał się zwieść, wyczuł pod maską chłodu starannie skrywaną pasję. - To nie jest coś, co osiąga się z czasem.

- O Jezus. Już dobrze.

Sam po prostu pocałował Karę, nagle, bez uprzedzenia. Efekt był tak piorunujący, że gdyby jej w porę nie przytrzymał, osunęłyby się na podłogę. Objął ją mocno i przytulił.

- Mam zamiar kochać się z tobą, Karo. Niebawem - obiecał solennie.

Kara odchrząknęła.

- Nie byliśmy nawet na randce.

- Jak to? Byliśmy na kawie.

- A gdzie kino, cukiernia i spacer w księżycową jasną noc?
- Będzie wszystko, obiecuję. Kupię ci nawet bukiet róż. - Sam ocierał się leniwie o Karę, jakby już się z nią kochał. - O ile uda się nam to przetrwać.

- Nie wiem, czy uda mi się przetrwać najbliższe pięć minut... Sam...
- Gdyby nie dwoje smarkaczy, którzy zaraz tu wpadną po następną torbę chipsów i batonów, wziąłbym cię tutaj, teraz, na stole kuchennym.
- Sypialnia jest tuż obok... Sam mrugnął wesoło.
- Stół byłby lepszy. Natychmiast zapomniałabyś o wszystkich kłopotach. - Pogłaskał ją po policzku i pocałował. - Dobrze, że się wyplakałaś.

Wyszedł z kuchni lekkim krokiem, prawie wyfrunął, jakby ktoś dodał mu skrzydeł. Faceci, którzy kochali się w niej na odległość, musieli chyba być niespełna rozumu! Kary nie sposób było nie dotknąć, nie całować.

Przed dom wybiegła Lillian i zaprosiła Sama na wspólne polowanie na żaby, ale najpierw musiał jej obiecać, że nie zrobi żadnej krzywdy i nie będzie chciał ich jeść. Przystał na warunki panny Stockwell. Czuł się świetnie, ale wiedział też, że zanurzenie stóp w chłodnym jankeskim strumieniu dobrze zrobi jego ciału.

Henry zgodził się dzielić z Samem sypialnię i Kara mogła znów zająć swoją. Wycofała się tam dość wczesnym wieczorem, twierdząc, że ledwie trzyma się na nogach. Poczyta jeszcze chwilę i postara się zasnąć. Sam siedział w bawialni, kartkował książki - poradniki na temat wędkowania i gry w golfa, przewodnik po Nowej Anglii dla rowerzystów,

podręcznik dla kajakarzy, historię stanu Connecticut. I ani jednego kryminału.

Przeszukał plecaki dzieci, ale nie znalazł nic godnego zainteresowania. Żadnego listu. Kara prawdopodobnie głęboko go schowała, zakopała albo podarła i wrzuciła do muszli klozetowej lub spaliła.

Jak by zareagował, gdyby się okazało, że jest w ciąży?

Pytanie cały czas do niego wracało, a on ciągle nie potrafił na nie odpowiedzieć. Poszedł na górę, usiadł na brzegu podwójnego łóżka i nadal się zastanawiał. Henry odstąpił mu miejsce od okna, bo jakoby ostatniej nocy księżyc świecił mu prosto w oczy, ale Sam czuł, że chodzi o coś innego. Chłopak czegoś się bał, choć nie zamierzał przyznawać się do tego. Henry Stockwell miał skomplikowane wnętrze. Większość ludzi przechodzi przez życie, nie podejrzewając nawet istnienia tak złożonych i bogatych osobowości. Kiedyś te cechy uczynią go silnym człowiekiem, o ile nie zapadnie się pierwiej w otchłań własnej psychiki. Z takich otchłani już się nie wraca...

Sam rozebrał się i wsunął pod kołdrę. Nie zdarzyło mu się dotąd dzielić łóżka z dwunastoletnim dziedzicem jankeskiej fortuny. Jasne włosy chłopca połyskiwały w księżycowej poświacie i Sara pomyślał, że Henry wygląda teraz jak mały księżę, na którego barki spadł nieoczekiwanie ciężar odpowiedzialności za całe królestwo.

Mały księżę jeszcze nie spał.

Ziewnął i odwrócił się do Sama.

- Która godzina?

- Dziesiąta.

- Naprawdę jesteś Strażnikiem Teksasu?

- Naprawdę.

- Lubisz łapać przestępców?

- Zależy.

- A jak polubisz przestępcę? Co wtedy?

- Ludzie są skomplikowani - powiedział Sam, próbując nadać swojemu głosowi obojętne brzmienie. - Staram się nikogo nie osądzać. Jeśli mam dowody, wtedy aresztuję podejrzanego.

Henry wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Na lotnisku było strasznie gorąco. Ciocia Kara mówi, że nawet w piekle nie jest tak gorąco jak latem w Teksasie.

Sam uśmiechnął się.

- Ciekawe stwierdzenie. Kara mnóstwo dla was zaryzykowała.

- Wiem. - Henry zamyślił się. Był rozbudzony, ale zmęczenie i napięcie powoli brały górę. - Przysięgła, że nikomu nie powtórzy, co jej powiedzieliśmy. Prosiłiśmy o to, a ona się zgodziła.

- Bardzo poważnie traktuje tajemnicę zawodową, do której jest zobowiązana jako adwokat. - Sam ułożył wygodniej głowę na poduszce. Nawet kiedy miał dwanaście lat, nie dzielił sypialni z żadnym rówieśnikiem. Nigdy nie był na obozie letnim. - Wie, że jej ufacie i chce jak najlepiej dla ciebie i twojej siostry, chociaż wiele ją to kosztuje. Nie nadużyjcie jej zaufania.

Henry uniósł się i wsparł na łokciu.

- Chce, żebyśmy komuś powiedzieli chociaż część tego, co powiedzieliśmy jej, żeby nie była jedyną wtajemniczoną osobą.

- To dobry pomysł. Może wasza mama...

- Mama ma swoje problemy.

- To był jeden z powodów waszej ucieczki? Żeby zwrócić na siebie uwagę mamy?

Henry skrzywił się, jakby miał do czynienia z kompletnym durniem.

- Nie. Ja mam prawie trzynaście lat.

No tak, ma trzynaście lat i jest dorosły, to wszystko wyjaśniało...

- Dlaczego w takim razie zwialiście? - zapytał Sam cicho.

- Żeby dotrzeć do Kary.

- Po co?

- Potrzebowaliśmy jej pomocy. Chyba. Nie wiem. - Henry odwrócił się. - Myślę, że ona nam nie wierzy.

- Henry...

- Lillian nigdy więcej nie pojedzie do Teksasu, bo boi się węży, ale ja tam wrócę. Jak dorosnę, zostanę Strażnikiem Teksasu.

- Wszystko zależy od ciebie.

- Nie, nie wszystko.

Podciągnął kołdrę pod brodę i przytulił do policzka mocno wytartego pluszowego tygrysa. Prawie trzynaście lat, pomyślał Sam.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Skoro nie była w ciąży, Kara zrobiła sobie rano naprawdę mocną kawę, po czym wyszła z kubkiem przed chatę. W środku nocy powtórzyła jeszcze test, z tym samym wynikiem.

Wokół kwiatów melisy i malw krążyły motyle, trawa pokryta była jeszcze poranną rosą, powietrze już nagrzane. Ze wszystkich pór roku w Nowej Anglii Kara najbardziej lubiła wczesną jesień, kiedy dni są krótsze, w powietrzu czuje się już pierwszy chłód, liście zaczynają zmieniać barwę, farmerzy w obawie przed przymrozkami zbierają z krzaków w warzywnikach ostatnie pomidory, a z pól kukurydzę. Mogła tu zostać, ale już wtedy, kiedy ojciec odwoził ją do Yale na studia, wiedziała, że prędzej czy później wróci do rodzinnego Teksasu.

Ostatniej nocy rozmyślała o związkach dusz i doszła do wniosku, że los zrządził, by pojawiła się tamtego wieczoru na otwarciu wystawy Gordona Temple'a w galerii Dunningów. Nie chodziło tylko o nią, także o Sama, o jego dalsze życie, chociaż nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego ich ścieżki się przecięły.

W porannym świetle nocne marzenia zniknęły, pierzchły romantyczne tęsknoty. Wczoraj śniła na jawie. Ona miałaby się zakochać w Samie? Sam w niej? Niemożliwe. Wczoraj nie była sobą, stąd to gadanie o związku dusz, o łóżku, o pocałunkach. Dzisiaj zajmie się tym, co naprawdę ważne. Obejrzy domek na drzewie i spróbuje wyciągnąć z chrześniaków, co przed nią ukrywają i czy miało to coś wspólnego ze śmiercią Wielkiego Mike'a.

Musiała tylko znaleźć sposób, żeby wymknąć się z domu, łamiąc „podstawowe zasady” narzucone jej przez Sama. Prościej byłoby wtajemniczyć go we wszystko, ale tego akurat nie mogła zrobić. Dzieci jej zaufały. Przyrzekła milczeć i musi dotrzymać danej obietnicy. Poza tym nie miała pojęcia, jak Sam by zareagował.

Usłyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu, chrzęst żwiru pod oponami. Odwróciła się i zobaczyła Hacha w ogromnej terenówce. Wyskoczył z wozu i pomachał do niej radośnie.

- Kara, tak się cieszę, że cię widzę.

Zaśmiał się i pocałował ją w policzek serdecznie, po przyjacielsku, jakby dwa tygodnie wcześniej, po pogrzebie Wielkiego Mike'a, nie zwierzał się bezradnie, niczym zakłopotany sztubak, ze swoich uczuć.

Taki właśnie był Hatch. Udawał, że nic nie zaszło, jakby nie chciał kalać wyidealizowanej miłości do Kary.

- Tyle się wydarzyło w ostatnich dniach. Mów, jak się czujesz. Jak dzieci?

Kara uśmiechnęła się.

- Dziękuję, wszyscy zdrowi. - Zauważyła na czole Hacha bruzdy, których nie było rok wcześniej. Miał zapadnięte policzki, w ogóle robił wrażenie zmęczonego.

- Dzięki, że tak dyskretnie potraktowałaś mały wakacyjny bunt Lillian i Henry'ego. Na pewno było im trudno, mogli poczuć się odsunięci na boczny tor, ale żeby od razu uciekać... To karygodne. - Już na samo wspomnienie postępu bratanicy i bratanka wpadł w rozdrażnienie. - Jednak oczywiście Allyson załatwi sprawę po swoim.

- Hatch, nie sądzę, żeby uciekli, by zwrócić na siebie uwagę.

- Wszystko jedno.

Z domu wyszedł Sam, z kubkiem w dłoni. Kara doskonale wiedziała, że wyciągnęło go z domu nie tyle poranne słońeczko, co chęć obejrzenia gościa.

- Proszę, proszę - mruknął Hatch z rozbawieniem. - Prawdziwy Strażnik Teksasu.

- Zamknij się, Hatch.

Hatch zaśmiał się, nie wyglądał ani na skruszonego, ani na zazdrosnego.

- Zacerwieniłaś się. Powinienem zawiadomić media. Kara Galway i Strażnik Teksasu to lepszy news niż ucieczka dzieci pani gubernator. – Zniżył głos i dodał już poważnym tonem: - Chciałbym, byś odnalazła szczęście, Karo.

Kiwnęła głową w milczeniu.

Sam podszedł do nich, ale po jego minie trudno było się domyślić, czy słyszał ostatnie słowa. Kiedy Kara dokonała już wzajemnej prezentacji, Hatch podziękował i zaczął przeproszać za kłopoty.

- Drobiazg - mruknął Sam uprzejmie.

Henry i Lillian w ubraniach, które poprzedniego dnia przywiozła im matka, usiedli na stopniach przed chatą. Hatch ich zawołał, ale nawet nie drgnęli. Nie bali się kar i upomnień ze strony Allyson, jednak wyraźnie czuli lęk przed stryjem.

Hatch uśmiechnął się do nich łagodnie.

- Narobiliście niezłego zamieszania - przemówił w stronę stopni. - Bardzo sprytnie pomyślane, trzeba przyznać. Wywieść w pole kierowcę, wyjąć pieniądze z bankomatu...

Lillian i Henry oparli się na łokciach o najwyższy stopień. Nie reagowali. Nigdy nie przepadali za Hatchem ani Hatch za nimi, ale obie

strony dbały o poprawne stosunki. Kara nie widziała nigdy, by dzieci okazywały stryjowi tak jawny chłód, jak w tej chwili.

Hatch podszedł do nich, Kara za nim. Sam został przy samochodzie i spokojnie obserwował całą scenę z odległości kilku kroków. Doskonale wyczuwał powściągliwość, a może nawet wrogość Lillian i Henry'ego wobec Hacha.

- Macie szczęście, że nic wam się nie stało - ciągnął Hatch. -

Wszyscy mamy.

Henry zadarł brodę.

- Tak, macie szczęście. Niepotrzebna wam następna śmierć.

Zepsuła by wizerunek mamy. Ludzie pomyśleliby, że to jakaś klątwa.

Lillian pośliniła palec i próbowała zetrzeć z bluzki niewidoczną plamkę.

- No - przytaknęła. - Ale byłbyś wściekły, gdyby coś nam się stało.

Hatch jakby nie zauważył ich jawnej wrogości i buty.

- Nieważne, co pomyśleliby ludzie. - Mówił spokojnie, ale dzieci musiały wyczuć, jak bardzo jest spięty. - Martwiliśmy się o was. Baliśmy się, że wydarzyło się coś strasznego i dlatego uciekliście.

Henry ziewnął i zwrócił się do siostry, ignorując przemowy stryja.

- Wracajmy do środka, Lillian.

Hatch zacisnął zęby, ale powstrzymał się od komentarza. Dzieci zerwały się i wbiegły do chaty.

- Niech to cholera - syknął Hatch. - To nie był mój pomysł, żeby wysłać je do Teksasu. Zachowują się, jakbym zrobił im coś złego.

Kara wzruszyła ramionami.

- Widzą, że jesteś wściekły.

- Mam się cieszyć? Po co uciekli? Wiedzieli, że matka będzie odchodzić od zmysłów ze zdenerwowania. - Nie ukrywał wściekłości, ale starał się nie podnosić głosu. Podszedł do samochodu. - Może miałbym dla nich więcej zrozumienia, gdybym nie widział, co przeżywała Allyson. Była przerażona, a przy tym musiała robić wszystko, żeby policja nie wszczęła niepotrzebnego alarmu. Liczyła, że dzieciaki mają trochę rozsądku, a oni... Sami zresztą wiecie. - Hatch westchnął. - Nieważne. Może rzeczywiście byłem dla nich trochę zbyt surowy. Kara podeszła do niego.

- Nie próbuję ich usprawiedliwiać...

- Wiem, wiem. - Hatch otworzył drzwiczki od strony kierowcy i odwrócił się jeszcze, kręcąc głową.

- Nigdy nie umiałem z nimi rozmawiać. Myślałem, że jak będą starsi, to się zmieni, tymczasem jest jeszcze gorzej.

Kara uśmiechnęła się.

- Poczekaj jeszcze pięć lat, wtedy zobaczysz. Hatch odpowiedział kwaśnym uśmiechem.

- Nie przyjechałem tu, żeby prawić im kazania. Chciałem tylko poinformować, co ustaliłem z Madeleine. Wynajęliśmy prywatnego ochroniarza dla Lillian i Henry'ego. Moja matka bardzo nalegała. Będzie znacznie spokojniejsza, wiedząc, że dzieci są dobrze strzeżone. Zrobiłem to głównie dla niej. Allyson nie chciała zgodzić się na ochronę rządową. Twierdzi, że Lillian i Henry nie potrzebują nianieek.

Sam zmarszczył czoło.

- Uważa, że dzieciom nic nie grozi?

- Tak jest. - Hatch wydawał się zdziwiony, nawet nieco urażony, że Sam śmiał zabrać głos. - Jej zdaniem to wyłącznie sprawa rodzinna. Może

ma rację, ale jeśli uciekną jeszcze raz, będzie to już sprawa polityczna. Jesteś policjantem, Sam. Nie uważasz, że lepiej byłoby trzymać dzieci pod ścisłą kontrolą, przynajmniej do chwili rozpoczęcia zajęć w szkole?

- To nie moja sprawa.

- Oczywiście - bąknął Hatch i zwrócił się Kary: - Ostatnie tygodnie były straszne. Najpierw ta cholerna eksplozja petard na przyjęciu, potem śmierć Mike'a. Muszę powiedzieć, że Allyson zniosła to wszystko bardzo dzielnie. Decyzja o wynajęciu prywatnej ochrony...

Kara dopiero teraz zrozumiała.

- Allyson o niczym nie wie?

- Powiem jej dziś wieczorem. Ochroniarz pojawi się dopiero rano. Pomyśleliśmy, że wszystkim należy się odrobina relaksu... W każdym razie mama zaprasza na lunch. Allyson do południa upora się z pracą i znajdzie trochę czasu dla dzieci.

- Będziemy - obiecała Kara.

Kiedy Hatch odjechał zadowolony, że wreszcie coś mu się tego dnia udało, Sam usiadł na stopniach, wyciągnął przed siebie długie nogi i pokręcił głową. Najwyraźniej nie podzielał dobrego humoru gościa.

- Znajdzie trochę czasu dla dzieci? Jezu, co za nadęty dupek. Nie dziwię się, że Lillian i Henry tak go traktują. Ja bym z nim nie wytrzymał nawet jednego dnia.

- Złóż to na karb stresu. Generalnie Hatch nie jest taki najgorszy.

- Czy coś was kiedyś łączyło?

Zupełnie nie była przygotowana na takie pytanie. Nie zauważyła w zachowaniu Hacha ani w swoim nic, co świadczyłoby o skrytych uczuciach, jakie żywił wobec jej osoby.

- Mnie i Hacha? Nigdy.

- On by tego chciał.

- Kiedyś być może, teraz już nie.

- Mam inne zdanie - powiedział Sam, przeciągając zgłoski. - Twoja przyjaciółka, pani gubernator, powiada, że masz szczęście do cichych wielbicieli.

Kara uniosła ręce i chwyciła się gałęzi starego orzecha.

- Wydała takie oświadczenie z własnej woli czy wzięłaś ją na spytki?

- Ona najwyraźniej uważa, że sypiamy ze sobą i bardzo ją to cieszy.

A mnie cieszy, że nie zostałem uprzedzony, jak to trzeba cię wielbić z daleka.

Podciągnęła się lekko na rękach, nie odrywając stóp od ziemi.

- Zapytaj mojego brata, co myśli o tym, że zdarzyło ci się wejść ze mną w całkiem bliską styczność...

- Zastrzełiłby mnie, gdyby się dowiedział, to pewne.

- Teraz rozumiesz, dlaczego w moim życiu nie było tłumu mężczyzn?

Kara zauważyła, że bluzka podjechała jej pod same piersi, odsłaniając brzuch. Szybko opuściła ręce i poprawiła strój.

- Niepotrzebny ci tłum. Wystarczy ci jeden facet, ten od związku dusz.

- Który jest wytworem mojej wybujałej wyobraźni. - Spojrzała mimo woli na drogę, którą przed chwilą odjechał Hatch. - Rozumiem teraz, dlaczego dzieci nie chcą mnie zwolnić z obowiązku dochowania tajemnicy.

- Nie życzą sobie słuchać pompatycznych pouczeń tego dupka. - Sam wstał i uśmiechnął się szeroko. - Skończyłaś już bujać się na gałęzi?

Widok był bardzo przyjemny.

- Idź, wsadź głowę pod kran.

- W czym mam wystąpić na lunchu u Stockwellów? - zapytał ze śmiechem. Susanna nie zapakowała mi wyjściowego ubrania.

Kara już chciała odpowiedzieć i zorientowała się, że Sam z niej kpi. Przywykł chodzić, gdzie chce, kiedy chce, ubrany jak mu się podoba.

- Co znaczy pompatyczny? - W oknie bawialni pojawiła się głowa Henry'ego.

- Do listy swoich grzechów dodaj jeszcze podsłuchiwanie - powiedział Sam i wszedł do domu, a dzieciaki ze śmiechem pognały na piętro.

Karze zrobiło się ciepło na sercu, ale natychmiast przywołała się do rzeczywistości. Sam nie był jej mężem, Lillian i Henry nie byli jej dziećmi, a w Austin czekał na nią George Carter i cała masa zaległej roboty. Tak wygląda jej życie, wszystko inne to mrzonki.

„Ciekawe, co powiedzieliby mieszkańcy Connecticut, gdyby znali prawdę? Gdyby wiedzieli z kim się rznęłaś?

Wielki Mike wiedział, prawda?

Chcesz, żeby ludzie zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem nie pomogłaś mu zejść z tego świata?"

Allyson siedziała nad basenem i czekała na dzieci. Po raz tysięczny powtarzała sobie w myślach słowa anonimowego rozmówcy. Znowu wczoraj zadzwonił. Czego ten łajdak od niej chce?

Sam Temple musiał zauważyć, że telefon od nieznanego wytrącił ją z równowagi. Cały dzień była półprzytomna, w nocy nie mogła zmrużyć oka. Chciała, żeby ten człowiek się ujawnił, teraz, dopóki dzieci są w Stonebrook. Niechby powiedział, o co mu chodzi, spełniłaby jego życzenia

albo nasłała na niego ochronę. Wszystko jedno, zrobiłaby wszystko, żeby wreszcie przestał wydzwaniać.

Nie pojawił się i nie zadzwonił.

„Wielki Mike wiedział, prawda?”

Ten człowiek musiał należeć do jej bliskiego otoczenia. Wiedział o jej związku z Pitem, wiedział, że Mike odkrył tajemnicę...

Allyson wzdrygnęła się. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Bała się zrobić fałszywy ruch, bała się powiedzieć o telefonach niewłaściwej osobie. Powinna ustalić, z kim ma do czynienia albo zwierzyć się komuś, komu naprawdę ufa.

Karze i jej Strażnikowi Teksasu mogła zaufać, ale już obarczyła ich dziećmi, nie chciała przysparzać obojgu dodatkowych problemów. Cóż, jednak musiała przedsięwziąć jakieś kroki, i to szybko.

Przy płocie oddzielającym basen od reszty ogrodu zatrzymał się Pit.

- Wyglądasz, jakbyś chciała popływać, pani gubernator. Co cię powstrzymuje?

- Nie włożyłam kostiumu. Pit uśmiechnął się szeroko.

- Trochę więcej śmiałości.

Przypomniała sobie, jak przed kilku tygodniami kąpali się w nocy nago, pod nosem niczego nie podejrzewającej Madeleine.

- Żartuje sobie pan ze mnie, panie Jericho.

- Pewnie.

- Czuję się tak oszołomiona, jakbym skoczyła na główkę.

Pit nic nie powiedział, ona też milczała. Co mogła mu powiedzieć? Że za nim tęskni, że go kocha, że chce być z nim?

Miała wiele problemów: tajemniczy nieznajomy, dzieci, obowiązki związane z urzędem, obietnice, które złożyła Wielkiemu Mike'owi i mieszkańcom stanu.

Jeszcze miesiąc temu była zupełnie inną kobietą, silną, kompetentną, pewną siebie. Co się z nią stało? Była sparaliżowana strachem, nie wiedziała, co robić, jak zdemaskować niewidzialnego wroga.

- Jak dzieciaki? - zagadnął Pit.

Ujrzała poważnego Henry'ego i wielkooką Lillian... Bez chwili wahania zrezygnowałyby dla nich z urzędu. Czy zrobiłaby to samo dla Pita?

- Świetnie - uśmiechnęła się blado. - Podejrzewam, że po prostu chciały jechać do Austin. I postawiły na swoim. To jedyne wytłumaczenie, jakie mi przychodzi do głowy. Lillian i Henry rozumują inaczej niż dorośli.

- Połowa dorosłych, jakich znam, w ogóle nie zna tej czynności umysłowej.

Lubiła jego cięte uwagi. Wszystko w nim lubiła.

- Dokąd się wybierasz? - zapytała.

- Na zwirowisko. - Przeszedł przez furtkę i stanął przy niej. -

Wszystko w porządku, Allyson?

Coś chwyciło ją za gardło.

- To były długie dwa tygodnie.

Kochali się ostatniej nocy przed śmiercią Wielkiego Mike'a. Ich ostatnia noc. Pit na zawsze ją zapamięta.

- Bardzo długie dwa tygodnie, pani gubernator Stockwell. Do zobaczenia.

Jak mogłaby się z nim rozstać?

- Do zobaczenia wkrótce.

Pit dojechał do żwirowiska. Po długich dniach użalania się na sobą wreszcie zaczął odzyskiwać równowagę. Czułby się w pełni szczęśliwy, gdyby znów mógł wziąć Allyson w ramiona. Był głupkiem, niepoprawnym romantykiem... i paranoikiem. Wcale go nie rzuciła. Powinien bardziej w nią wierzyć.

Muszą po prostu ochłonać po śmierci Wielkiego Mike'a i przywyknąć do tego, że Allyson została gubernatorem. Potem zastanowią się, jak ułożyć sobie życie. Nie będą już dłużej ukrywać swojego związku przed ludźmi.

Zszedł powoli na samo dno żwirowiska. Słyszał pyrkający na szczycie wzgórza ciągnik ojca, w końcu zobaczył go; zjeżdżał drogą od drugiej strony, szerszą, nie tak stromą, bezpieczniejszą dla maszyn.

Charlie zsiadł z siodełka, podszedł do syna, z nieodłącznym papierosem w zębach.

- Myślałem, że już rozebrałeś ten cholerny domek na drzewie.

Pit zwlekał, niepewny, czy domek nie jest przypadkiem swego rodzaju dowodem. Dochodzenie w sprawie śmierci Wielkiego Mike'a wciąż się toczyło i nie chciał zacierać ewentualnych śladów.

Wzruszył ramionami.

- Nie miałem czasu.

- Sam bym to zrobił, ale ciągnikiem przecież nie dojadę. Oglądałeś tę platformę? Myśliwi czy dzieciaki?

- Chyba dzieci.

- Tak czy inaczej to niebezpieczne - mruknął Charlie. - Matka prosi, żebyś się nie spóźnił na kolację. Zrobiła zapiekankę z mięsem i boi się, że

jak nie przyjdiesz, to zjem wszystko sam i wykończę się na atak serca, oglądając wiadomości.

Pit uśmiechnął się.

- To ma być zaproszenie na kolację?

- Innego się nie spodziewaj. Bądź wcześniej, trzeba przerzucić siano.

Kiedy Charlie odjechał, Pit ruszył na szczyt wzgórza, gdzie dzieci zbudowały domek na drzewie. Może powinien powiedzieć Allyson, ale wydawała się jakaś nieobecna, zajęta swoimi myślami. Tak czy inaczej będzie musiał jej powiedzieć. Pokaże po prostu domek, niech sama wyciągnie wnioski.

Lepiej, żeby dowiedziała się od niego niż od ojca. Charlie Jericho słynął z braku taktu.

Zatrzymał się zdyszany pod szczytem, przy młodej topoli, na samym skraju wyrobiska. Coś zaszeleściło, rozległ się trzask łamanych gałęzi. Pit chciał się odwrócić, ale poślizgnął się; spod butów w jamę wyrobiska poleciał żwir. Usłyszał jeszcze głośnie sapnięcie i już wiedział, że to nie zwierzę.

Zanim zdążył zareagować, poczuł silne uderzenie w plecy. Ktoś zdzielił go kijem albo pałąką. Stracił równowagę, przewrócił się, na próżno szukając czegoś, czego mógłby się chwycić, kępy trawy lub korzenia drzewa.

Spadał w dół. Coraz szybciej i szybciej...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W drodze do Stockwell Henry zamęczał Sama pytaniami o Strażników Teksasu. Kara przysłuchiwała się ubawiona temu przesłuchaniu, bo Henry całą swoją wiedzę o elitarniej teksańskiej formacji czerpał z seriali telewizyjnych, starych filmów i skąpych informacji na temat samego Teksasu. Sam odpowiadał cierpliwie, w pewnym momencie sprowokował nawet Karę do udziału w rozmowie.

- Uprzejmość, Służba, Ochrona, to motto rangersa - powiedziała.

Sam zerknął na nią z ukosa, jakby nie był do końca pewien, czy sobie nie kpi. Nie, mówiła zupełnie poważnie. Henry wydawał się rozczarowany, widać spodziewał się czegoś ostrzejszego.

- To prawda, że Strażnicy Teksasu wieszali koniokradów? - zapytał.

- W Waco jest muzeum naszej formacji. Zabiorę was tam, jak przyjedziecie następnym razem do Teksasu.

- Ja już nigdy nie pojedę do Teksasu - oznajmiła Lillian stanowczo - bo tam jedzą żaby, węże i aligatory.

Sam wybuchnął śmiechem.

- Zdaje się, Lillian, że musimy poważnie porozmawiać. Masz dziwne wyobrażenia na temat Teksasu. - Spojrzał na Karę. - Jak ty wytrzymywałaś takie gadki, kiedy tu mieszkałaś?

- Szkoda, że nie słyszałeś, co wygadywał Wielki Mike.

Henry był pochłonięty własnymi planami.

- Czy muszę skończyć studia, żeby zostać Strażnikiem Teksasu?

- Studia nie zaszkodzą - stwierdził Sam. - Może zajmiesz się potem polityką...

- Na pewno nie. Nie mógłbym, po tym jak uciekłem i podrobiłem list od mamy.

- Ja podrobiłam list - wtrąciła Lillian. - Ty tylko powiedziałeś, żeby napisać o niebezpieczeństwie.

Henry zrobił się blady jak płótno.

- Zamknij się, Lillian, bo nas aresztują!

Kara, podobnie jak Henry, natychmiast wychwyciła błąd Lillian. Sam również usłyszał słowo „niebezpieczeństwo” i zastrzygł uszami.

- Sam was nie aresztuje, bo nie ma prawa - wyjaśniła dzieciom. - A nawet gdyby miał, też by was nie aresztował. Nikt was nie aresztuje. - Spojrzała na Sama. - Myślę jednak, że powinniście mu powiedzieć, co w waszym liście było prawdą, a co zmyśleniem.

- Wszystko było prawdą - oświadczyła Lillian z urazą. - Grozi nam niebezpieczeństwo.

Sam milczał jak zaklęty i czekał, Kara zwróciła się do Henry'ego:

- On powinien to usłyszeć. Ma doświadczenie, wie, co robić. Możesz mu powiedzieć.

- Nie mogę. A ty, Lillian, w ogóle się nie odzywaj - nakazał siostrze i spojrzał na Karę niepewnie. - Ciociu, a jeśli mamie coś się stanie, bo my trzymaliśmy język za zębami?

- Otóż to. - Sam zatrzymał się i spojrzał na Karę z wyrzutem. - Dzieciaki są przekonane, że pani gubernator grozi niebezpieczeństwo...

- To nie takie proste - westchnęła. - Dzieci same muszą zdecydować, czy mają nadal milczeć, czy mówić. Ja nie mogę za nie podejmować decyzji.

Henry'ego i Lillian najwyraźniej usatysfakcjonowała ta odpowiedź, bo pobiegli w podskokach przodem, nie czekając, jak dalej potoczy się rozmowa.

- Daję ci czas do piątej - mruknął Sam, ale Lillian i Henry już tego nie słyszeli. - Potem, chociaż wiem tyle, co kot napłakał, przekażę sprawę tutejszej policji.

Lunch podano na tarasie.

Madeleine przywitała wnuki ze zwykłą rezerwą. Na szczęście dla Kary nikt nie podnosił, na razie, tematu ich niezwykłego powrotu do Connecticut. Odetchnęła z ulgą, przedstawiła seniorce rodu Sama i poszła w stronę basenu, na spotkanie Allyson.

- Chciałabym z tobą później porozmawiać - uprzedziła przyjaciółkę.
- W obecności dzieci.
- Oczywiście - rzuciła Allyson lekko. - Może popływamy po lunchu?
- Po lunchu i po rozmowie - powiedziała Kara. Sam dał jej czas do piątej i wiedziała, że nie będzie czekał ani minuty dłużej.

Henry i Lillian pobiegli za babką do kuchni, Allyson też tam ruszyła, żeby pomóc Madeleine. W drzwiach minęła Billie i Hacha.

- Nie możemy odwołać. - Billie, wyraźnie zdenerwowana, z wypiekami na twarzy klóciła się z bratem. - Ludzie gotowi pomyśleć, że albo twoja matka straciła do mnie zaufanie po wybuchu petard, albo ta historia z dziećmi to coś znacznie poważniejszego, niż twierdzicie.

- Uważam, że tych okolicznościach wydawanie przyjęcia nie jest dobrym pomysłem - upierał się Hatch.

Billie wzniosła ręce do nieba.

- Jakich okolicznościach? Dzieciaki dały nogę z teksańskiego rancza dla miastowych przygłupów i po godzinie wylądowały bezpiecznie w domu swojej matki chrzestnej. Wielkie mi coś. Nic złego im się nie stało, ale jeśli odwołacie party, zrobi się afera.

- Zapłacimy ci za przygotowania.

- Wiesz co, Hatch, jesteś skończonym dupkiem, skoro nie rozumiesz, że tu nie chodzi o pieniądze. - Wybiegła na środek tarasu, tak zdenerwowana, że nie zwracała uwagi, czy ktoś przysłuchuje się jej kłótni z bratem. - To twoja matka chciała urządzić przyjęcie, więc to ona musi je odwołać.

Hatch skrzywił się.

- Billie, na litość boską.

A Billie nieoczekiwanie uśmiechnęła się od ucha do ucha, jakby w ogóle nie było żadnego sporu.

- Podoba ci się mój pomysł z luminariami?

Taka właśnie była Billie, niczym się nie przejmowała. Być może i Hatch byłby innym człowiekiem, gdyby choć trochę wdał się w ojca. Ale on tylko westchnął ciężko.

- Wolałbym pozostać przy sztucznym oświetleniu. Po tym, co się zdarzyło podczas ostatniego przyjęcia...

- Och, człowieku małego ducha. Luminaria są doskonałe. Ludzie mają się dobrze bawić, tak? Trzeba stworzyć nastrój. Zaufaj mi, Hatch. - Billie dopiero teraz zauważyła obecność Kary i Sama.

- Mojemu bratu chyba płacą za myślenie negatywne i jak widać, uczciwie zarabia swoje pieniądze, nie sądzicie?

Kara zaśmiała się głośno.

- Ja się nie wtrącam - oznajmiła, przedstawiła Sama i zwróciła się do skłóconego rodzeństwa:

- Zostajecie na lunchu?

- Nie, nie zostajemy - odpowiedział za oboje Hatch z kwaśną miną. Billie przewróciła oczami i pociągnęła go w stronę basenu, tłumacząc mu coś zawzięcie.

Sam podszedł do Kary. Po jego minie można było wnosić, że ma dość wszystkich Stockwellów razem wziętych, pilnie strzeżonych tajemnic oraz wszelkich form życia towarzyskiego.

- Znikam. Wrócę po lunchu. Smacznego.

- A ty niby dokąd? - zachnęła się Kara. - I skąd będziesz wiedział, kiedy wrócić?

- Zadzwońisz po mnie albo poprosisz któregoś z ochroniarzy pani gubernator, żeby odprowadził was do Stonebrook.

- Podstawowe zasady?

- Tak - przytaknął Sam z poważną miną. Kara nie próbowała z nim dyskutować ani go zatrzymywać. Nagle uzmysłowiła sobie, że będzie mogła wykorzystać nieobecność Sama. Złamie jego podstawowe zasady, wymknie się na wzgórze nad żwirowiskiem i obejrzy domek dzieci. Naocznie oceni, co mogły stamtąd zobaczyć.

- Życzę miłego dnia - mruknęła. - Baw się dobrze.

- Przepróż w moim imieniu Stockwellów.

Przepróżła nie tylko w jego imieniu, ale i w swoim. Powiedziała, że nie jest głodna i nie chce przeszkadzać w rodzinnym spotkaniu. Nikt jej nie zatrzymywał.

Znała, przynajmniej tak sądziła, skrót przez las, prowadzący do żwirowiska. Szła szybko, prawie biegła, starała się skupić na tym, co ma

do zrobienia, nie myśleć o przeszłości i przyszłości. Kiedy obejrzy domek na drzewie, być może będzie miała lepszy ogłąd sytuacji.

Wąską ścieżką dotarła do murku granicznego, oddzielającego ziemie rodziny Jericho od posiadłości Stockwellów. Wkrótce zostawiła za sobą las i przez zarośla i wysokie paprocie ruszyła w stronę wzgórza.

Była już w pobliżu zwirowiska. Po lewej mijała suszące się drewno, którym handlowali Jerichowie i starą furgonetkę Pita, na wprost samo wyrobisko.

Zadyszana zatrzymała się dla złapania tchu i spojrzała na stromy stok, który miała za chwilę pokonać. Podziwiała energię i upór swoich chrześniaków. Musieli targać na szczyt deski, narzędzia, prowiant. Duże przedsięwzięcie wymagające samozaparcia.

Usłyszała chrzest żwiru za plecami.

Cholera.

Sam.

Powinna była się domyślić. Musiał ją obserwować od pewnego czasu, ukryty między choinkami po drugiej stronie drogi.

- Nie podejrzewałam, że wrócisz do chaty. I na pewno nie szedłeś za mną, bo nic nie słyszałam. Dzień jest wyjątkowo spokojny, wokół cisza, a ty nie należysz do najsubtelniejszych.

Sam spojrzał na nią z ukosa.

- Mała posiadłość, którą wynajmował gubernator Parisi, graniczy z gruntami Stockwellów i Jerichów, a wspólna granica jest niedaleko, po drugiej stronie zwirowiska. - Zrobił krok w kierunku Kary. - Interesujące spotkanie.

- Zrezygnowałam z lunchu...

- Widzę.

- Postanowiłam zostawić Henry'ego i Lillian sam na sam z matką. Posłuchaj, wiem więcej niż ty. Oboje chcemy dojść prawdy. Zaufaj mi.

- Dziwię się, że Hatch Corrigan nie przyszedł z tobą.

Zamierzał ją wytrącić z równowagi, to oczywiste.

- Cokolwiek Hatch do mnie czuł, dawno się skończyło.

- Nieprawda. On tylko nie chce zbrukać swojego uczucia do ciebie czymś tak przyziemnym i wulgarnym jak seks. - Sam ciągnął dalej, jakby nie zauważał narastającej wściekłości Kary: - Ciche i spokojne miejsce, to wasze Bluefield. Najpierw eksplozja omal nie zabija pani wicegubernator. W dwa tygodnie później topi się gubernator, a potem dwoje małych milionerów wywiezionych do innego stanu dostaje takiego pietra, że postanawia zwać z letniska.

- Kiedy tak to naświetlasz...

- Ja nie muszę nic naświetlać, Karo, przytaczam tylko fakty. Zoe West niezbyt się to wszystko podoba. Mnie i tobie również.

Kara milczała przez chwilę. Najważniejsze były dzieci, ich zaufanie do ciotki. Musiała chronić Lillian i Henry'ego. W najgorszym razie była nawet gotowa reprezentować ich w sądzie, ale miała nadzieję, że do tego nie dojdzie i że rozmowa obojga z Allyson rozwiąże wszystkie problemy.

- Tam stoi furgonetka Pita - powiedziała wreszcie, wskazując rozklekotany pojazd. - Odszukajmy go i porozmawiajmy. Może on wie coś więcej.

- Karo...

- Podejmij decyzję.

- Najchętniej odesłałbym cię najbliższym samolotem do San Antonio.

- Do Austin - poprawiła go. - Mieszkam w Austin, nie w San Antonio.

- Twój brat zająłby się tobą do mojego powrotu. - Sam westchnął bezradnie. - A tak urwie nam obojgu głowy.

Kara uśmiechnęła się niewinnie i pociągnęła Sama ze sobą na poszukiwanie Pita. Chciała koniecznie obejrzeć domek na drzewie, ale w obecności Sama nie mogła tego zrobić.

Zatrzymali się koło maszyn na dnie wyrobiska. Kara chciała coś powiedzieć, ale zobaczyła, że Sam wyciąga broń.

- Co ty robisz?

- Nie ruszaj się.

Kara rozejrzała się i wstrzymała oddech. Pod stromą ścianą wyrobiska dojrzała ciało mężczyzny; leżał nieruchomo, twarzą do ziemi.

Rozpoznała jasne włosy, robocze ubranie.

- Matko święta, to Pit.

Chciała się rzucić ku niemu, ale Sam ją zatrzymał.

- Nie ruszaj się - powtórzył, podbiegł do Pita, przyklęknął i zaczął szukać pulsu, rozglądając się jednocześnie wokół.

Żwirowisko świeciło pustkami. Kara nie wytrzymała i podeszła do klęczącego przy Picie Sama.

- Żyje - szepnął. - Musimy wezwać karetkę. Pit był mocno poturbowany, miał zakrwawione ramię, rękę, ogromny siniak na czole i otwarte złamanie nadgarstka. Tyle zdołała dojrzeć.

- Wszystko będzie dobrze, Pit - zaczęła mówić, niepewna, czy ją słyszy. - Zaraz przyjedzie karetka, zabiorą cię do szpitala.

Pit jęknął.

- Kara? - wycharczał, nie otwierając oczu. - Chryste.

Sam wyjął komórkę, połączył się z 911, w kilku słowach opisał sytuację i podał operatorowi namiary. Kara podniosła głowę i mrużąc oczy, próbowała wypatrzeć na szczycie wzgórza drzewo, na którym dzieci zbudowały domek. Czy Pit go widział? Poszedł tam i wtedy spadł? Gdyby Sam natrafił na domek, domyśliłby się, co ukrywają dzieci, a ona nie zdradziłaby tajemnicy. Wskazała szczyt wzgórza.

- Sam, on spadł stamtąd. Może pójdź tam i rozejrzyj się, na wszelki wypadek - zaproponowała.

Sam spojrzał na nią podejrzliwie.

- Pójdę, jak przyjedzie karetka.

Jeszcze zanim przyjechała, pojawił się Charlie Jericho powiadomiony o wypadku przez operatora z 911. Zeskoczył z ciągnika i podbiegł do syna.

- Co się stało? Pit, jak się czujesz? - Pokręcił głową. - Wygląda to okropnie. Potrafisz powiedzieć, czy masz jakieś wewnętrzne obrażenia? Połamane żebra? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrzał na Sama. - Jesteś policjantem, chłopcze. Jak myślisz, to był wypadek?

- Nie wiem, panie Jericho, nie mnie to oceniać. Może Pit coś powie, jak już będzie mógł mówić.

Charlie podniósł się, zdjął czapkę i otarł pot z czoła.

- Pewnie rozbierał ten cholerny domek na drzewie i wtedy zleciał - mruknął. - Mówiłem, że to niebezpieczne, bo zbyt blisko skraju wyrobiska.

- Na którym drzewie? - Sam natychmiast zrozumiał, o co chodzi, wszystkiego się domyślił. Posłał Karze wściekłe spojrzenie i nie czekając na odpowiedź Charliego, ruszył na szczyt wzgórza w tej samej chwili, kiedy na drodze pojawiła się karetka.

- Na tym wielkim dębie nad samym urwiskiem - zawołał za nim Charlie.

Kara obserwowała przez chwilę jego wspinaczkę. Pit mógł spaść, ale też ktoś mógł go zepchnąć. Pomyślała o tajemniczym mężczyźnie w czarnym sedanie, wyjęła telefon i wystukała numer Stockwell Farm.

Odebrał Hatch.

- Słyszeliśmy już, co się stało. Jesteś tam?

- Tak, Hatch. Muszę rozmawiać z Allyson. Natychmiast.

- Ty tutaj nie rządzisz - prychnął Hatch i rozłączył się.

- Hatch jest jeszcze gorszy niż zwykle - mruknął Charlie i wskazał ścieżkę, którą poszedł Sam. - Idź za nim, ja zostanę z Pitem.

Kiedy dotarła na szczyt, Sam właśnie zeskakiwał z dębu.

- Widzieli tonącego Parisiego, tak? Są świadkami. Sam się domyśliłem. Pani mecenas jest zwolniona z obowiązku milczenia.

- To dzieci, Sam...

- Słusznie. Dzieci, które potrzebują opieki kogoś dorosłego z odrobiną oleju w głowie. Twój znajomy, Pit Jericho, mógł zginąć. - Mierzył ją złym wzrokiem. - Co oni ci powiedzieli?

- Nie powiedzieli najważniejszego, tego jestem pewna. Coś ukrywają, czuję to. Zachowują się tak jak ty, nikomu w pełni nie ufają.

- Ty za to jesteś aż nazbyt ufna. - Przyciągnął ją do siebie i objął. - Martwię się o ciebie, Karo. Obawiam się, że nigdy nie przestanę się o ciebie troszczyć.

Nigdy? Ileż obietnic zawierało się w tym jednym zdaniu. Karze zakręciło się w głowie, ale szybko uwolniła się z objęć Sama. Teraz musiała myśleć o dzieciach, nie o sobie i Samie.

- Chciałam, żebyś znalazł ten ich domek, to było jedyne wyjście, ale...

- Chcesz porozmawiać z Lillian i Henrym? Kiwnęła głową i uśmiechnęła się blado.

- Powiem im, że sprawą zajął się wielki, zły Strażnik Teksasu.

- Dobrałbym się im do skóry, gdybyśmy byli w Teksasie. Tobie też. Stałabyś przed prokuratorem i musiała odpowiedzieć na kilka pytań.

- Wątpię - sarknęła Kara i spojrzała na domek na drzewie. - Mam tam wejść?

- Nie musisz. Lillian i Henry widzieli stamtąd przez lornetkę basen w willi Wielkiego Mike'a.

- Mieli lornetkę? Znalazłeś ją?

- Owszem - przytaknął. - Co zrobili, kiedy zobaczyli tonącego gubernatora? Pobiegli do jego domu? Chcieli go ratować?

- Sam...

- W każdym razie nie zadzwonili na policję, później też nie przyznali się, że coś widzieli. - Sam przymknął oczy. - Jeśli pobiegli do willi, to zanim tam dotarli, przy basenie musiała być już ochrona. Lillian i Henry zawrócili, prawda?

- To tylko twoje spekulacje.

- Ty wiesz.

Kara nie odpowiedziała. Wyobraziła sobie dzieciaki, jak biegną co sił w nogach na pomoc Mike'owi. Lillian zgubiła lornetkę. Była oburzona, że ktoś ją ukradł.

Czy ktoś widział dzieci biegnące w dół, do domu Mike'a?

Morderca?

Niekoniecznie. Lillian była tak przerażona, że mogła nie pamiętać, gdzie zgubiła lornetkę.

Sam bez słowa zaczął schodzić ze wzgórza. Kara zawołała, żeby zaczekał, ale nie zatrzymał się. Dogoniła go zdyszana i wzięła za rękę. Nie powiedział jej, żeby poszła do diabła. Po prostu ścisnął jej dłoń i razem zeszli na dół.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zoe West wyglądała zupełnie inaczej, niż Sam oczekiwał. Była niewysoka, miała jasne, kręcone włosy, szaroniebieskie oczy i figurę sportsmenki.

Sam natomiast musiał wyglądać dokładnie tak, jak go sobie wyobrażała, bo stwierdziła na powitanie:

- Oto żywa reklama Strażników Teksasu.

Sam nie odpowiedział, co tylko utwierdziło ją w jej opinii. Pojawiła się akurat w momencie, kiedy sanitariusze wsuwali nosze z Pitem do karetki.

Charlie zdecydował się jechać do szpitala furgonetką Pita i Kara zabrała się z nim. Sam uprosił Zoe, żeby zawiozła go do willi Wielkiego Mike'a, bo chciał zobaczyć basen. Potem miał się spotkać z Karą w szpitalu.

Kiedy dotarli na miejsce żółtym garbusem Zoe, Sam wysiadł z samochodu i poszedł nad basen. Ogród od przylegającego lasu odgradzał wysoki na półtora metra płot z siatki. Basen skrzył się w słońcu, czysta

woda, błękitne kafelki, żadnych tonących gubernatorów i bławatników z połamanymi łapkami.

- Chyba nie zamierza pan wtrącać się w moje dochodzenie? - zapytała Zoe o wiele za późno.

- To pani dochodzenie? - Wiedział doskonale, że nie. Wzruszył ramionami. - Po prostu zwiedzam okolicę.

- Jasne. Trzeba coś zrobić z wolnym czasem. Rozumiem. To pan i Kara Galway znaleźliście Pita?

- Tak, madame. Tak jest, pani detektyw - poprawił się.

- Po prostu Zoe. Czy Pit powiedział, co się stało? Kiedy przyjechałam na miejsce, zakładali mu kroplówkę.

- Nie bardzo mógł cokolwiek powiedzieć. Był na wpół przytomny...

- Ta sprawa śmierdzi.

Sam powtórzył Zoe, co wiedział, przemilczał tylko informację o domku na dębie, nie wiadomo dlaczego. Kara zasłużyła, żeby mieć na karku całą policję Connecticut i Teksasu razem wzięte.

- A ty wybrałaś się tam na spacer w ramach zwiedzania okolicy? Nie macie żwirowisk w Teksasie? - Schyliła się i zanurzyła dłoń w wodzie. - Nie sądzisz, że to idiotyczne, budować basen tak blisko ściany lasu? Wyobrażam sobie te chmary komarów, ale pewnie wymyślił to architekt krajobrazu - stwierdziła z przekąsem. - Jak dzieci Stockwellów?

- Są w tej chwili u matki.

- Zwierzyły się, dlaczego uciekły?

- Nie. - Sam zastanawiał się, co go napadło, żeby przyjechać z Zoe do willi Mike'a. - Nie wierzysz, że śmierć Parisiego to był nieszczęśliwy wypadek?

- Nie bardzo.

- Interesował się bławatnikami - powiedział Sam.

- Miał prawdziwego hopla na ich punkcie. Rozmawiałam z Ethel Smith, to emerytowana nauczycielka z tutejszej szkoły i miłośniczka bławatników. Twierdzi, że w tej okolicy nie ma ich gniazd. Nie ma i kropka. Próbowala, przy wydatnej pomocy Mike'a, odnowić populację bławatników w Bluefield. Zrobiła mi kilka parogodzinnych wykładów i już wszystko wiem na temat tego ptaszka. - Westchnęła z rezygnacją. - Może to był rzeczywiście nieszczęśliwy wypadek, a ja doszukuję się dziury w całym. Taka już jestem. W dodatku dostanę porządną burę, że cię tu przywiozłam.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Kara Galway wiedziała, że gubernator Parisi nie potrafił pływać. W dwa tygodnie po jego śmierci i zaprzysiężeniu Allyson Stockwell Henry i Lillian uciekają do Kary. Potem pojawia się tu ty. - Wskazała głową pistolet. - Z bronią.

- Liczę na koleżeńską wyrozumiałość.

- Pod warunkiem, że nie wyciągniesz tego świństwa z kabury, dopóki jesteś w Bluefield. Gdybym to ja pojawiła się w Teksasie ze spluwą, też mówiłbyś o koleżeńskości wyrozumiałości?

- O ile okoliczności byłyby zbliżone, oczywiście. Zoe uśmiechnęła się szeroko.

- Bardzo w to wątpię. Dokąd cię podrzucić, sierzancie?

- Do szpitala, do którego zawieźli Pita.

- Ja też powinnam tam zajrzeć. - Kiedy wyszli z ogrodu, Zoe odwróciła się i spojrzała na Sama uważnie.

- Wierzysz, że po prostu poślizgnął się i wpadł do wody?

- Nie.

- Ja też nie.

Oszołomiony środkami znieczulającymi Pit jak przez mgłę rejestrował, co się z nim dzieje. Prześwietlenie, tomografia, skan komputerowy, pobieranie krwi, nastawianie złamanej kości nadgarstka, czyszczenie i opatrywanie ran... Lekarz powiedział mu, że ma też złamany mostek i pęknięte dwa żebra, ale poza tym żadnych obrażeń wewnętrznych.

Kiedy w końcu został ulokowany w separacie, wpadła Bea.

- Mówiłam, że to zwirowisko to śmiertelna pułapka - biadała przez łzy - i żebyś uważał, ale ty zawsze wiesz lepiej. Popatrz, jak się urządziłeś.

W ślad za nią do sali wszedł Charlie i zaczął gderać, że w szpitalu nie wolno palić.

Pit kochał rodziców, ale chciał, żeby już sobie poszli. Nic nie pamiętał. Dlaczego spadł? Co się właściwie stało?

Matka chyba wyczuła jego zmęczenie i rozdrażnienie, bo otarła łzy i zaczęła zbierać się do wyjścia.

- Odpocznij teraz. Mówią, że może jutro cię wypuszczą. A tak w ogóle to co ty robiłeś tara na wzgórzu?

Domek. Teraz sobie przypominał. Chyba poszedł go rozebrać? Jeśli ojciec opowiedział komuś o tajemniczej platformie na dębie, wszyscy znaleźli się w tarapatach: Charlie, dzieci i on sam.

Lekarz wyjaśnił mu, że po wypadkach takie krótkotrwałe amnezje to rzecz bardzo częsta. Reakcja chemiczna w mózgu, kiedy organizm walczy o przeżycie. Z czasem pamięć powinna wrócić.

Ledwie lekarz wyszedł, pojawił się ochroniarz Allyson z pytaniem, czy Pit zechce widzieć panią gubernator.

Rodzice ruszyli do drzwi, ale zanim wyszli, Charlie nachylił się nad Pitem.

- Lepiej nie zadawać się ze Stockwellami. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Najpierw Madeleine wpakowała cię za kratki, a teraz... sam widzisz. Wychowałeś się w tych lasach. Nie wierzę, że się poślizgnąłeś i spadłeś.

Pit nie rozumiał, o czym mówi ojciec.

- Tato...

- Nie martw się, będę trzymał język za zębami. Stara wiedźma nie wsadzi cię do kicia za to, że się potłukłeś.

Pit miał mętlik w głowie. O co chodzi ojcu?

Weszła Allyson. Pit na nią spojrzał i od razu wiedział, że to wizyta zatroskanej sąsiadki, a nie kochanki. Nieważne, cieszył się, że ją widzi, był szczęśliwy. Pragnął tylko jednego, żeby smutek i troska zniknęły z jej twarzy, ale... cholera, oczy same mu się zamknęły i zapadł w sen.

Sam wracał do Bluefield w ponurym nastroju. Zoe West pokręciła się trochę po szpitalu, powęszyła i odjechała, nie troszcząc się o swojego pasażera. Zabrał się z Karą, furgonetką Pita, a Charlie pojechał z Beą.

- Pierwszy raz prowadzisz furgonetkę? - zagadnął Sam, wsiadając do rozklekotanego pojazdu.

- Zamknij się - warknęła Kara.

- Chcesz pogadać?

- Nie.

- Mike Parisi został zamordowany, wiesz o tym, prawda?

- Nieważne, co wiemy. - Kara nie odrywała wzroku od drogi. -

Ważne, czy mamy dowody.

I Kara zamilkła na dobre.

W chwilę po ich powrocie do Stonebrook Hatch Corrigan przywiózł dzieci. Przypomniat Karze, że rano pojawi się prywatny ochroniarz.

- Kiedy Allyson wróci ze szpitala, niech do mnie zadzwoni.

Chciałam z nią porozmawiać...

- Nie dzisiaj. Jest wytrącona z równowagi tym, co się wydarzyło - powiedział Hatch, pożegnał się i odjechał.

Sam chciał wyciągnąć z Kary coś więcej na temat domku na drzewie. Musiała to wyczuć, bo uciekła do ogrodu, ale on poszedł za nią.

- Ciekawie było w szpitalu - zaczął.

- W szpitalu ludzie zawsze zachowują się dziwnie - zbyła go i zajęła się rozpalaniem ognia pod grillem.

- Charlie Jericho i Madeleine Stockwell nie przepadają za sobą.

- Charlie rzeczywiście nie znosi Madeleine, natomiast ona? Chyba w ogóle go nie zauważa, jest dla niej zbyt mało. ważny, żeby darzyła go jakimś uczuciem. Charlie do tej pory uważa, że to z jej winy Pit trafił do więzienia. Byłam jego adwokatem... - Kara zamilkła na moment. - Uważa, że Madeleine nakłoniła świadków do złożenia fałszywych zeznań.

- A ty jak sądzisz?

- Pit narozrabiał i myślał, że mu się upiecze. Stało się inaczej. Nie mogłam złapać nikogo na jawnym kłamstwie. Facet, któremu Pit przyłożył butelką po piwie, miał pięć szwów na brodzie. To fakty, których nie sposób podważyć. Idiotyczna sprawa. Robiłam, co mogłam, ale wyroku nie dało się uniknąć.

- Dlaczego Madeleine miałoby zależeć na posłaniu Pita za kratki?

- Chciała mu pokazać, gdzie jest jego miejsce.

- Zakochał się w Allyson, tak? Kara zerknęła na Sama znad grilla.

- Ty zawsze wszystko musisz dostrzec?

- On nadal ją kocha. - Sam wyciągnął się na trawie. - Pani gubernator i facet po wyroku. To mogłoby się nie podobać opinii publicznej. Doradcy Allyson. Gubernatorowi Parisiemu i wielu innym.

- Pit odsiedział pół roku za wywołanie burdy w barze. Nie jest mordercą. Poza tym Allyson nie pozwoli sobie rozkazywać. Jeśli będzie chciała spotykać się z Pitem, to postawi na swoim bez względu na opinię otoczenia.

- Ci ludzie mają wiele do stracenia, Karo. Tu grają wzajemne animozje, ambicje. Czulaś to i dlatego wróciłaś do Teksasu.

- Ja stąd nie uciekłam. - Odwróciła się do niego plecami i próbowała bez rezultatu zapalić zapałkę, jedną, drugą... - Nie interesują mnie rozgrywki polityczne. Wielki Mike był złożoną postacią, wspaniałym człowiekiem, ale nie widywałam go zbyt często, szczególnie po jego wyborze na gubernatora.

- Kochał się w tobie.

- Powiedzmy, że raczej podkochiwał. Taka romantyczna mrzonka, która nie miała wpływu na moją decyzję o powrocie do Teksasu.

- A co z Allyson?

- Nigdy nie przestaniemy się przyjaźnić. To samo dotyczy Hacha, Madeleine, Pita i jego rodziców. W pewnym sensie ci ludzie byli moją rodziną, kiedy tu mieszkałam.

- A jednak nie możesz ich uratować, tak jak nie byłaś w stanie uratować swojej matki.

Nie sądził, że Kara zareaguje tak gwałtownie. Powoli odłożyła zapałki na stół, podeszła do niego i z całej siły uderzyła go w twarz.

Mógł ją powstrzymać, ale nie zrobił tego.

- Powiedz, że nie mam racji, Karo. Była bardziej zaszokowana niż Sam.

- Przepraszam, nie miałam prawa cię uderzyć.
- Tym samym wolnym krokiem wróciła do grilla.
- Zostanę tutaj, dopóki nie nabiorę pewności, że

Henry i Lillian są bezpieczni. - W jej głosie nie było złości, tylko zmęczenie i determinacja. - Jeśli Mike rzeczywiście został zamordowany, chcę, żeby sprawca odpowiedział za swój czyn. To nie ma nic wspólnego z moją matką.

Sam nie zamierzał ustąpić, nawet jeśli oznaczało to zranienie Kary i... kolejne policzki.

- Prokuratura i policja stanowa prowadzą dochodzenie. Powiedz im, co wiesz, to ich robota. Jeśli nie powiesz, ja to zrobię.

- Oni nie należą do otoczenia Allyson, ja tak. Wyjechałam stąd, nabrałam dystansu, ale ciągle dostrzegam rzeczy, których oni nie widzą. I mam nieomal nieograniczony dostęp zarówno do Allyson jak i do dzieci.

- Cholera... - Do Sama dopiero teraz to dotarło. - Myślisz, że ktoś z najbliższego otoczenia Parisiego jest odpowiedzialny za jego śmierć?

Nie odpowiedziała. Zapaliła kolejną zapałkę, przyłożyła ją do węgla i odskoczyła, kiedy buchnął płomień.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Kara leżała w mroku, wsłuchiwała się w cykanie świerszczy za oknem i myślała o Mike'u tonącym w basenie, o dzieciach bezradnie przyglądających się jego śmierci z domku na dębie. O Picie leżącym bez ruchu na dnie zwirowiska...

Przypomniała sobie, jak przed laty pojawił się w jej gabinecie, jak od progu zmierzył ją nieufnym spojrzeniem. Kobieta, w dodatku młoda, polecona przez Mike'a Parisiego, przyjaciółka Stockwellów, absolwentka jednego z najbardziej elitarnych uniwersytetów w kraju. To mu wystarczyło. Nie wiedział nic o jej niewesołym dzieciństwie w Teksasie, o wyrzeczeniach ojca, który harował, żeby wykształcić dzieci.

Ciekawe, czy Sam już się położył. Pewnie tak.

Po kolacji przeprosiła go raz jeszcze za tamten policzek, ale on nie przeprosił jej za brutalną uwagę. Co wiedział o jej matce?

Położyła dłoń na brzuchu. Myślała, że negatywny wynik testu przyniesie jej ulgę, tymczasem była potwornie zawiedziona, niemal zdruzgotana, a przecież nieplanowana ciąża nie powinna być żadnym powodem do radości.

Sam Temple... Westchnęła z rezygnacją. Jeśli tak dalej pójdzie, za kilka tygodni znowu pobiegnie do apteki, po następne testy ciążowe.

Gdyby okazał się naprawdę jej drugą połówką, straciłaby wiarę w porządek świata. Związek dusz z facetem, dla którego kompromis polega na tym, że inni zgadzają się z jego zdaniem.

Dziwne, ale myśl o upartym sierżancie ukołysała ją do snu. Kiedy otworzyła oczy, za oknem świeciło słońce, a w powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy.

Szybko się umyła, ubrała i przeszła do kuchni. Sam siedział już przy stole. Przywitał ją, przeciągając z teksańska zgłoski. Nalała sobie kawy, usiadła naprzeciwko niego i dopiero wtedy zauważyła kaburę z coltem. Cały Sam, zawsze czujny, gotów do działania, gdy tylko spodziewał się problemów.

W kuchni pojawił się głodny Henry i obaj panowie zajęli się przygotowaniem śniadania. Po chwili weszła i Lillian. Zapomniawszy już o swoim wegetarianizmie, zażądała jajek na bekonie i usadowiła się Karze na kolanach.

- Uczeszysz mnie?

Przeszły do łazienki i Kara zaczęła zaplatać długie jasne włosy dziewczynki w gruby warkocz.

- Twoja mama cię czesała? - zapytała Lillian.

- Czesła, kiedy byłam mała. Lubiała zaplatać mi włosy we francuski warkocz.

- Ona umarła, prawda?

- Tak. Zginęła w wypadku samochodowym. Miałam wtedy dziewięć lat, a mój brat piętnaście.

- Tęsknisz za nią?

- Tak.

- Smutno ci, że nie żyje?

- Kiedyś było, ale potem pogodziłam się z jej śmiercią. - Kara wiedziała, że właściwie mówią teraz o Wielkim Mike'u, nie o jej matce. - Ciągle jest ze mną.

- Ja czasami rozmawiam z Wielkim Mikiem - wyznała Lillian.

Kara uśmiechnęła się i pocałowała Lillian w czubek głowy.

- Podobałoby mu się to.

- Henry mówi, że Pit spadł z naszego domku i że teraz dopiero będziemy mieli kłopoty.

- Lillian, to nieprawda. Nie popełniście żadnego przestępstwa.

- Wkroczyliśmy na cudzy teren. Dąb jest na gruntach państwa Jericho.

- Ale nie zepchnęliście Pita na dno zwirowiska. Lillian z powagą pokręciła głową.

- Nie. Byliśmy u babci.

- No i wszystko w porządku. Nie możecie zakładać, że wszyscy natychmiast dowiedzą się o domku, a jak już się dowiedzą, to od razu się domyślą, co stamtąd widzieliście...

Lillian straciła zainteresowanie tematem. Wybiegła z łazienki z krzykiem, że bekon ma być chrupki, bo ona innego nie będzie jeść.

Kiedy cała czwórka zasiadła przy stole, Henry uznał, że najwyższa pora wygłosić oświadczenie.

- My nie chcemy żadnego ochroniarza - oznajmił. - Świetnie sobie poradzimy i bez niego.

- Mama i Hatch będą spokojniejsi...

- Tylko stryjek Hatch. Mamie jest wszystko jedno. Ona chce jedynie, żebyśmy byli grzeczni i nie przeszkadzali jej.

- I dlatego zwierzyliście się mnie, a nie jej? - zapytała Kara cicho.

Henry nie raczył odpowiedzieć, wyręczyła go siostra:

- Jest obrażony na mamę, bo nie chciała nas zabrać do szpitala, do Pita. Musieliśmy zostać z babcią, stryjem i ochroną.

- Byliśmy wczoraj z Karą przy żwirowisku.

- Sam upił łyk kawy. Mówił spokojnie, od niechcienia rzucając słowa.

- Wiecie, że to my znaleźliśmy Pita, prawda? Potem Kara została z nim, a ja wszedłem na szczyt wzgórza, chciałem zobaczyć, skąd spadł, jak to się mogło stać, no i zobaczyłem wasz domek.

- Pitowi nic nie będzie. - Henry zerwał się z krzesła. - Chodź, Lillian, biegniemy na górę.

Lillian zawinęła dwa kawałki bekonu w serwetkę i pobiegła z bratem.

- Po prostu świetnie - mruknęła Kara, kiedy oboje zniknęli.

- Słyszą tylko to, co chcą - powiedział Sam i odstawił kubek. - Jeśli przestraszyli się, bo widzieli śmierć Wielkiego Mike'a, dlaczego uciekli z letniska dopiero po dwóch tygodniach? Coś musiało ich popchnąć do tej decyzji. Co to było, Karo? Kara wstała, żeby nalać sobie kawy.

- Sam, ja nie mogę...

- Nie jesteś adwokatem dzieci, tylko ich matką chrzestną.

- Wiem, kim jestem.

- Powiedziałem, że pójdę na policję, i zrobię to. Kara skinęła głową.

Usłyszeli podjeżdżające samochody i zobaczyli Billie w starej furgonetce. W ślad za nią podjechał pod chatę Hatch w towarzystwie siwowłosego mężczyzny, którego Kara rozpoznała dopiero po chwili, a kiedy już rozpoznała, mocno się zdziwiła. Dlaczego w charakterze prywatnego ochroniarza Hatch wynajął akurat Waltera Harrisona?

Tego samego Harrisona, policjanta, który przed laty tak się przysłużył Pitowi. Wally stosunkowo niedawno przeszedł na emeryturę i zapewne skwapliwie przyjął ofertę Corrigan.

Sam stanął obok Kary przy oknie.

- Bardzo sympatyczny osobnik - wycedził.
- Nie zatrudniłabym go, gdyby to ode mnie zależało - westchnęła

Kara.

Kiedy oboje wyszli przed chatę przywitać się, Billie tylko wzniosła oczy do nieba, jakby chciała powiedzieć, co myśli o wyborze braciszka.

- Wally, oczywiście, nie będzie mógł czuwać dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale zapewni dzieciom ochronę, której teraz szczególnie potrzebują - oznajmił pompatycznie Hatch. - Nie będzie wam przeszkadzał, postara się zachowywać tak dyskretnie, jak to możliwe. Nie odczujecie, mam nadzieję, jego obecności w chacie.

Kara uśmiechnęła się blado, a Sam, który najwyraźniej wolał się nie wtrącać, choć miał już wyrobione zdanie, odwrócił się na pięcie i zaczął razem z Billie wypakowywać jakieś pudełka z furgonetki.

- Znalazłam w domu trochę szpargałów po różnych kinderbalach. Może dzieciaki jakoś to wykorzystają - powiedziała. - Hatch wróci ze mną, Wally nie musi go odwozić - dodała.

- Dzięki, Billie - zwróciła się do niej Kara.

- Henry i Lillian na pewno się ucieszą.

Billie wyjęła ostatnie pudełko i oparła je na biodrze.

- Widzę, że Charlie naprawił stopnie. Ostatnim razem omal nie skręciłam sobie na nich karku. Chatka... - uśmiechnęła się szeroko. - Trafne określenie. Stonebrook Cottage jest większe od mojego domu.

Hatch skrzywił się na ten komentarz.

- Gdzie Lillian i Henry? Chciałem im przedstawić Wally'ego.

Kara miała serdecznie dość Hacha i jego napszonych manier. Chwyciła jakieś pudełko i wbiegła za Billie do domu.

- Zaraz zawołam dzieciaki, niech zobaczą, co im przywiozłaś. -

Podeszła do podnóża schodów. - Lillian, Henry, zejście do nas. Hatch chce, żebyście kogoś poznali, a Billie przywiozła wam różne fajne rzeczy.

Żadnej odpowiedzi, odgłosu kroków - głucha cisza.

- Pewnie słuchają muzyki i mają na uszach słuchawki.

- Wejść na górę - zaproponowała Billie.

- Zostań, ja pójdę.

Wszedł Sam z ostatnim pudełkiem i spojrzał na wchodzącą po schodach Karę.

Zajrzała do pokoju Henry'ego, do pokoju Lillian, ale dzieci nie było. Może się obraziły i gdzieś ukryły.

- Dzieciaki, gdzie jesteście?

Wyrzała przez okno, ale w ogrodzie też ich nie dostrzegła.

- Nie ma ich nigdzie! - zawołała, stając u szczytu schodów.

Zbiegła po schodach, już nieźle wystraszona, i zderzyła się z Samem, który wychodził z kuchni.

- Tam ich też nie ma - powiedział, kręcąc głową. - Ani w łazience, ani w sypialni. Wszędzie sprawdziłem.

Kara wypadła przez kuchenne drzwi do ogrodu, Sam za nią. Pobiegli do lasu, nad strumień, w to miejsce, gdzie dzieci zwykle „polowały” na żaby, ale i tu ich nie było.

Sam dotknął ramienia Kary.

- Wracajmy, zanim Corrigan zacznie szaleć. Lillian i Henry znają okolicę. Nikt ich nie porwał, tego możemy być pewni.

Kara pomyślała o mężczyźnie w czarnym sedanie i krew jej uderzyła do głowy, ale Sam miał rację. Nikt nie mógł porwać dzieciaków, kiedy on był w domu. Kiedy wrócili, Hatch już toczył pianę z ust.

- Przekłete bachory! Gdzie oni się podzieli? - Zacisnął dłonie i kopnął koło samochodu Wally'ego. - Mam już po dziurki w nosie ich wygłupów. Nic ich nie obchodzi, z nikim się nie liczą, uważają, że są najważniejsi. Jezu!

Wally Harrison, ponury typ o twarzy wskazującej na skłonność do nadużywania alkoholu, wyciągnął pistolet z kabury.

- Nie ma potrzeby, panie Harrison - powiedział Sam spokojnie.

- A ty, kurna, co za jeden...?

- Schowaj broń, Wally - syknął Hatch. - Lepiej odszukajmy Lillian i Henry'ego.

- Nie. - Widząc, że Hatch, tak zawsze opanowany, traci kontrolę nad sytuacją, Kara postanowiła przejąć ster. - Ty i Walter skontaktujecie się z Allyson, a my z Samem poszukamy dzieci. Nie mogły odejść daleko...

- Wally pójdzie z wami.

- Nie - sprzeciwił się Sam stanowczo. - Pan Harrison nie będzie w stanie za nami nadążyć.

Wally prychnął ze wzgardą.

- Kto do cholery...

- Lepiej, żebyście to wy porozmawiali z Allyson. Doradzicie jej, co robić. Lillian i Henry uciekli, bo wiedzieli, że mają dostać ochronę. Może uda się nam ich uspokoić.

Hatch najwyraźniej gotów był ustąpić. Sam umiejętnie zagrał na jego ambicji. Bo przecież to Hatch powinien być przy Allyson w kryzysowej sytuacji. Tak, niech tych dwoje Tekszańców szuka dzieci i trzyma się z dala od jego szefowej. Jeśli nie znajdą uciekinierów, cała wina spadnie na nich.

- Będziemy się kontaktować przez telefon - powiedział, patrząc na Karę, a potem zwrócił się do Wally'ego. - Jedziesz ze mną.

Wally splunął.

- Pan jest tu szefem.

Kiedy odjechali, Billie głośno odetchnęła.

- Idźcie, ja zostanę tutaj, będę czekała. Może się pojawią. -

Uśmiechnęła się niepewnie. - Te dzieciaki muszą być naprawdę wystraszone. Powodzenia - rzuciła jeszcze przez ramię i zniknęła w chacie.

- Domek na drzewie? - zapytał Sam. Kara pokiwała głową.

- Tak myślę.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

- Nie zejdziemy! - krzyczał Henry. - Odejdźcie! Stał w domku na drzewie, a Lillian leżała na brzuchu z brodą wysuniętą poza krawędź platformy. Kara spojrzała w górę i zakreśliło się jej w głowie. Po lewej miała stromą ścianę żwirowiska, na prawo las. Ponad koronami drzew wysoko na niebie przesuwwały się chmury. Miała wrażenie, że to dęby się ruszają i lada chwila runą na ziemię.

- To jest ten człowiek z Teksasu - powiedziała Lillian dobitnie. - Ten, który przyjechał ze stryjem Hatchem. Znów nas śledzi.

Sam rzucił Karze ostre spojrzenie, ale nic nie powiedział.

- Nie ma go tutaj - odpowiedziała Kara i sama usłyszała napięcie w swym głosie. Oddychała ciężko po wspinaczce na szczyt wzgórza. - Pomówię z Hatchem i waszą mamą. Załatwimy tę sprawę raz na zawsze.

- Nie! - zaprotestował Henry. - Oni cię okłamią. Powiedzą, że to nie on i my zmyślamy.

- Nie chcemy, żeby był naszym ochroniarzem! - wrzasnęła Lillian.

- W porządku, nie będzie - zgodziła się Kara.

Bolała ją szyja. Sam położył dłoń na jej plecach i spojrzał na dzieci.

- Zrobimy tak. Kara zadzwoni i odwoła poszukiwania. My wiemy, gdzie jesteście, nikt nie musi się o was martwić. Potem pójdzie do domu babci i dowie się wszystkiego na temat Waltera Harrisona. Nie złamie obietnicy milczenia - Sam zrobił pauzę, ale dzieci nie zareagowały. - A ja zostanę tu z wami - zakończył.

- Nie ma mowy - zaprotestował Henry, kręcąc głową.

- Przykro mi, ale tak właśnie będzie.

Henry był zły, jednak nie protestował dłużej. Lillian poderwała się i usiadła ze stopą wystawioną poza krawędź platformy. Kara wzdrygnęła się na myśl, że dzieci taszczyły tu deski i narzędzia, niemal balansując na krawędzi urwiska.

- Nie będziesz się bała wracać sama? - spytał ją Sam.

- Skądże. To jest Connecticut. Nie ma tu lwów ani tygrysów, niewiele niedźwiedzi i tylko jeden gatunek grzechotnika.

Nawet się nie uśmiechnął.

- Cały czas wiedziałas, że Walter Harrison pojechał za dziećmi do Teksasu.

- Wiedziałam tylko, że ktoś, w ich przekonaniu, je śledził. Nie wiedziałam, czy to prawda, a już z całą pewnością nie miałam pojęcia, że to Wally.

- Można było sprawdzić ich wersję. Jack mógł się tym zająć... - przerwał i westchnął. - Wrócimy do tego później. Dasz sobie radę?

Bała się, ale skinęła głową.

- Wezmę jakiś kij i przypomnę sobie, czego się nauczyłam na kursach samoobrony. Ty zatrzymaj broń. Może ci się przydać, gdybyś musiał pacyfikować tę dwójkę - powiedziała z mocno wymuszonym uśmiechem.

- Karo...

- Potrafię strzelać tylko do tarczy, nie do ludzi - przerwała mu. - Nie mam takiego doświadczenia, jak ty.

- Pani Galway przyznaje się do słabości? - zapytał z przekąsem.

Omal się nie roześmiała.

- Kto mówi, że to słabość?

- Uważaj na siebie.

Dotknął jej ust i zaczął wspinać się po drabince sznurowej.

- Wchodzę do was. Jeśli spróbujecie mnie zrzucić, naprawdę się wkurzę.

Nikt nie zaprotestował, żaden kamień nie walnął go w głowę. Kara ruszyła w dół przez niskie zarośla na krawędzi wyrobiska. Zatrzymała się w połowie wzgórza, by zadzwonić do Hacha.

- Odnaleźliśmy dzieciaki. Wszystko w porządku, będę u was za parę minut - oświadczyła i zawahała się przez chwilę. - Muszę porozmawiać z Allyson.

- Henry i Lillian są z tobą?

- Sam jest z nimi. Słuchaj, nie mogę przedzierać się przez las i gadać przez telefon, bo skrećę kark. Billie została w chacie, zawiadam ją, że dzieci są bezpieczne. Na razie.

Hatch zaczął sarkać, ale Kara rozłączyła się. Stał jej przed oczami rozciągnięty na dnie zwirowiska Pit Jericho i rozejrzała się za jakimś grubym kijem.

Domek na drzewie wytrzymał dodatkowy ciężar, choć nie z powodu perfekcyjnej konstrukcji. Po prostu Henry i Lillian wazyli tyle co nic. Zwinność, z jaką Sam wspiął się po drabince i przeskoczył na platformę, zrobiła na nich wrażenie. Sam siadł ze skrzyżowanymi nogami przy krawędzi od strony urwiska. Lillian przyglądała się mu z namysłem.

- Jesteś Indianinem?

- Czemu pytasz? Bo potrafię łązić po drzewach?

Zachichotała. Po panice sprzed kilku minut nie było ani śladu.

- Zastanawialiśmy się z Henrym. Mam w szkole koleżankę... i jej tata pochodzi z plemienia Narraganset. Ona jest super. Ma na imię Brook. Fajnie, prawda?

- Mój ojciec pochodzi z plemienia Irokezów. Jest malarzem, ale ja go nie znam. Nigdy z nim nie rozmawiałem - wyjaśnił Sam, zaskoczony własną otwartością.

- Ale żyje? - upewnił się Henry.

Stał, opierając się o konar dębu, jakby przepaść wyrobiska nie robiła na nim żadnego wrażenia.

Sam skinął głową.

- Rozstał się z moją mamą, zanim się urodziłem. Przeniósł się do Nowego Meksyku, a mama nigdy mi o nim nie opowiadała.

- Nasz tata umarł - stwierdziła Lillian rzeczowo.

- Ja go nie pamiętam, a Henry tylko trochę.

Jej brat myślał przez chwilę, marszcząc czoło.

- Pamiętam, jak brał mnie na barana i tak ze mną pływał w basenie.
- Wasza mama nie wyszła powtórnie za męża - rzekł Sam obojętnym tonem.

Lillian westchnęła dramatycznie.

- Myślę, że chciałyby wyjść za Pita, ale martwi się o nas.
- Lillian! - jęknął z niesmakiem Henry. - To tajemnica! Mama myśli, że my nie wiemy - dodał z powagą, zwracając się do Sama.

- Nikomu nie powiem, o ile nie będę musiał - zapewnił Sam. - Dzieci zawsze zauważają więcej, niż się wydaje dorosłym. Pewnie nikt nie ma pojęcia, co wiecie o Walterze Harrisonie. Myśleliście, że on jest z Teksasu?

- Nigdy wcześniej nie widzieliśmy go, dopiero jak zaczął nas śledzić na ranchu - wyjaśnił Henry, oglądając zadrapanie na dłoni. - Ja pierwszy go zauważyłem. Nie chciałem wystraszyć Lillian, ale musiałem ją ostrzec.

- Czasem się przebierał - dodała jego siostra.

Sam wyobraził sobie dwoje dzieciaków oplakujących nieżyjącego przyjaciela, wywiezionych na odległe od domu teksańskie rancho.

- Nie powiedzieliście nic opiekunom...

- Kara też nas o to pytała. Nie, baliśmy się.

- Dlatego, że widzieliście stąd, jak topi się gubernator Parisi?

Oboje skinęli w milczeniu głowami.

Sam przypuszczał, że to nie wszystko, Kara zapewne też tak sądziła. Jednak trudno było wydobyć z przestraszonych dzieciaków coś więcej.

- Czy to na pewno był Walter Harrison?

- Tak! To jego widzieliśmy! - stwierdziła Lillian tonem jednocześnie obronnym, podekscytowanym i stanowczym. - Zaparkował samochód

przed domem sąsiada cioci Kary. Widzieliśmy, jak wysiadł. Palił papierosa.

- To ten sam facet - rzekł spokojnie Henry.

- O której to mogło być, wtedy u Kary? Henry rzucił mu wyniosłe spojrzenie.

- Wyjrzelśmy przez okno, kiedy przyszedłeś, i wtedy go zobaczyliśmy. Ja nie chciałem nic mówić, ale Lillian po twoim wyjściu zawołała ciocię Karę.

- Kara go też widziała?

- Tylko jego samochód. Odjechał stamtąd niedługo potem.

Sam był tam, na ganku Kary, kiedy dwójka jej śmiertelnie przerażonych chrześniaków zauważyła - kilka metrów od jego samochodu! - człowieka, który ich śledził na ranczu. Gdyby dowiedział się o tym tamtej nocy, mógłby natychmiast podjąć działanie.

Ale dzieci wtajemniczyły Karę już po jego odjeździe, więc była usprawiedliwiona. Kiedy wystraszeni uciekinierzy pokazali jej stojący przed domem samochód, przewiozła ich ukradkiem do Dunningów, a stamtąd przez San Antonio i Boston do Bluefield. Gdyby Sam był na jej miejscu, postąpiłby zupełnie inaczej.

Wyciągnął telefon komórkowy.

- Spróbuję zadzwonić do Jacka Galwaya, brata Kary. On też jest Strażnikiem Teksasu.

- Wiemy - powiedziała Lillian. - Poznaliśmy go kiedyś, dawno temu.

Sam wybrał numer Jacka w San Antonio, zastanawiając się jednocześnie, co to znaczy „dawno temu” dla jedenastoletniej dziewczynki.

- Co się dzieje? - spytał Jack.

- Chodzi o byłego policjanta z Bluefield w Connecticut, Waltera Harrisona. Sprawdź, czy był w Teksasie mniej więcej tydzień temu. Mógł przylecieć do Austin, może do San Antonio. Zatrzymał się prawdopodobnie gdzieś w pobliżu letniska dla dzieci.

- Skąd dzwonisz? - zapytał Jack po chwili milczenia.

- To... Mniej szał z tym. Harrison prawdopodobnie wynajął samochód.

- To wszystko?

- Na razie wszystko. Odezwę się, gdy będę miał coś więcej.

- A co z moją siostrą?

- Powiedziałem już twojej teściowej: Kara sama wkłada głowę do paszczy lwa. Wygląda na to, że lubi działać w ten sposób. Robię, co mogę.

- Przylatuję jutro pierwszym samolotem - oświadczył Galway i rozłączył się, zanim Sam zdążył zaprotestować.

Wyciągnął nogi wzdłuż krawędzi platformy.

- Ładny stąd widok. Macie tylko jedną, wspólną lornetkę?

- Ja miałam swoją, ale zgubiłam ją i już nie znalazłam - wyjaśniła Lillian.

- Szkoda...

Dziewczynka zamyśliła się przez chwilę.

- Wielki Mike uczył nas rozpoznawać bławatniki. Wiesz coś o nich?

- Uczę się coraz więcej o tych ptaszkach.

- Mike mówił, że one żywią się larwami mącznika. Ohyda - skrzywiła się.

- Chciał, żeby babcia karmiła okoliczne bławatniki larwami, ale nie zgodziła się - dodał równie zniesmaczony Henry.

- Na jej ziemi są bławatniki?

- Aha - przytaknęła żywo Lillian. - Wielki Mike namówił ją, by rozwiesiła domki dla ptaków i para bławatników założyła gniazdo. Wiosną miały pisklęta. Fajnie było je obserwować.

Westchnęła.

- Babcia niezbyt się tym interesuje.

- Założę się, że wasz przyjaciel, gubernator Parisi, uwielbiał bławatniki.

- Och, tak! - potwierdziła z promiennym uśmiechem Lillian, lecz po chwili w jej oczach zalśniły łzy. - Bardzo za nim tęsknię.

- Wiem - powiedział łagodnie Sam.

Dzieci zamilkły. Sam uznał, że nie musi wyciągać z nich jasnego potwierdzenia tego, co już wiedział. Henry i Lillian Stockwell widzieli z domku na drzewie, jak ich przyjaciel walczy o życie.

- Po wypadku z fajerwerkami to, co się stało tutaj, musiało być przerażające - powiedział spokojnym tonem. - Widzieliście jeszcze kogoś, prawda? Poza gubernatorem Parisim i ludźmi, którzy go wyciągnęli z basenu.

Zaskoczona Lillian westchnęła gwałtownie.

- Skąd wiesz?

Jej brat kucnął przy niej i stuknął ją w ramię.

- Zamknij się, Lillian! Nic nie mów.

Sam spoglądał w przepaść wyrobiska. Pomyślał, że dzieci nie mówiły nikomu o swym domku na drzewie, ponieważ miejsce było niebezpieczne i nikt z dorosłych nie zaakceptowałby ich pomysłu.

- Nie powiedzieliście nikomu o tym, co widzieliście. Nawet cioci Karze. To musi być dla was bardzo trudne. Chciałbym wam pomóc. Nie

znam nikogo stąd poza wami, więc mogę być bezstronny, na pewno nie wyciągnę pochopnych wniosków.

Patrzył cały czas w dół. Nie chciał ich peszyć, chciał jedynie usłyszeć, co widzieli tamtego dnia.

- Powinniśmy mu powiedzieć - szepnęła Lillian do brata.

- On nie jest prawnikiem - odpowiedział Henry. - Ciocia Kara mówiła, że poza Teksasem nie wolno mu nikogo aresztować, ale powie policji...

- A jeśli się mylimy? Może stryjek Hatch...

- Lillian!

Mała rozplakała się, Henry też był bliski płaczu.

- Hej, dzieciaki. Spokojnie - powiedział Sam łagodnie. - Zostawiłem imadło w Teksasie. Nie będę wam wyłamywał i miażdżył palców.

Lillian otarła łzy i próbowała się uśmiechnąć.

- Nie wiem, co to jest imadło do wyłamywania palców.

Sam roześmiał się.

- Ja też nie wiem. Posłuchajcie, nie musicie mi niczego opowiadać. Możemy tu po prostu posiedzieć i zaczekać, aż Kara zadzwoni czy przyjdzie po nas. Albo powiedzcie, dokąd chcielibyście pójść i pójdziemy tam razem.

Henry siedział tyłem do Sama, ze stopą wywieszoną poza platformę. Pociągnął nosem i zadarł wysoko nogę, opierając ją o cienką gałązkę.

- Stryjek Hatch kłócił się z Wielkim Mikiem. Widziałem ich przez lornetkę. Nie bili się, ale obaj wyglądali na wściekłych. To było przy basenie.

- Ja też ich widziałam - potwierdziła cicho Lillian.

- Często się kłócili?

- Cały czas, ale nie aż tak - powiedział Henry. - Stryjek Hatch walnął Mike'a w pierś. Myślałem, że przyjdzie ktoś z ochrony i przepędzi stryjka, ale nikt się nie pojawił.

- Mike mu nie oddał?

Henry pokręcił przecząco głową. Lillian utkwiała w twarzy Sama swoje duże, błękitne oczy. Na bladej buzi łyzy pomieszane z kurzem zostawiły brudne smugi.

- Potem stryjek Hatch odszedł. Widziałam, że cały czas był wściekły.

- Nas to rozbawiło - przyznał Henry.

- Bo ich podglądaliście?

- Tak.

- Ile czasu upłynęło do chwili, gdy zobaczyliście gubernatora w basenie?

- Nie wiem. Jedliśmy kanapki, kiedy usłyszałem na dole jakieś szmery i sięgnąłem po lornetkę. Pomyślałem, że to jeleni.

- To było, zanim spostrzeżliście Wielkiego Mike'a w wodzie?
Henry skinął głową.

- Zobaczyłem go chwilę później. Nie widziałem, jak wpadł do basenu, bo cały czas rozglądałem się za jeleniem.

- Henry wrzasnął - ciągnęła jego siostra - i przestraszył mnie okropnie, ale wzięłam swoją lornetkę i... i zobaczyłam... - urwała.

Sam starł łzę z jej buzi.

- W porządku, maleńka. Popłacz sobie.

- Mama nie lubi, kiedy płaczemy - powiedział oschle Henry. - Mówi, że jej też od razu chce się płakać.

- Mówiła wam, że nie wolno płakać, czy tylko tak wam się wydaje?

Henry odwrócił twarz ku Samowi. Jemu także po policzkach spływały łzy.

- Ja to wiem - powiedział. Sam pokiwał głową.

- Kiedy zobaczyliście Parisiego w basenie, zeszliście z drzewa i pobiegliście tam?

- Nie mieliśmy ze sobą komórek - wyjaśniła

Lillian, jakby wszystkie dzieci miały zwyczaj zabierać telefony do swoich domków na drzewie. - Nie mogliśmy zadzwonić pod 911, więc pobiegliśmy zobaczyć, co się dzieje.

- Kiedy wreszcie dotarliśmy, koło basenu była już ochrona - rzekł Henry.

Wyrzucił w górę ręce, chwycił grubą gałąź, podciągnął się bez wysiłku i stanął na nogi. Wylał łzy brzegiem koszulki. Miał podpuchnięte oczy, ale już był spokojniejszy.

- Nie widzieli nas, bo zostaliśmy w lesie - wyjaśnił rzeczowo.

- Było okropnie gorąco. I mnóstwo komarów - dodała Lillian.

Sam podciągnął kolano do piersi. Wyobraził sobie tę dwójkę dzieciaków tamtego upalnego dnia.

- No i zdecydowaliście wynieść się stamtąd. Nie widzieliście, jak wpadł do wody. Ochrona już się wszystkim zajęła, a wy nie mogliście zrobić nic więcej.

- Nie chcieliśmy przeszkadzać - powiedziała Lillian.

- Ani rozmawiać z policją. Nie chcieliście, żeby tu przyszli i odkryli wasz domek. Obawialiście się kłopotów.

Przerwał na chwilę i oparł się o gruby konar.

- Rozumiem, jak się czuliście. A co się działo, kiedy wracaliście do domu?

Lillian zamrugnęła gwałtownie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- To nie był wypadek - szepnęła w końcu. - To, co się stało z Wielkim Mikiem... to nie był wypadek. Ktoś musiał go popchnąć. Ktoś był w lesie, to nie jeleni tak hałasował.

Mój Boże! - pomyślał Sam. Zrozumiał to, co Kara jedynie przeczuwała. Dzieci były przerażone, bo niemal stanęły oko w oko z mordercą.

- Słyszeliśmy szelest liści. To mógł być jeleni - zaproponował Henry. Jednak jego siostra miała inne zdanie.

- A moja lornetka? Ukradli moją lornetkę!

- Po co komu twoja stara lornetka? Daj spokój, Lillian. Ciocia Kara zawsze powtarza, że trzeba badać fakty bez wyciągania pochopnych wniosków. Prawda? - zwrócił się do Sama, oczekując jego aprobaty.

- Szukaliście tej lornetki? - spytał Sam, unikając odpowiedzi. Henry przewrócił oczami.

- Szukaliśmy wszędzie! Lillian cały czas marudziła: „Moja lornetka, moja lornetka!” - przedrzeźniał jęczącą siostrę. - Uff... W końcu powiedziałem jej, żeby dała spokój.

Lillian pokazała mu język, na co zrobił taką minę, jakby zamierzał ją kopnąć.

- To musiały być dla was obojga ciężkie chwile - podsumował dyplomatycznie Sam. - Kara zrobiłaby dla was wszystko. Cieszyliście się chyba, że wyjedziecie stąd po pogrzebie i polecicie z nią do Teksasu? Na początku podobało wam się na ranczu, prawda?

Skinęli głowami.

- Najfajniejsze były konie - powiedział Henry. - Niektóre dzieciaki przedrzeźniały mój sposób mówienia, ale przecież ja mówię poprawnie, bez akcentu.

- Zaprzyjaźniłam się z dziewczynką z El Paso. To w zachodnim Teksasie - wyjaśniła z powagą Lillian.

- A więc przez mniej więcej tydzień było dobrze? A potem zauważyliście tego faceta, Waltera Harrisona, i nie wiedzieliście, co z tym począć.

Sam przerwał, ale dzieci milczały.

- Postanowiliście uciec do cioci Kary, żeby ratowała was z opresji. Wiedzieliście, że wam pomoże. Jest waszą matką chrzestną, kocha was, no i jest prawniczką.

Oboje zgodnie kiwnęli głowami.

- Ale nie opowiedzieliście jej o kłótni stryja z gubernatorem.

Henry przełknął ślinę.

- Ona i stryjek Hatch... - urwał.

- On ją lubi, ale ona jego nie - uzupełniła jego siostra.

Sam pokiwał ze zrozumieniem głową.

Dzieci nie były do końca pewne bezstronności Kary. Podzielenie się z nią podejrzeniami co do przyczyny śmierci Wielkiego Mike'a wydawało się im zapewne nieco ryzykowne. W tej sytuacji Kara miała prawo nie wiedzieć, w co wierzyć.

- Nie zmienicie tego, co się stało. Fakty są faktami - stwierdził. - Jeśli to był wypadek, gubernator miał pecha. Jeśli ktoś zabił Parisiego, to było morderstwo. Nie mieliście i nie macie na to wpływu.

- Ja wołałabym, żeby on w ogóle nie zginął - powiedziała Lillian.

- Dobrze to rozumiem. Myślę, że Michael Parisi był szczęściarzem, mając dwójkę takich oddanych i odczuwających jego brak przyjaciół. A co do waszego stryja, to poważna sprawa. Myślicie, że to on zabił gubernatora?

- Nie! - krzyknęli oboje ze zgrozą.

- A więc nie powiedzieliście nikomu o tej kłótni, bo sądziliście, że mógłby mieć kłopoty. No cóż, niech sam się o siebie martwi. To bystry facet.

Ograniczona powierzchnia domku i siedzenie na twardych deskach zmęczyły Sama.

- Powiem wam, co ja o tym wszystkim myślę. Boicie się, że ktoś był wtedy w lesie i widział was. Dlatego tak się wystraszyliście, kiedy zauważyliście tego dziwnego faceta na lotnisku. Byliście przekonani, że to musi być morderca albo ktoś działający na jego zlecenie.

- Wyciągnęliśmy pochopne wnioski? - cicho spytała Lillian.

- Owszem, ale zaufaliście też instynktowi. To dobrze, on często pomaga uniknąć niebezpieczeństwa. Powiem wam coś jeszcze. Mnie również nie podoba się ten Harrison, i też wyciągnąłem kilka pochopnych wniosków na jego temat.

Puścił do dzieci oko. Widział wyraźnie, że wyjawienie tajemnicy przyniosło im dużą ulgę.

- No dobra, może rozejrzemy się razem za lornetką Lillian? Powinniśmy się chyba upewnić, czy nie leży gdzieś pod kupą liści albo za jakimś kamieniem.

Propozycja ich nie zachwycała, ale nie zaprotestowali. Sam też złożył ją bez specjalnego entuzjazmu, ale przynajmniej mogli wreszcie zejść z tego cholernego drzewa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Czy to z racji stanowczości Sama Temple'a, czy też w obliczu szokujących sekretów Henry'ego i Lillian, a może z obu tych powodów jednocześnie - Kara nie była pewna - nikt nie przerywał jego relacji, wygłaszanej przy pełnej akceptacji dzieci, wtrącających jedynie czasami jakieś uwagi.

Zebrali się wszyscy na patio: Hatch, Allyson, Madeleine, Sam i dzieci. Dwóch czujnych ochroniarzy stało koło basenu. Billie wyciągnęła Wally'ego Harrisona do kuchni. Kara wcześniej wydobyła z Hacha potwierdzenie, że to on w tajemnicy zatrudnił byłego policjanta, by w Teksasie miał oko na dzieciaki. Hatch był zaskoczony niefachowością Wally'ego. Sam dowiedział się o tym od Kary przez telefon, gdy wracał z dziećmi do domu Stockwellów.

Allyson siedziała nieruchomo z uniesioną lekko głową. Słuchała w skupieniu, a w jej oczach błyszczały łzy. Dzieci przyglądały się matce uważnie, niepewne, jak zareaguje na to, co zrobiły. Kara nie była zachwycona reakcją przyjaciółki, próbującej bez widocznego powodzenia zachować spokój. Allyson Lourdes Stockwell sprawiała wrażenie wyczerpanej, przerażonej, jakby pragnęła uciec i schować się w mysiej dziurze.

Kiedy Sam skończył, zapadła cisza. Spojrzał na Karę, potem na jej blade chrześniaki. Jego twarz była pozbawiona wyrazu.

- Zostawię was teraz, żebyście mogli przeanalizować to, co usłyszeliście. Będę przy basenie, gdyby ktoś miał jakieś pytania.

Henry i Lillian pobiegli za nim i chwycili go za ręce.

- Szczerze mówiąc, jestem zdumiony. Niesłychane, jak łatwo sytuacja wymknęła nam się spod kontroli - wysyczał z niesmakiem Hatch, kiedy Sam oddalił się z dziećmi. - To absurdalne. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bujną wyobraźnię ma ta dwójka.

- Ja nie wiedziałam, że pokłóciłeś się z Mikiem - powiedziała cicho Allyson, spoglądając na niego chłodno.

Hatch parsknął.

- Zawsze się sprzeczaaliśmy. Policja wie o mojej wizycie. Jego ochrona widziała, jak wchodziłem i wychodziłem. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym tego zataić. Bez wątpienia byłem ostatnią osobą, która widziała go żywego. Owszem, stoczyliśmy burzliwą kłótnię. - Przerwał na chwilę i pokręcił głową. - Nie przeszło mi przez myśl, by składać wyjaśnienia Henry'emu i Lillian - dodał kwaśno.

- To nic nie znaczyło. Wyszedłem w przekonaniu, że wszystko, jak zwykle, rozejdzie się po kościach i wieczorem będziemy obaj wznosić toasty, wychwalając wzajemnie swą błyskotliwość.

Ze swego miejsca przy okrągłym stole Kara miała dobry widok na basen. Sam towarzyszył dzieciakom kręcącym się między leżakami. Kiedy zobaczyła, jak jej chrześniaki Igna do niego po trudnej rozmowie w domku na drzewie, ogarnęły ją tak zwane sprzeczne uczucia.

- O co się pokłóciliście? - spytała Allyson.

- To chyba teraz najmniej ważne? - zauważyła Madeleine, poruszywszy się na krześle.

Hatch machnął ręką.

- Nawet już dobrze nie pamiętam. Aha, chyba wiem. Polityczne bzdury. Wrzeszczeliśmy na siebie, ja pchnąłem Mike'a, Mike mnie, a wszystko z powodu jakichś głupstw.

Allyson, w widoczny sposób wyczerpana, nie dopytywała się o szczegóły. Kara dostrzegła napięcie w twarzy przyjaciółki.

- Dlaczego wynajęłaś Waltera za moimi plecami?

- Allyson, to nie jest właściwe sformułowanie. Nie miałem zamiaru robić czegokolwiek za twymi plecami - zaprotestował z wyczuwalnym rozżaleniem Hatch, nie uchylając się jednak od odpowiedzi.

- Najpierw ta sprawa z fajerwerkami, potem śmierć Mike'a... Byłem tym wszystkim poruszony i poważnie zaniepokojony. Mama wspomniała, że martwi się o wnuki, więc postanowiłem coś zrobić.

- Nie mieszaj mnie do tego - powiedziała ostro Madeleine. - To ty zdecydowałaś, żeby wynająć Wally'ego. Nie ja.

Kara zauważyła, że Sam nie wspomniał o czarnym samochodzie parkującym przed jej domem. Jeżeli rzeczywiście to Wally Harrison śledził Lillian i Henry'ego, musiał wiedzieć, dokąd uciekły. Dlaczego nikomu o tym nie powiedział? A może mówił?

Na twarzy Allyson malował się ból. Zaciśnęła mocno powieki, a gdy po chwili otworzyła oczy, wydawała się bardziej opanowana, nawet uśmiechnęła się lekko.

- W każdym razie zachowanie dzieci było sensowne z ich punktu widzenia. Teraz, kiedy wiem, co się dzieje, szybko rozwiążę ich problemy.

- Wally miał ich pilnować dyskretnie, z daleka, a nie kręcić się nieustannie po lotnisku i straszyć je - tłumaczył Hatch. - Allyson, gdybym wiedział...

- Hatch, co się stało, to się nie odstanie - przerwała mu.

Sam siedział na leżaku przy płytkim krańcu basenu. Kara przyglądała się, jak dzieci ochlapują go wodą. Musiał im pogrozić, bo odskoczyły ze śmiechem i piskiem na bezpieczną odległość.

- Rzecz jasna nie miałem pojęcia o ich domku na drzewie i fantastycznym scenariuszu, który wyprodukowała ich wybujała wyobraźnia - ciągnął Hatch.

- Kto wie, co tak naprawdę widziały?

Madeleine pokręciła głową.

- Charlie Jericho zajrzał tu dziś rano i poinformował mnie o domku na drzewie. Przyszedł wcześniej, zanim dowiedzieliśmy się, że Henry i Lillian znowu zniknęli - powiedziała i westchnęła.

- Charliemu podobało się, że moje wnuki zbudowały go po kryjomu, ale powiedział też, że nie życzy sobie żadnych domków na swoim gruncie, na samym skraju urwiska i nie chce ponosić odpowiedzialności, gdyby doszło do wypadku. Chyba uważa mnie za piniaczkę. Mnie! W życiu nie pozwalałam nikogo do sądu! On myśli, że Pit spadł, kiedy poszedł rozebrać domek.

- Jak się czuje Pit? - spytała Kara.

Dłonie Allyson zadrżały lekko, ale poza Karą nikt tego nie dostrzegł.

- Dziś rano wypuścili go ze szpitala - poinformowała Madeleine. - Jest wyraźnie rozdrażniony i narzeka na ziołowe herbatki, którymi poi go Bea. Robi je chyba z ziół zebranych w swoim ogródku

- wyjaśniła i uśmiechnęła się lekko. - Charlie mówi, że teraz, kiedy Pit jest przykuty do łóżka, Bea ma zamiar przyprzeć go do muru w sprawie hodowli kóz, jakby to było w tej chwili najważniejsze. Sądzę, że po prostu lubi się z nim droczyć.

- Koniec z ochroniarzami - oświadczyła zdecydowanie Allyson, wstając z fotela. - Ta sprawa z Harrisonem utwierdza mnie w przekonaniu, że Henry i Lillian powinni żyć na tyle normalnie, na ile to tylko możliwe. Gdyby istniało jakieś konkretne zagrożenie... - urwała, przeczesując

palcami włosy i spoglądając w stronę basenu. - Jestem pewna, że te odgłosy w lesie i zaginiona lornetka znajdą całkiem zwyczajnie wytłumaczenie.

- Allyson, policja... - zaczął Hatch.

- Henry i Lillian będą dziś nocować ze mną w stodole - przerwała mu i zwróciła się do Kary z uprzejmym, oficjalnym uśmiechem. - Byliście wspaniali, ty i Sam. Nie wiem, jak wam dziękować.

Pani gubernator opuściła taras i ruszyła wraz z podążającymi za nią dwoma ochroniarzami w stronę stodoły, nie rzucając nawet przelotnego spojrzenia na dzieci.

Kara wiedziała dlaczego. Po szybkim, acz niepewnym kroku, po uniesionej ku twarzy dłoni rozpoznała, że Allyson płacze i nie chce, by ktokolwiek to widział.

Sam stanął na brzegu basenu, uniósł jedną ręką Lillian, drugą Henry'ego i z rozmachem cisnął oboje do wody. Zanurzyli się na moment cali, a gdy wypłynęli na powierzchnię, ze śmiechem i krzykiem, ochlapali go bezlitośnie.

- Mój mąż tak samo wrzucał do basenu Lawrence'a - powiedziała cicho Madeleine, podnosząc się chwiejnie z fotela. - Lawrence nigdy nie miał dość. Krzyczał: „Jeszcze, jeszcze raz, tato!”. Mój Boże, że też musiałam przeżyć męża i syna.

Nie kryjąc emocji, uśmiechnęła się przez łzy i znenacka uścisnęła Karę.

- Dziękuję ci za opiekę nad moimi wnukami. Allyson dojdzie do siebie. Nie może winić cię o to, że dzieci tak bezgranicznie ci ufają.

Hatch podniósł się, głośno szurając krzesłem o kamienną posadzkę i bez słowa wszedł do domu. Madeleine popatrzyła za nim.

- Jemu się zdaje, że jest w tobie zakochany, ale to nieprawda. On zupełnie nie zna siebie. Skąd miałby wiedzieć, kogo kocha? Nie powinnaś mu współczuć, to dla niego wygodne. Wybrał ciebie, bo wie, że nie może cię mieć.

Kara nie zdążyła zastanowić się nad odpowiedzią, bo Madeleine uśmiechnęła się i zakończyła rozmowę.

- Idź do swojego Teksańczyka - powiedziała i ruszyła w stronę domu, wołając coś do Billie na temat planowanego przyjęcia.

Kiedy Kara została sama, podeszła do „swojego Teksańczyka”. Spodnie Sama poniżej kolan były kompletnie mokre, a w jego ciemnych włosach skrzyły się krople wody. Musiała zmęczyć go zabawa z dziećmi, bo miał przyspieszony oddech.

- Wrzucić cię tam razem z nimi? - spytała Kara, śmiejąc się.

- To mogłoby być zabawne - odpowiedział z błyskiem w oczach.

Ale Kara spojrzała w stronę oddalającej się szybkim krokiem Allyson i idących za nią ochroniarzy.

- Myślę, że możemy już wracać do domu.

- Nie ma mowy - zaprotestował, a z jego twarzy zniknęła wesołość. - Twoja przyjaciółka, pani gubernator, trzyma się ostatkiem sił. Zostanę tu, póki nie upewnię się, że nic nie zagraża dzieciakom.

- Sam...

Odchylił lekko głowę, przymknął oczy.

- Chcesz wracać do Teksasu?

- Nieważne, czego ja chcę. Allyson ma do dyspozycji całe biuro ochrony rządu.

- Wypytaj ją o Pita.

Kara skinęła głową i przypomniała sobie, jak Allyson zadrżały dłonie, gdy padło jego imię.

- Miałam taki zamiar.

Lillian wygramoliła się z basenu za plecami Sama. Mokre ubranie przylegało do jej ciała, ociekała wodą. Oburącz ścisnęła plastikowe wiaderko plażowe. Henry, przyczajony za siostrą, przycisnął palec do ust, błagając Karę, by ich nie wydała. Kara była pewna, że Sam widzi cienie Lillian i Henry'ego i czuje ich obecność za plecami, ale nie zareagował, by nie psuć im zabawy. Oblali go od pasa w dół, byli zbyt niscy, by sięgnąć wyżej. Udał zaskoczenie, ryknął głośno i w sekundę później mali Stockwellowie znaleźli się z powrotem w basenie.

Henry i Lillian drzemali w hamakach w cieniu stodoły pod czujnym okiem Sama Temple'a i Kary Galway, siedzących na trawie i popijających mrożoną herbatę. Oboje z pewnością zastanawiali się, czemu Allyson nie pojawia się na zewnątrz.

Tymczasem pani gubernator chodziła nerwowo po domu, układając w głowie tekst rezygnacji ze stanowiska.

Nie wyobrażała sobie powrotu do swych obowiązków, teraz, kiedy jej dzieci były w takim stanie, kiedy nie miała koło siebie Pita. Dlaczego w ogóle uległa namowom Wielkiego Mike'a i kandydowała na urząd wicegubernatora?

Chciałaś tego. Wierzyłaś, że twoja kandydatura ma istotne znaczenie, przypominała sobie.

Położyła się na kanapie. Za dużymi oknami rozciągały się pola, ukwiecone łąki i zamglone niebo, ale ona utkwiała spojrzenie w stojącym na fortepianie ulubionym zdjęciu Lawrence'a. Było zrobione w Stonebrook

Cottage. Lawrence roześmiany... Oboje byli przekonani, że czeka ich wiele wspólnych lat, ale rak już podstępnie toczył jego ciało. Teraz miała trzydzieści siedem lat i była gubernatorem stanu. Próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat, ale nie potrafiła.

Henry i Lillian... Lawrence byłby z nich dumny. Z tego, że potrafili zbudować domek na drzewie. Z tego, jak pędzili przez las na ratunek Wielkiemu Mike'owi.

Niedługo zjawi się Kara; zapowiedziała, że przyjdzie posłać dzieciom łóżka. To pretekst. Było jeszcze wcześniej. Kara na pewno chce z nią porozmawiać w cztery oczy.

Dwukrotnie tego popołudnia Allyson podchodziła do drzwi, by wezwać ochronę i powiedzieć o anonimowych telefonach. Ale cóż oni mogli zrobić? To musiał być ktoś z jej bliskiego otoczenia. Nawet przy całodobowej czujności nikt nie mógł zapewnić całkowitego bezpieczeństwa jej i dzieciom.

Musiała zwabić tego łajdaka w pułapkę i jak najszybciej odkryć jego tożsamość. Gdybyż tylko potrafiła zebrać myśli! Jej dręczyciel od wczoraj milczał. Zaczynała wątpić, czy ten człowiek jeszcze zadzwoni.

Jeśli drań zamilknie na dobre, nigdy nie uda jej się poznać prawdy. A może zwlekał, czekając na sposobniejszą okazję? Jak długo można żyć w niepewności i lęku? Podejrzewać wszystkich dookoła i nikomu nie ufać.

Być może rezygnacja ze stanowiska rozwiązałaby problem, definitywnie położyła kres telefonom?

O ile ten ktoś chciał właśnie tego. Ale nawet wówczas mogło to oznaczać dopiero początek kłopotów.

Nie ma innego sposobu, musi odkryć, kto ją nęka, i powstrzymać go. Jego lub ją...

Kiedy zadzwonił telefon komórkowy, Allyson zerwała się i chwyciła go nieomal z ulgą.

- Słucham?

- Chciałabyś dziś pogadać, prawda?

Głos był bezosobowy, ani męski, ani kobiecy. Nie miała pojęcia, kto to może być. Ani ton, ani język nie dawały żadnej wskazówki. Usiadła, zaciskając dłoń na aparacie, by go nie upuścić.

- Gramy w tę grę wystarczająco długo - powiedziała. - Chcę wiedzieć, o co chodzi. O pieniądze? O moją rezygnację? A może to tylko zabawa?

Nagle poczuła się dużo pewniej i spokojniej.

- Nie obchodzi mnie, czy ludzie dowiedzą się o mnie i o Picie. Bardzo proszę, możesz to rozpowiedzieć.

- To nie będzie takie proste, wiesz o tym. Ludzie pomyślą, że zabiłaś Wielkiego Mike'a. Nie wygłupiaj się, cokolwiek zrobisz, potrafię dobrać ci się do skóry. Tobie i twoim dzieciom.

W słuchawce rozległ się krótki śmiech, prawie rechot. Allyson zerwała się na równe nogi.

- Nawet nie myśl, że zbliżysz się do moich dzieci, słyszysz!

Przysięgam...

- Pit Jericho miał wczoraj fatalny dzień, prawda? - przerwał jej głos.

Allyson oddychała z trudem, ale starała się nie okazywać paniki.

- Zepchnąłeś go?

- Pani gubernator, zadzwonię rano. Dziś pani jest zbyt rozdrażniona.

- Chwileczkę...

Połączenie zostało przerwane. Koniec rozmowy.

Opadła na kanapę. Nagle zapragnęła zobaczyć się z Pitem, zwierzyć mu się ze swoich kłopotów. Potrzebowała jego zdrowego rozsądku. Jego uczciwa, bezstronna opinia pomogłaby jej podjąć decyzje, a jego wsparcie ułatwiłoby wprowadzenie ich w czyn. Stałby twardo przy niej w najtrudniejszych chwilach, nie pozwoliłby jej na popadanie w rozpacz i histerię.

Jak mogła dopuścić do takiego bałaganu? Sądziła, że kieruje się rozsądkiem, działa mądrze, z rozwagą. Tymczasem siedziała tu teraz przerażona, że popełni jakiś fałszywy ruch i Henry i Lillian ucierpią z tego powodu. Była jak sparaliżowana.

Kobieta z ochrony wpuściła do środka Karę i wycofała się bez słowa.

- Przyszłam posłać łóżka - oznajmiła Kara z uśmiechem. - Nie ma nic przyjemniejszego.

- Och, Karo, nie kpij sobie. Przyszłaś tu, żeby mnie przesłuchać.

Allyson roześmiała się, by złagodzić wydźwięk tych słów. Powinna zapomnieć chociaż na chwilę o swoich lękach. Miała czas do rana, by zastanowić się nad planem działania. Wiedziała jedno - sama sobie nie poradzi. Musiała wreszcie komuś zaufać, bo jej dzieciom groziło niebezpieczeństwo.

- Chodźmy na górę i odgrywajmy zwykłe mamuśki - powiedziała. - Myślisz, że któryś z gubernatorów oprócz mnie ściele łóżka?

- Nie mam pojęcia, czy wyręczają takie duże dzieci. Jedenaście, dwanaście lat to poważny wiek, w którym człowiek powinien radzić sobie ze ślaniem łóżka.

Allyson roześmiała się.

- Karo, jesteś okropnie zasadnicza.

Weszły po kręconych schodach na poddasze. W wąskiej przestrzeni pod skośnym drewnianym dachem stały dwa łóżka. Allyson pomyślała, jak wielokrotnie podczas ostatniego dziesięciolecia, że Lawrence został okrutnie oszukany przez los. Nigdy nie zobaczył dzieci tulących we śnie pluszowe zwierzątka, nigdy nie słyszał, jak toczą bitwy na poduszki, jak wzywają matkę, kiedy jedno z nich źle się poczuje.

I chyba właśnie dlatego ukrywała swój związek z Pitem, utrzymywała go w tajemnicy nawet przed dziećmi. Nie chciała zapomnieć, jak wiele znaczył dla niej mąż, nie chciała rozstać się z bólem i tęsknotą, z tym poczuciem osamotnienia. Dzięki temu miała wrażenie, że w pewnym sensie Lawrence cały czas jest obok niej, a może i obok dzieci, które prawie go nie pamiętały. Czy była mu winna aż tak wiele?

- Allyson, chciałam z tobą porozmawiać w cztery oczy - powiedziała Kara, siadając na brzegu łóżka. - Jestem niemal pewna, że Henry i Lillian wiedzą o tobie i Picie, a przynajmniej coś podejrzewają. Owszem, to nie moja sprawa i w normalnych okolicznościach nie wtrącałabym się...

- Do diabła, one wiedzą? Ty też wiesz? I Sam?

Allyson odwróciła się ku przyjaciółce i oparła o komodę. Kara skinęła głową.

- Przypuszczają, byłoby właściwszym określeniem. To nie tak, że dzieci cię szpiegują...

- Boże, mam nadzieję, że nie - powiedziała drwiącym tonem Allyson, lecz nie zabrzmiało to zabawnie. - Zastanawiam się, czy powinnaś mi o tym mówić, biorąc pod uwagę obowiązek zachowania tajemnicy zawodowej.

Gorycz i drwina szybko ulotniły się z jej głosu.

- Przepraszam. Nie zasłużyłaś na uszczypliwości. Jestem ci ogromnie wdzięczna za wszystko, co zrobiłaś i zdaję sobie sprawę, jakie to musiało być trudne - dodała szybko.

- Moim pierwszym odruchem było zadzwonić i powiedzieć ci, co się dzieje.

- W porządku, Karo. Mój Boże, nie wiem, czy zniosłabym jeszcze jedną niespodziankę. Gdyby zbliżał się do Connecticut huragan, potrafiłabym znakomicie pełnić obowiązki gubernatora, ale kiedy chodzi o dzieci, tracę głowę.

Kara zachowała spokój. Opanowanie było jedną z cech, które Allyson najbardziej ceniła w przyjaciółce. Kara zawsze potrafiła rozpatrywać sto różnych planów jednocześnie, analizować dogłębnie ich konsekwencje i słabe punkty, odrzucać je po kolei, by w efekcie rozpoznać ten najlepszy. Allyson nigdy nie miała tak przenikliwego, twórczego umysłu. Strategia nie była jej najmocniejszą stroną. Pociągała ją służba publiczna, ale nie czuła się politykiem. Pomyślała, że Kara znakomicie sprawdziłaby się w polityce. Uśmiechnęła się i poczuła, jak powoli opuszcza ją zdenerwowanie. Wyciągnęła z komody pościel i koce.

- Nasz związek z Pitem jest skazany na porażkę. Chyba wiedzieliśmy to od samego początku.

- Żartujesz? Pit wcale tak nie myśli. On jest optymistą.

- Raczej niepoprawnym romantykiem. Wiedzieć i akceptować to dwie różne rzeczy. On zdaje sobie sprawę z sytuacji, ale nie chce się pogodzić z faktami.

Allyson obróciła się i położyła stertę pościeli na materacu.

- On stale ma nadzieję, że się pobierzemy i będziemy mieli kilkoro dzieci - dodała.

- Czemu nie? Masz dopiero trzydzieści siedem lat. Choć mogę zrozumieć, że po tym, co twoje potwory wyczyniały w tym tygodniu, myśl o kolejnych dzieciach nieco cię przeraża...

Allyson jęknęła bezradnie.

- Karo, co one myślą?

- One nie myślą, jak to nastolatki. Nie mają mózgow. Nawet jeżeli są Stockwellami - oznajmiła Kara ze wzdargą i wyszczerzyła na wszelki wypadek zęby, gdyby przyjaciółce strzeliło do głowy wziąć jej słowa na serio.

Allyson padła na łóżko obok Kary. Przez moment poczuła się, jakby znów były studentkami i martwiły się jedynie o wynik kolejnego egzaminu.

- Pit wykazał nadzwyczajną cierpliwość. Gdyby zdecydował się ujawnić nasz związek, nie mogłabym temu zapobiec. Ale nie zrobił tego. Sama chwilami byłam bliska wyjawienia całemu światu, co nas łączy.

Nie wspomniała o interwencji Mike'a ani o anonimowych telefonach.

- A później zaczęło się całe to zamieszanie. Teraz, kiedy jestem gubernatorem, sprawy wyglądają inaczej. Naprawdę nie wiem, co robić, człowiek z kryminalną przeszłością...

- Allyson, co to za kryminalna przeszłość? Pit od tamtej pory nigdy nie wszedł w konflikt z prawem. Zresztą to zdarzyło się lata temu, był wtedy młody i narwany. Ludzie przeszliby nad tym do porządku dziennego.

Kara przechyliła się i oparła na łokciach.

- Jesteśmy takie różne... - powiedziała cicho Allyson.

- Chcesz z nim zerwać?

- Nie! - krzyknęła Allyson, zadziwiona swoją reakcją, intensywnością własnych uczuć. - Kocham go, ale jestem gubernatorem... Wdową po Lawrencie Stockwellu... - dodała z westchnieniem. - Nie chodzi o to, czego chcę. Mam liczne zobowiązania.

- A co z Pitem? Wobec niego nie masz żadnych zobowiązań?

- On zasługuje na takie życie, jakiego pragnie.

Allyson wyprostowała się i wbiła wzrok we własne dłonie.

Przypomniała sobie, jak Pit przyszedł z nią na górę, posadził tu, gdzie teraz siedzieli z Karą i zadawał podobne pytania. Czego chce dla siebie? Czego chce dla niego? Uważał, że nie ma skomplikowanych sytuacji, wszystko jest jasne i proste...

- Karo, on jest przywiązany do tego miejsca i swojego życia. Nie czuje potrzeby poszerzania horyzontów. Uważa, że to byłoby głupie i upokarzające. Nie wiem, może wszystko jakoś by się ułożyło, gdybym pozostała zastępczynią gubernatora.

Kara spojrzała na nią z przyganą.

- Allyson, cholernie mącisz. Najpierw mówisz, że to nie mogło wypalić, a teraz mówisz coś zupełnie innego. Więc jak to jest w końcu? Masz zamiar z nim zerwać czy nie?

Allyson roześmiała się.

- Zawsze konkretna i szczerza do bólu Kara.

- Jeśli się kochacie, reszta się ułoży.

- I kto to mówi - powiedziała łagodnie Allyson. - Zawsze, kiedy ktoś się w tobie kochał, uciekałaś.

- O rany, jeśli w roli zakochanego występuje Hatch... - mruknęła Kara, siląc się na lekceważący uśmiech.

Allyson chwyciła poduszkę i walnęła nią przyjaciółkę w ramię.

- Jesteś wstrętna. Hatch to świetny facet.

- W sprawie z dziećmi cholernie namieszał od samego początku.

Powinnam go była udusić. Przynajmniej nie musiałabym go dzisiaj słuchać.

- On jest spięty - rzuciła bez związku Allyson.

- Muszę jednak przyznać, że gdybym miała zdecydować, czy iść do łóżka z Hatchem Corriganem, czy też z tym twoim policjantem...

Kara otrząsnęła się, udając przerażenie.

- Nigdy nie przyszło mi do głowy, by przespać się z Hatchem, a on lubi jedynie udawać, że ma na mnie ochotę. To mu pasuje. Taka nieodwzajemniona, platoniczna miłość nie rodzi problemów.

- Mniejsza o niego. Czy mam rozumieć, że miałaś ochotę pójść do łóżka z Samem?

Allyson spojrzała uważnie na przyjaciółkę i roześmiała się, widząc jej zmieszanie.

- Aha, już wiem. Najwyraźniej nie nadażam. Ty już wylądowałaś w łóżku z Temple'em!

- Allyson... Wydawało mi się, że to ja ciebie miałam wziąć na przesłuchanie.

- Ale ubaw! W tym towarzystwie to ja jestem powściągliwą reprezentantką purytańskiej Nowej Anglii, a tymczasem kto się wierci z zażenowania?

Wstała i z następną zmianą pościeli podeszła do drugiego łóżka.

- Wielki Mike wiedział, że znajdziesz kogoś w Teksasie - powiedziała, wygładzając prześcieradło. - Zajmowałaś w jego sercu szczególne miejsce, ale nie oczekiwał niczego. Chciał jedynie, byś odnalazła szczęście.

Kara skinęła głową, łzy napłynęły jej do oczu.

- A ten twój sierżant... Był dziś fantastyczny i bardzo pomógł dzieciakom - ciągnęła Allyson.

- Jest też cholernie zdolnym policjantem, a instynkt mu podpowiada...

- Wiem, co podpowiada mu instynkt - przerwała przyjaciółce Allyson.

Czuła, że jej pogodny nastrój ulatnia się. Skupiła się na wygładzaniu prześcieradła, usiłując odnaleźć spokój w zwykłych, drobnych gestach. Próbowała sobie wyobrazić, że nie ma tego wieczoru innych trosk poza posłaniem łóżek i ułożeniem dzieci do snu. Cóż mogłoby być ważniejsze?

Zapewnienie im bezpieczeństwa, odpowiedziała sobie w myśli.

- Mój instynkt mówi mi to samo - powiedziała cicho, nie przerywając swego zajęcia. - Mówi mi, że Henry i Lillian nie słyszeli w lesie jelenia. Że grozi im niebezpieczeństwo, chociaż chwilowo wszystko jest w porządku. Dziś w nocy czuwać będzie ochrona, będziemy bezpieczni.

Kara kręciła głową. Wstrząśnięta i zmartwiona, przyglądała się przyjaciółce.

- Allyson, co się dzieje? Dlaczego stałaś się taka bierna? Zawsze byłaś najsilniejszą kobietą, jaką znałam. Nie zostaje się przecież gubernatorem, działając w taki sposób.

- Nie masz o niczym pojęcia - skwitowała jej uwagi Allyson.

- Więc mi powiedz. Porozmawiaj ze mną, z kimkolwiek. Mów, co chcesz, znam cię dobrze i widzę, że coś cię dręczy. Inni jeszcze tego nie zauważyli, ale to kwestia czasu. Mike byłby zawiedziony, widząc cię w takim stanie.

Kara wstała i rozpostarła prześcieradło, nie spuszczać z Allyson natarczywego, pełnego oczekiwania wzroku.

- Do diabła, teraz rozumiem, czemu Henry i Lillian powstrzymywali mnie wszelkimi siłami przed opowiedzeniem ci ich historii. Wiedzieli, że to niczego nie zmieni - stwierdziła po dłuższej chwili.

Ale Allyson nie była w stanie słuchać. Nie dziś.

- Karo, idź do diabła. Kara nie ustępowała.

- Oni cię kochają, zamartwiają się o ciebie. Allyson, oni wszystko widzą. Jeżeli coś jest nie w porządku, jeżeli coś podejrzewasz...

- Nie.

Allyson wzięła ze stosu następną powłoczkę i ledwo się powstrzymała przed zmięciem jej w kulę i wepchnięciem Karze do gardła. Albo bezsilnym osunięciem się na łóżko.

„Zadzwoń rano, pani gubernator”.

Nie będzie ryzykować. Poczekaj na telefon. Potem zdecyduje, co robić. To najlepszy sposób, by ochronić dzieci. Nieważne, ile będzie ją to kosztować.

- Nic nie wiem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy Kara była gotowa wracać do chaty, spodnie Sama zdążyły już podeschnąć. Wilgotny upał późnego popołudnia dawał się we znaki wszystkim oprócz niego. Przejściowa fala gorąca nie robiła na nim najmniejszego wrażenia, bo zwykle spędzał sierpień blisko granicy z Meksykiem. Billie Corrigan twierdziła, że wieczorem pogoda się załamie. Nadciągał zimny front znad Kanady, a z nim burze.

Henry i Lillian nie byli zachwyceni perspektywą spędzenia nocy u matki, ale Kara obiecała im, że rano przybiegnie po nich. Sam nie dziwił się dzieciakom, ich matka, pani gubernator, była pochłonięta swymi problemami.

Wally Harrison, który na wniosek całej rodziny stracił intratne zlecenie, wymknął się wcześniej. Sam pochwalał tę decyzję, Hatch miał to w nosie. Sprzeczał się z matką i siostrą na temat planowanego przyjęcia i luminariów w ogrodzie. Madeleine zostawiła ich w środku kłótni. Zasiadła za kierownicą ogromnego, piętnastoletniego mercedesa i pojechała odwiedzić Pita, zabierając bukiet własnoręcznie ściętych astrów.

- Nie jestem taka okropna, jak niektórzy myślą - powiedziała do Sama.

Billie usłyszała jej słowa i parsknęła śmiechem.

- Jest okropna, ale nikt się tym nie przejmuje. Tylko nie mów jej tego.

Madeleine wkrótce wróciła od Jerichów, wściekła jak wszyscy diabli.

- Sądziłam, że Charlie nie mówi serio, tymczasem Bea rzeczywiście sprowadza kozy! Sama mi to powiedziała. Po cóż jej kozy? Będą uciekać z zagrody, przyłazić tutaj i zżerać moje róże!

Potem pojawiła się Kara i wraz z Samem ruszyli przez las do Stonebrook Cottage. Kiedy opowiadał jej o kozach, zaczęła się śmiać, a z jej twarzy powoli znikła złość.

- Madeleine nie wiedziałyby, co ze sobą począć, gdyby nie mogła utyskiwać na sąsiadów. To w jej życiu jedyny stały punkt odniesienia, trwalszy niż kolejni mężowie.

- Czy również z tego powodu Allyson utrzymuje w tajemnicy związek z Pitem?

Kara wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię ci powiedzieć. Ona nie chce ze mną gadać.

- Nie jest łatwo, gdy ktoś coś przed tobą ukrywa, prawda?

- Ja nie miałam wyboru. Henry i Lillian wciągnęli mnie w swoje problemy...

- Może Allyson też nie ma wyboru.

Kara nie odpowiedziała. Szła przodem pośród wysokich traw i polnych kwiatów, chyba nieświadoma lejącego się z nieba skwaru. Dobry znak, pomyślał Sam. To znaczy, że na powrót staje się dziewczyną z Teksasu. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle zaprzęta sobie tym głowę. Jego życie było o wiele prostsze, kiedy Kara Galway mieszkała w Connecticut.

Kiedy weszła do lasu, odwróciła się i zaczęła na niego czekać.

- Nie uwierzę, że Allyson mogłaby rzucić Pita jedynie po to, by nie komplikować sobie życia. Dla mnie to bez sensu.

- Człowiek staje w trudnej sytuacji, kiedy miłość wydaje się z jakiegoś powodu niewłaściwa.

Kara spojrzała na niego uważnie, jakby powiedział coś niepokojącego czy głębokiego, a może głęboko niepokojącego lub niepokojąco głębokiego? Sam zignorował jej spojrzenie i ruszył leśną drogą. Nogawki jego dżinsów były sztywne i śmierdziały chlorem. Mógł co prawda wcześniej pójść do chaty i przebrać się, ale bał się, że dzieciaki uznałyby to za znakomitą okazję do splątania mu kolejnego figła.

- Henry i Lillian poczuli się znacznie lepiej, kiedy zrzucili z siebie ciężar - powiedział, spojrzawszy na nadchodzącą Karę. - A ty zrobiłaś to, co należało zrobić, i nie przejmuj się krytycznymi uwagami.

- Nie. Po prostu miałam szczęście. Jeśli to Wally był w Austin, czemu nikomu o tym nie powiedział? Dlaczego nie zapukał do moich drzwi, by zapytać, czy dzieci są u mnie? Miał ich pilnować. A jeżeli śledził ich ucieczkę z letniska, to dlaczego ich nie powstrzymał?

- Dobre pytania.

- Też o tym myślałeś? Powinnaś była zadzwonić do ciebie, kiedy dowiedziałam się od nich, że Wally jest pod domem. Oczywiście, wtedy nie wiedzieliśmy, kto to jest. Mężczyzna w czarnym sedanie, który wcześniej kręcił się koło nich na ranczu. Nie wiedziałam, w co mam wierzyć.

- Mimo to powinnaś była do mnie zadzwonić. Skrzywiła się.

- Toż przecież mówię, że powinnam.

- Henry i Lillian byli wystraszeni?

- Śmiertelnie przerażeni. Wally'emu udało się ukryć swą obecność w Teksasie przed wszystkimi oprócz nich.

- To zastanawiające, prawda?

Sam pomyślał o dzieciakach i przypomniał sobie, jak matka próbowała chronić go przed niebezpieczeństwami, jak próbowała

zastępować mu ojca, cały czas ciężko pracując. Nie chciał jednak zbyt surowo oceniać Allyson Lourdes Stockwell.

Wilgotny upał potęgował zapach lasu. Dookoła krążyły chmury komarów. Schodzili ramię w ramię po łagodnym stoku. Kara wciąż przetrawiała ich rozmowę. W końcu westchnęła głęboko.

- Myślisz, że Wally specjalnie zwrócił na siebie ich uwagę? Że chciał je śmiertelnie przestraszyć? - spytała i pokręciła głową, jakby nie była w stanie zaakceptować takiej hipotezy. - To okrutne, w dodatku nie mogę dociec motywu takiego postępowania. Nie powiedziałeś nic Hatchowi, prawda? On i tak był wystarczająco wściekły na Wally'ego.

- Nie daj się ponieść emocjom. To tylko luźne przypuszczenie.

- Sierzancie Temple, ty nie mieszasz „luźnych przypuszczeń” - zakpiła. - Zwyczajni ludzie owszem, ale ty jesteś wyznawcą spiskowej teorii dziejów i nie wierzysz w zbiegi okoliczności. Hm, twoje spodnie są sztywne jak stalowe rury. Jak ty w ogóle możesz w nich iść? - dodała, przyglądając mu się krytycznie.

Przechodzili przez mulisty strumyk, na którego dnie widniały jeszcze ślady ich stóp po poprzedniej wędrówce przez las. Przyglądał się jej nogom i biodrom - w niej z pewnością nie było nic sztywnego. Puścił do niej oko.

- Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wyskoczę ze spodni.

Ten właśnie moment wybrał jej brat, by zadzwonić do Sama.

- Walter Harrison odleciał z Austin tego samego ranka, kiedy moja porąbana siostrzyczka ukradła w San Antonio mój pistolet i samolot - relacjonował.

- Wynajęty samochód zostawił na lotnisku.

- Czarny sedan?

- Czterodrzwiowy ford taurus. Używał go przez tydzień. Możesz mi powiedzieć, o co, do cholery, w tym wszystkim chodzi?

- Wariant optymistyczny: ten facet jest tylko durniem. Jeszcze nie wiem, jaki jest wariant pesymistyczny.

- Sam...

W głosie Jacka dała się słyszeć troska, dla zasady jedynie - by przypomnieć, kto tu jest porucznikiem, a kto jedynie sierżantem - maskowana irytacją.

- Sytuacja nie przedstawia się najlepiej - przerwał mu Sam.

- Zabierz stamtąd Karę.

- Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać.

- Nie, to nie jest trudne. Walnij ją czymś ciężkim w łeb i zwiąż.

Sam spojrział na Karę, ale nawet nie próbował sobie wyobrazić, jak ją wiąże. A co jeśli Jack potrafi czytać w jego myślach?

- Daj mi telefon - zażądała i nie czekając na odpowiedź, wyrwała mu aparat z dłoni. - Jack? Wszystko jest pod kontrolą. Obecny tu sierżant Temple jest podejrzliwym paranoikiem, to częsta przypadłość wśród panów Strażników Teksasu. Ja na szczęście jestem chłodną, przytomną prawniczką, rozumiejącą wszystkie aspekty sprawy.

Słuchała przez chwilę, po czym skrzywiła się gniewnie.

- Zapomnij o tym. Nie rozkazuj mi, nie jesteś moim szefem!

Podsunęła aparat Samowi.

- Po co ja z nim gadam? Twoja kolej. Jack miał jeszcze jedną sprawę do Sama.

- Nie wykorzystałbyś faktu, że moja siostra ma głowę zaprzątniętą tymi dzieciakami, prawda?

- Nie, szefie - odpalił Sam bez namysłu.

- Zdaję się na twoją ocenę sytuacji w tym względzie. Sam, Kara jest jedną z najbystrzejszych osób, jakie znam, zwłaszcza na gruncie zawodowym. Jednak gdy chodzi o mężczyzn...

Nagle odezwała się Susanna.

- Jack już skończył. Sam, zanim stąd jutro wylecimy, zamierzam mu uświadomić, że jego siostra nie ma już dziewięciu lat. Kto wie, może szalony numer z Strażnikiem Teksasu wyszedłby jej na zdrowie.

W tle dał się słyszeć ryk Jacka. Susanna roześmiała się głośno.

- No to trzymajcie się - powiedziała na koniec z wyczuwalną nutką niepokoju w głosie.

- Kiedy on się tu zjawi? - spytała Kara.

- Najpóźniej jutro po południu. Susanna przylatuje razem z nim. Karo, to Harrison był w Austin.

- Jednak on? To po prostu nie ma sensu. Dlaczego zniknął w taki sposób? Czemu nie zadzwonił do Hacha?

- Może zadzwonił?

- Dostaję kręcka. Powinniśmy chyba zawiadomić Zoe West. Mogłaby napuścić policję stanową na Wally'ego. Niechby z nim pogadali.

Sam skinął głową.

- Zadzwonię do niej, kiedy wrócimy.

Kara przystanęła i spojrzała na niebo, na napływające z zachodu niskie, szare chmury. Nagle uśmiechnęła się i mrugnęła do Sama.

- Jeżeli mój braciszek i jego ukochana żona zjawią się tu dopiero jutro, to mamy dla siebie przynajmniej tę jedną noc.

- Myślę, że możemy to uznać za randkę - powiedziała Kara, gdy pozmywali po kolacji i usiedli w bawialni.

Zasłony wzdymały się w podmuchach ciepłego wiatru, niosącego chmury i wyraźny zapach nadchodzącego deszczu. Sam siedział naprzeciwko niej w bujanym fotelu. Zostawił wiadomość dla Zoe West, prosząc, by oddzwoniła. Kara widziała, że chciał mieć jak najszybciej za sobą tę rozmowę. Siedziała na kanapie i szperała w jednym z pudeł, które przywiozła Billie Corrigan. Oglądała z zaciekawieniem rozmaite błyskotki, kolorowe kredki i śmieszne zabaweczki.

- Co takiego? Chcesz mi wmówić, że kanapki z tuńczykiem to uroczysta kolacja? - obruszył się Sam.

- Jasne. I spacer. To już dwie randki. Nie liczę rannej pogoni za Henrym i Lillian ani rodzinnej narady na tarasie, kiedy relacjonowałeś historię dzieci. Swoją drogą zrobiłeś to doskonale. Musisz być niezły jako świadek w sądzie.

- Nie pozwalam zbić się z tropu prawnikom.

- Przypatrywanie się twoim figlom z dziećmi przy basenie też mogłoby się liczyć, bo sprawiło mi dużą przyjemność, ale uznałabym to za prawdziwą randkę, dopiero gdybym i ja była mokra - powiedziała i przerwała zakłopotana, na jej policzkach pojawiły się rumieńce. - To znaczy... Chciałam powiedzieć...

- Karo, dokąd prowadzi ta rozmowa? - zapytał ze śmiechem.

- Do łóżka, mam nadzieję - rzuciła bez zastanowienia i zaraz skarciła się w myślach za taką frywolność. W jednej sekundzie spoważniała. - Allyson twierdzi, że uciekam od mężczyzn, może ma rację. Przed tobą nie chcę uciekać, Sam.

- Nie zdołałabyś. Jestem cholernie dobrym policjantem.

- Ja straciłam matkę, Allyson męża. Być może właśnie dlatego obie unikamy ryzyka, nie chcemy narażać się ponownie na podobną stratę. Ja uciekam, ona się chowa...

Podniosła oczy na Sama, stał tuż obok...

- Co robisz?

- Cóż, panno Karo... Myślę, że wezmę cię w ramiona, zaniosę do sypialni i będziemy się dziko i namiętnie kochać do białego rana. Co pani na to?

Uśmiechnął się łobuzersko, a w jego oczach zabłysło pożądanie.

- To brzmi wspaniale.

Odchyliła głowę, a on wziął ją na ręce i poniósł przez hol.

Pomyślała przez chwilę o starych, romantycznych filmach, ale szybko odsunęła na bok te skojarzenia, bo Sam był bardzo spięty. Ułożył ją na łóżku i zaczął powoli rozbierać. Rozpiął bluzkę i ściągnął delikatnie z jej ramion. Przez chwilę przyglądał się Karze w milczeniu, po czym odpiął stanik i zsunął go wolno w ślad za bluzką. Nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Kiedy musnął dłońmi jej sutki, odczuła to intensywnie w całym ciele. Łagodny powiew wiatru chłodził jej rozpaloną nagą skórę.

- Nagadałaś się dziś i nagłowiłaś wystarczająco - szepnął. - Ja też.

Uniosła dłonie ku jego koszuli, ale on odsunął się z uśmiechem.

- Jeszcze nie...

Przesunął dłonie z jej piersi na brzuch, odpiął guzik szortów i rozsunał zamek. Niecierpliwe oczekiwanie zapierało jej dech, ale on zdawał się tego nie zauważać, bez pośpiechu ściągając spodenki z jej bioder.

- Sam... - zdołała wypowiedzieć jego imię i zwilżyła językiem wargi.
- Sam... - powtórzyła, zanim uwolnił jej stopy z szortów.

Leżała przed nim w skąpych, seksownych majteczkach, które kupiła kiedyś w figlarnym nastroju w czasie przerwy na lunch.

Sam ich nie zdjął. Nachylił się nad nią, wyszeptał jej imię i pocałował ją powoli, głęboko. Język wniknął do jej ust, igrał z jej językiem. Kiedy miała wrażenie, że zaraz roztopi się jak gorący wosk, jego usta powędrowały ku jej szyi i niżej, ku piersiom.

Chwycił wargami brodawkę, liżąc ją i drażniąc, potem drugą, a Kara objęła ramionami jego głowę i cicho pojękiwała.

Na zewnątrz nagle lunął deszcz, w powietrzu wyczuwało się chłodną wilgoć. Usta Sama przesunęły się niżej. Po chwili podniósł się i szybko zrzucił ubranie. Kara miała wrażenie, że po raz pierwszy widzi go nagiego. Jego muskularne ciało połyskiwało ciemno w przytłumionym świetle.

Zwracała uwagę na każdy szczegół jego ciała, skupiała się intensywnie na swych odczuciach, na tej chwili, nie odwracała wzroku, nie odwracała myśli od tego, co się działo tu i teraz. Nie zamierzała uciekać. Żadna część jej ciała ani duszy nie zamierzała uciekać.

- Karo... Nie chciałbym cię skrzywdzić...

- Nie krzywdzisz mnie. Nie skrzywdziłeś mnie wcześniej.

Powrócił do niej, pomiędzy jej nogi, rozluźnione pod jego dotykiem. Wsunął kciuki pod majteczki i wolno zsunął je z jej bioder. Kiedy odsłoniły wszystko, zostawił je tak i dotknął jej opuszkami palców. Zadrżała, po części z zaskoczenia, po części z rozkoszy. A także pod wpływem nowego dla niej doświadczenia; mężczyzna oglądał i pieścił najintymniejsze zakamarki jej ciała. Jego palce wślizgnęły się w nią, badając jej gładkie wnętrza, aż zaczęła dyszeć i sięgnęła niecierpliwie ku

zsuniętym do połowy majteczkom, by zerwać je z nóg. On jednak odsunął jej dłonie i zrobił to sam. Jeżeli pragnął, by odwzajemniła jego intymne pieszczoty, nie musiał dłużej czekać.

Kiedy uwolnił wreszcie jej nogi, była gotowa na jego przyjęcie, pragnęła go. Wiedział to i wszedł w nią, a ona przyciągnęła go, by wsunął się głębiej. Znikło poczucie przypadkowości i tymczasowości, które towarzyszyło jej podczas ich pierwszej wspólnej nocy, pozostało palące pożądanie. Kiedy nadeszła fala rozkoszy, Kara poddała się jej bez reszty, straciła samokontrolę. Sam poruszał się szybko i gwałtownie, a ona wbijała palce w jego ramiona, drżąc i krzycząc. Patrzył jej w oczy, jakby zaplanował to od początku, jakby wiedział, że tak właśnie będzie. Nie przestawał, aż sam osiągnął szczyt, aż stali się jednością... Chwyliła dłońmi jego głowę, a on uniósł się, podciągając ją do góry, stale poruszając się w niej. O szyby dzwonił deszcz, na ścianach pokoju tańczyły mroczne, migotliwe cienie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Charlie Jericho siedział przy kuchennym stole nad kubkiem kawy i kręcił głową.

- Ty i Allyson Stockwell. Boże, Pit! Ona jest gubernatorem, do cholery.

Pit wstał, próbując odnaleźć kluczyki do furgonetki.

- Na mnie nie robi to wrażenia.

- Wszystkich innych to rusza.

Pit widział jak przez mgłę. Uniósł z blatu brudną, postrzępioną ścierkę i odnalazł swoje kluczyki. Zimny front przesunął się nocą na południe, ranek był jasny i chłodny, a powietrze mniej wilgotne. Pit miał nadzieję, że pogoda okaże się łaskawa dla jego szarych komórek.

- Nie powinieneś łądować się w związek, który musi być utrzymywany w tajemnicy, Nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Masz rację. Żałuję, że nie zrozumiałem tego wcześniej.

Wsunął kluczyki do kieszeni. Gips na nadgarstku bardzo mu przeszkadzał. Matka proponowała mu pomoc w ubraniu się, ale odmówił. Teraz poszła wytyczać zagrody dla kóz.

- Tato, ja mam trzydzieści cztery lata. Czas, żebym się wyprowadził z domu.

- Dokąd się wyprowadzisz, do rezydencji gubernatora? A może do Stockwellów? - drwił ojciec, gasząc wypalonego do połowy papierosa. - Czekaając na audiencję u pani gubernator, mógłbyś podawać Madeleine herbatę.

Pit usiadł naprzeciw ojca, odsuwając na bok gazety.

- Powinieneś rzucić palenie. Paskudnie kaszlesz. To cię kiedyś zabije.

- Wszyscy na coś umierają - odparł ojciec, wzruszając ramionami.

Pit westchnął. Zastanawiał się, jak przemówić staremu zrzędzie do rozumu. Nie wiedział, po co w ogóle próbuje.

- Tato... Nie chcę stracić Allyson. Kocham ją, odkąd pamiętam. To nie jest sztabackie zadurzenie. Po wypadku miałem czas zastanowić się nad własnym życiem...

- Jesteś otumaniony lekami.

- Wiem, czego chcę. Charlie upił łyk kawy.

- Jesteś poobijanym dzieciakiem. A jeśli ktoś cię zepchnął? Może ktoś nie chce, żebyś zabawiał się z panią gubernator?

- Nie pamiętam, co się stało, nie wiem, jak spadłem, ale to niczego nie zmienia.

- Zoe West kręciła się tam, szukała śladów. Na razie na nic nie trafiła. Ale...

- Muszę iść. Nie życzysz mi szczęścia? - spytał Pit, wstając.

Charlie spojrział na syna znad kawy. Na jego twarzy widać było i wiek, i lata kopcenia papierosów.

- Jakiego szczęścia? Tego, co ty uważasz za szczęście, czy tego, co jest dla ciebie rzeczywiście dobre?

Pit nie odpowiedział i ruszył do furgonetki. Bolały go połamane żebra, obojczyk dokuczał mu przy każdym nieuważnym ruchu. Chciał jak najszybciej odstawić środki przeciwbólowe. Może ojciec miał rację, może leki rzeczywiście mąciły mu w głowie? Nieważne, wiedział, co powinien zrobić. Wiedział to jeszcze przed wypadkiem.

Siadł za kierownicą i zdał sobie sprawę, że nie da rady zmieniać biegów. Do diabła, będzie musiał wziąć samochód matki, oklejony idiotycznymi nalepkami o zaletach kóz i ziół, ale za to automat.

Sam miał ochotę zamknąć się z Karą w Stonebrook Cottage i nie wychodzić z łóżka przez cały dzień, ale jej brat był w drodze, a ona sama chciała rozejrzeć się po zwirowisku.

- Jestem urażony, że wolisz tę dziurę w ziemi ode mnie - burknął znad kubka z kawą.

Roześmiała się, a w jej ciemnych oczach dostrzegł wspomnienie minionej nocy.

- Kiedy pomyślę o tych twardych skałach, nie znajduję wielkiej różnicy.

Włożyła kubek do zlewu i wyjrzała przez okno. Sam czuł, że jest naprawdę głęboko przejęta ostatnimi wydarzeniami.

- Zoe West nie znalazła dowodów, że ktoś zepchnął Pita? - spytała. Policjantka telefonowała do Sama kilka minut wcześniej.

- Jeszcze nie. Za to całe Bluefield już wie o domku na drzewie.

Charlie Jericho nie potrafi trzymać języka za zębami. A ktoś z policji stanowej rozmawiał dziś z Allyson.

- Nadal prowadzą dochodzenie... To dobrze. Mówiłeś Zoe, że Wally Harrison warował przed moim domem?

- Tak.

- Mimo wszystko chciałabym rozejrzeć się po zwirowisku.

Sam upił kolejny łyk kawy. Była mocna i gorąca, ale nie zdołała wydobyć go z zadumy. Miał poczucie, że ta kobieta przedarła się przez wszystkie obronne mury, jakie wokół siebie zbudował. Nocą, w blasku

błyskawic, przyglądał się jej ukradkiem. Ciemne rzęsy, jasna cera, kosmyk włosów na policzku... Związek dusz. Teraz, gdy siedział w oświetlonej porannym słońcem kuchni Stonebrook Cottage, tamte odczucia wydawały mu się dziwne, wręcz idiotyczne. Związek dusz? Przecież niczego takiego nie ma.

- Chcesz poszukać lornetki Lillian? - spytał. Skinęła głową.

- Może upuściła ją gdzieś dalej, niż jej się wydaje.

Odwróciła się od okna. Ręce splotła ciasno na piersiach. Miała na sobie zielone, drelichowe spodnie i krótką, niebieską bluzeczkę z dekoltem w serek, ciasno opinającą piersi. Jedno spojrzenie, i Samowi znowu stanęły przed oczami sceny z ich miłosnej nocy, ale Kara błędziła myślami zupełnie gdzie indziej.

- Sam... Coś złego dzieje się z Allyson. Coś naprawdę poważnego. Chyba chciała mi się wczoraj zwierzyć, ale wycofała się.

- Myślisz, że to ma związek z dziećmiakami?

- Na pewno.

- Zoe West chce dziś przesłuchać Harrisona. Może coś się wyjaśni.

- Mam nadzieję - powiedziała i rozplotła ręce. - Pobiegnę na zwirowisko i wrócę tutaj albo, jeśli chcesz pójść do dzieciaków, spotkamy się u Stockwellów. I nie martw się, będę ostrożna - dodała z uśmiechem.

- Wcale się nie martwię, bo będę cały czas przy tobie - odparł, wstając od stołu.

Skinęła w roztargnieniu głową, jakby spodziewała się takiej reakcji.

- Nie wiem, czy powinieneś łązić po tych wertepach - powiedziała, wychodząc tylnymi drzwiami na zewnątrz. - Potkniesz się, twój pistolet wypali i coś sobie odstrzelisz.

- To nie mój pistolet, tylko Jacka - przypomniał, schodząc za nią po mokrych jeszcze stopniach. - Nie myśl, że o nim zapomniał.

- Jack zawsze wszystko pamięta, jak każdy Strażnik Teksasu.

Sam wiedział, że jej lekceważący ton skrywa mroczne myśli.

Przeciągnęła stopą po trawie.

- Mokro. Pojedźmy tam twoim samochodem. To ty będziesz płacił, jeśli rozwalimy zawieszenie na wertepach.

- Nie, proszę pani. Pani pokrywa wszystkie wydatki związane z tą podróżą. Już pani zapomniała?

Roześmiała się i cofnęła do kuchni.

- Tak mówiłam? Całe szczęście, że nieźle zarabiam, broniąc ludzi, którym zdarzyło się wejść w konflikt z prawem.

Zaakcentowała ostatnie słowa, jakby nie było różnicy między nim a jej klientami.

Sam wszedł za nią do kuchni, zabrał swoje kluczyki i poszedł do auta, usadowił się za kierownicą.

- Myślę, że nie wyspałaś się tej nocy. Wślizgnęła się na fotel obok niego i rzuciła mu szelmowskie spojrzenie.

- Zastanawiam się, czy nie za wiele otrzymałam.

- Uważaj, czego pragniesz - ostrzegł ją i wyszczerzył zęby.

Tej nocy nie wyczuł w niej żadnych zahamowań. Miała niewielkie, prawie zerowe doświadczenie, ale zaskoczyła go swą namiętnością i otwartością. Wstrząsnęło nim to do głębi, spowodowało, że stał się wrażliwszy, czuły. Nie tyle pragnął ją posiadać, ile oddać się jej całkowicie, stopić w jedność...

Był zaszokowany własnymi uczuciami.

Kiedy skręcili z szosy, zwolnił, starannie omijając wyboje, aż wjechał na zwirowisko i zaparkował za stojącym na uboczu ciągnikiem. Nieopodal krzatali się robotnicy, głośno pracowała maszyna sortująca urobek.

- Nie zdziwiłabym się, gdyby Madeleine słyszała ten hałas w Stockwell - rzekła Kara, krzywiąc się.

Wysiadła z samochodu, podeszła do Sama i rozejrzała się dookoła.

- Jeśli ktoś wyrzucił lornetkę Lillian na którąś z tych hałd, nigdy jej nie znajdziemy - stwierdziła.

- Nad czym się tak głowisz? - spytał cicho.

- Kiedy rozmawiałeś z Zoe West, przyszło mi do głowy, że Wally Harrison mógł prowadzić podwójną grę. Z jednej strony wykonywał polecenie Hacha, a jednocześnie pilnował, by dzieci siedziały cicho w sprawie śmierci Wielkiego Mike'a - wyjaśniła i spojrzała na niego uważnie, mrużąc oczy. - Też o tym pomyślałeś, prawda?

- Nie tak szybko, jak powinienem. Kara zacisnęła dłonie w pięści.

- Nienawidzę nieuczciwych policjantów. Nawet jeśli są już na emeryturze.

Ogłuszający warkot maszyny utrudniał rozmowę. Kara minęła stertę drobnych, gładkich kamyków i skierowała się w stronę miejsca, gdzie znaleźli Pita. Sam spojrzał na swoje zabłocone buty. Po nocnym deszczu zostało mnóstwo ogromnych kałuż, wypełniających koleiny i każde zagłębienie terenu. Kara grzęzła po kostki w jasnej breji, ale uparcie brnęła po stoku w kierunku lasu.

Sam obejrzał się na robotników i wyobraził sobie Henry'ego i Lillian obserwujących pracę ogromnych maszyn z domku na dębie. Miał wrażenie, że hałda kamyków zsunęła się nieco niżej i zmieniła od wczoraj

kształt, zapewne pod wpływem ulewy. Odwrócił się, by pójść za Karą i wtedy kątem oka dojrzał coś dziwnego. Podszedł bliżej.

Porzucony but albo ludzka stopa, trudno powiedzieć. Skręcając trochę w lewo, po chwili dostrzegł sterczącą spod stery kamyków rękę.

- Sam, co się stało? - spytała Kara, podchodząc do niego.

Podążyła za jego spojrzeniem i zeszywniała, tracąc z wrażenia dech.

- Och, nie...

Sam przyspieszył, a ona, ślizgając się w błocie, usiłowała dotrzymać mu kroku. Wzywała krzykiem i machaniem rąk pracujących robotników. Sam wkroczył na hałdę i podszedł ku sterczącej ręce, szarej w jasnym słońcu, pokrytej skorupą wilgotnego, kamiennego pyłu, nieruchomej. Zbadał puls, ale było to właściwie zbyteczne.

Kara wreszcie zdołała zwrócić na siebie uwagę robotników.

Wyłączyli maszyny i trzech z nich bieгло ku hałdzie, skacząc przez kałuże.

- Niech to szlag! Musimy go odkopać! Chryste Panie!

Brodaty chłopak zamierzał wspiąć się po hałdzie do ładowarki, ale starszy mężczyzna, zapewne brygadzysta, zatrzymał go, kręcąc głową.

- On nie żyje. Wejdiesz tam, wszystko zacznie się zsuwać i zasypie cię. Stracisz, oparcie dla stóp i szybko wessie cię w głąb. Chropowaty żwir nie jest tak niebezpieczny, jak to gładkie świństwo. Ten człowiek musiał się udusić.

Twarz mężczyzny poczerwieniała ze zgrozy, bezradności i złości.

- Co on tu robił, do cholery?! Ostrzegamy wszystkich, że tu jest niebezpiecznie. Wiecie, kto to?

- Nie mam pojęcia - powiedział Sam. Kara oddychała ciężko.

- Trzeba wezwać policję - powiedziała posepnym głosem.

Sam wyciągnął telefon i wybrał numer Zoe West. Odezwała się po czwartym dzwonku i wysłuchała jego relacji.

- Ciało? Zwłoki? Kto to?

- Boję się, że Walter Harrison.

- Psiakrew. Jesteś pewien, że nie żyje?

- Jestem.

- Wystaje tylko stopa i ręka? Dobra, słuchaj, niech robotnicy go odkopią. Z uduszeniem bywa różnie, może tego faceta uda się odratować. Już wysyłam karetkę.

W jej głosie słyszał zdecydowanie i pełną koncentrację. Zakłęła pod nosem.

- Ja też już jadę. Zabezpiecz to cholerne miejsce, dobrze?

Sam oficjalnie nie miał żadnych policyjnych uprawnień w stanie Connecticut, ale Zoe chyba o tym pamiętała.

Rozłączył się i skinął głową do brygadzysty.

- Detektyw West poleciła go odkopać.

Wszyscy się odsunęli i czerpaki ładowarki ostrożnie ścięły wierzchołek sterty żwiru. Ciało zostało częściowo odsłonięte. Był to istotnie Walter Harrison, bez wątplenia martwy. Brygadzista przyniósł kilka łopat i robotnicy oraz Sam zaczęli odgarniać i odrzucać na bok gładki, śliski żwir. Kara, dla której nie starczyło łopaty, pracowała rękami.

Oswobodzone ciało Harrisona stoczyło się ku nim. Sam i brygadzista znieśli je z hałdy. Dwaj młodszy robotnicy odeszli na bok i zwymiotowali w kałużę. Kara, która wielokrotnie musiała oglądać zdjęcia zwłok, jedynie szybciej oddychała. Brygadzista zaklął wściekle i kopnął zsuwające się z hałdy kamyki.

Kara odsunęła się na bok. Była bardzo blada, lekko drżała.

- Nie mógł tak po prostu wleźć tam i przypadkowo się zadusić. Co on tam w ogóle robił?

Sam przykucnął przy ciele.

- Nie, z pewnością pan Harrison nie udusił się przypadkiem pod stertą żwiru.

Na piersi Harrisona widniała zakrzepła krew. Było oczywiste, że został zastrzelony.

Kara pochyliła się nad ciałem i dotknęła lodowatymi palcami ramienia Sama.

- Och, do diabła, Sam...

Sam podniósł się i poprosił wszystkich o pozostanie na miejscach do przybycia Zoe West. Robotnicy skinęli w milczeniu głowami. Brygadzista oparł się o zderzak swojego samochodu. Młody robotnik, który obsługiwał koparkę, podszedł do nich, spojrzął na ciało i skrzywił się.

- Walter Harrison. Ten załgany sukinsyn dostał, na co zasłużył.

Brygadzista skarcił go za te słowa o zmarłym, ale było oczywiste, że wszyscy dobrze znali Harrisona i nikt nie miał o nim przychylnego zdania.

Sam zastanawiał się, dlaczego Hatch zatrudnił kogoś takiego do pilnowania dzieci. Spojrzął na zwłoki. Nie wiadomo, czy bezpośrednią przyczyną zgonu był śmiertelny postrzał, czy też uduszenie. Próbował wyobrazić sobie, co tu zaszło. Wally Harrison stoi na szczycie hałdy żwiru, próbuje zobaczyć, kto się za nim skrada, a może rozgląda się za jakąś kryjówką. Albo po prostu walczy z paniką. Kiedy dosięgła go kula, stracił równowagę, upadł, żwir zaczął się osypywać lawiną, nie było już ratunku.

Kara zapewne doszła do podobnych wniosków, ale milczała. Zacisnęła mocno usta i odwróciła się od zwłok.

W końcu pojawiła się Zoe West w swoim jaskrawożółtym garbusie. Ubrała się w fioletowe spodenki i tenisówki, ale znowu nie miała broni, co Sam natychmiast zauważył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Allyson wpadła jak burza do stodoły, sina ze złości, upokorzona. Madeleine odprawiła Pita! Nie zrobiła tego ochrona, tylko jej cholerna teściowa! Godzinę temu! Przyjechał do Stockwell, poobijany i obolały, tylko po to, by natychmiast zawrócić do domu. „Nie może pracować w takim stanie - oznajmiła bez skrpułów Madeleine. - Wyświadczyłam mu przysługę. Niech dojdzie do siebie”.

Łgarstwo. Dobrze wiedziała, że zjawił się, by spotkać się z Allyson, i postanowiła do tego nie dopuścić. Musiała wyczuć, że relacje między nim i synową wymknęły się spod kontroli. A przecież Pit Jericho nie był odpowiednim partnerem dla wdowy po jej synu. Tak jakby rosnące przywiązanie Allyson do Pita ubliżało pamięci Lawrence'a.

Allyson nie miała odwagi stawić czoła Madeleine, uznała chyba, że dezaprobata teściowej jest równoznaczna z dezaprobata Lawrence'a. A przecież nie potrzebowała niczyjej zgody, niczyjego przyzwolenia. Lawrence nie żył. Odegrał zasadniczą rolę w jej życiu, kochała go, ale straciła go dziesięć lat temu. Czy miała nosić żałobę do końca życia? Wyrzec się miłości?

Odkręciła do końca kran nad zlewem i zwilżyła twarz zimną wodą. Nie mogła nigdzie znaleźć Hacha. Powinien porozmawiać z Madeleine,

utrzyć jej nosa. Pit na pewno poczuł się upokorzony, gdy odprawiła go niczym krnąbrnego smarkacza. Ale czy Hatch akceptował Pita? Pomyślała o kłótni Hacha i Mike'a; wątpliwe, by poszło im o politykę. Nie w środku lata, kiedy nic się nie dzieje, kiedy nie zapadają żadne ważne decyzje. Może kłócili się o Pita, o ultimatum Mike'a?

Przez okno nad zlewem dojrzała Karę, eskortowaną przez ochroniarza. Westchnęła ciężko. Nie cieszyła jej wcale wizyta przyjaciółki. Zakręciła wodę i wytarła twarz. Była rozbita i zagubiona. Kara od razu to zauważy.

Czekała na anonimowy telefon. Chciała to wreszcie załatwić, dowiedzieć się, o co chodzi temu człowiekowi i powiedzieć wreszcie ochroniarzom, że ktoś ją nęka.

Otworzyła tylne drzwi i dała znać ochroniarzowi, by wpuścił Karę. Kara podbiegła do wejścia. Była blada i zdenerwowana.

- Allyson, rozpętało się piekło. Sam mnie tu podrzucił, nie mogę złapać Hacha. Znaleźliśmy Wally'ego Harrisona na zwirowisku... On nie żyje. Był zasypany stertą kamieni. I postrzelony.

- Postrzelony? Nie żyje?

- Policja będzie chciała cię przesłuchać. Nie powiedziałam niczego twojej ochronie, ale...

- Nie znalazłaś Hacha?

Allyson opadła bezwładnie na krzesło przy okrągłym, dębowym stole. Patrzyła na szklany wazon z bukietem cynii przysłanych przez Madeleine. Mogłaby wieść normalne życie, ale gdzieś musiała popełnić błąd. Gdzie i kiedy? Jaki?

- Hatch na pewno jest w Stockwell. Powiadomiłby mnie, gdyby zamierzał wyjechać - powiedziała.

- Właściwie nie miałam czasu szukać go zbyt dokładnie. Gdzie są Henry i Lillian?

- Na górze. Chcieli dłużej pospać - powiedziała Allyson martwym głosem.

Nie potrafiła skupić uwagi na otoczeniu, miała wrażenie, że zaraz się rozsypie. Zbyt wiele wstrząsów. Jak to się stało, że Wally nie żyje? Co to znaczy?

Kara chodziła od ściany do ściany, jak lwica w klatce. W końcu zakłęła i złapała przyjaciółkę za ramiona.

- Allyson, na Boga, otrząśnij się! Powiedz mi, co się z tobą dzieje! Nie jesteś sobą. Wokół ciebie giną ludzie. Mike nie żyje, Wally nie żyje, Pit cudem uniknął śmierci. A ty i dzieci? Może ten cholerny wybuch w Dzień Niepodległości nie był przypadkowy?

- Karo, idź do diabła.

- Nigdzie nie pójde. Zaraz zjawi się tu tłum policjantów, otoczą teren, żeby cię chronić.

- Przestań! - krzyknęła Allyson i jęknęła, zdegustowana własnym zachowaniem. - Och, Karo! Mój Boże, masz rację. Masz rację, zachowuję się jak samolubna idiotka. Sądziłam, że postępuję właściwie i potrafię nad wszystkim zapanować. Nad związkiem z Pitem, reakcją dzieci na śmierć Mike'a, że poradzę sobie i jako gubernator, i z Hatchem, i z tymi cholernymi telefonami...

Mrugała gwałtownie, walczyła ze łzami, zrodzonymi nie tyle z lęku, co z bezradności.

- Allyson, opowiedz mi o tych telefonach - zażądała Kara, siadając na brzegu krzesła.

- Czekam teraz na kolejny, z instrukcjami. Myślałam, że chodzi o sprawy polityczne, ale wiem...

Przerwała, bała się, że zaraz się rozpłacze. Odchrząknęła i już spokojnie, zwięźle opowiedziała przyjaciółce o anonimowych telefonach.

Kara słuchała w milczeniu, lecz Allyson wiedziała, że prawniczy umysł przyjaciółki pracuje na pełnych obrotach, analizując wszystkie możliwości i teorie, nawet najbardziej dziwaczne. Taka właśnie była Kara. Cokolwiek sądziła o dotychczasowym milczeniu przyjaciółki, zachowała to dla siebie.

- Czy to mogła być robota Wally'ego? - spytała. - Od lat miał na pieńku z Pitem. Nie podobała mu się ugoda sądowa, chciał, by Pit na rok czy dwa wylądował w więzieniu stanowym. Hatch wynajął go do pilnowania Henry'ego i Lillian. Może Wally odkrył twój związek z Pitem i zaczął działać na własną rękę? Może chciał cię zastraszyć, zasugerować, że ujawnienie związku z Pitem postawi cię w bardzo niekorzystnym świetle. Ludzie zaczęliby się zastanawiać, czy przyczyniłaś się do śmierci Mike'a. O ile znałam Wally'ego, próbowałby wyciągnąć od ciebie pieniądze.

- To Hatch mógł mu powiedzieć o Picie - powiedziała cicho Allyson. - Jemu się zdaje, że powinien mnie chronić przed samą sobą. Jeśli odkrył, że Wally próbuje mnie szantażować... - urwała i energicznie pokręciła głową. - Nie, Hatch nie zabiłby nikogo. To niemożliwe.

Kara zmusiła się do uśmiechu.

- Sam wytknąłby nam, że spekulujemy, zamiast analizować fakty. Cóż, sama powiedziałaś, że to nie mógł być nikt obcy. Czekalaś rano na zapowiedziany telefon i nie doczekałaś się. Wally nie żyje... - przerwała, nie kończąc myśli. - Allyson, musisz powiedzieć policji o tych telefonach, po prostu musisz. Nie masz wyboru.

- Wygląda na to, że istotnie nie mam wyboru - przyznała Allyson z bladym uśmiechem. - Henry i Lillian są ode mnie sprytniejsi, potrafili cię zmusić do zachowania tajemnicy zawodowej.

Skinęła jednak potakująco głową, bardziej do siebie, niż do Kary.

- Powiem wszystko, obiecuję. Gdzie jest twój Strażnik Teksasu?

- Pojechał porozmawiać z Charliem i Beą. I z Pitem. Zostawił mnie tutaj, choć niechętnie.

Allyson roześmiała się.

- Mam tu dwoje uzbrojonych ochroniarzy, ale on nie ufa nikomu, jeśli idzie o twoje bezpieczeństwo.

- To staroświeckie i w dodatku ogranicza moją swobodę.

Kara narzekała, ale Allyson widziała w rozświetlonych oczach przyjaciółki pełne zaufanie do Sama Temple'a.

- Ha, podoba ci się to! Widzę też, że świetnie sobie radzisz i umiesz poskromić tego Teksasńczyka.

Allyson nagle poczuła napływające do oczu łzy.

- Och, Karo... W którym miejscu popełniłam błąd? Gdzie i kiedy?

- To w tej chwili nieistotne. Ważne, co zrobisz teraz - odpowiedziała Kara, wstając. - Dasz sobie radę? - spytała i dotknęła ramienia przyjaciółki.

Allyson zdecydowanie skinęła głową, czując, jak powracają jej siły.

- Najwyższy czas uporządkować ten cały bałagan i wszystko wyjaśnić.

- Zabiorę dzieci do Stonebrook albo do babci. Ty masz teraz co innego na głowie. A kiedy załatwisz sprawy z policją, Henry i Lillian znów będą mogli cieszyć się mamą - zakończyła Kara z uśmiechem, który miał dodać przyjaciółce otuchy.

- Mogłabym złożyć dymisję...

- Dla nich? One tego nie potrzebują. Potrzebują ciebie.

Uznając rozmowę za skończoną, Kara poszła na poddasze. Allyson podeszła do zlewu, by nalać sobie szklankę wody. Poradzi sobie z sytuacją sama, bez pomocy Hacha i reszty doradców. Chyba też nie powinna zawracać sobie głowy policją stanową... Mogłaby pójść prosto do Zoe West, która od początku nie wierzyła, że dramatyczne wydarzenia tego lata były nieszczęśliwymi wypadkami.

Nagle usłyszała krzyk z poddasza i tupot nóg na kręconych schodach. Kara wpadła do kuchni z twarzą bladą jak ściana, w dłoni trzymała arkusz papieru rysunkowego z jakąś notką. Allyson rozpoznała charakter pisma Lillian.

- Poszli z powrotem do Stonebrook Cottage. Sami. Napisali, że „nie chcą zawadzać”.

Allyson znowu nie mogła pozbierać myśli.

- Byli przecież na górze, niedawno do nich zaglądałam. Nic nie wskazywało... Nigdy nie dałam im odczuć, że mi przeszkadzają. Mój Boże, nie chcę, by chodzili sami po lesie. Szczególnie teraz, kiedy Wally Harrison...

- Poszukam ich. Wytłumaczę im wszystko. Allyson skinęła głową. Nie pojmowała, czemu jej dzieci, tak fatalnie mylą się co do jej intencji i poczynań. Nagle chwyciła notatkę Lillian, znalazła na blacie długopis i dopisała na dole:

„Nigdy mi nie zawadzacie. Słuchajcie Kary i róbcie to, co wam powie. Uściski, mama.”

Wręczyła kartkę przyjaciółce.

- Przyjdę, kiedy tylko będę mogła. Jeśli wymknęli się przed chwilą, dogonisz ich w lesie.

Kara spojrzała na kartkę i roześmiała się.

- Wiesz, Lillian bardzo udatnie podrobiła twoje pismo.

Allyson też się prawie zaśmiała.

- Idź już - powiedziała.

Kara uścisnęła ją szybko i pobiegła do wyjścia. Allyson podeszła do dużego okna i patrzyła za nią. Kara przesadziła kamienny murek i biegła przez łąkę.

Allyson siadła przy fortepianie i dotknęła twarzy Lawrence'a uśmiechającej się do niej ze zdjęcia.

Zadzwonił telefon.

Mój Boże, może to nie był Wally? - pomyślała. Chwyciła komórkę ze stolika i usiadła z powrotem na taborecie przy fortepianie.

- Słucham?

- Walter nie żyje. On był idiotą.

Inny głos, ale też celowo zniekształcony.

- Kto mówi? Gdzie są moje dzieci? - spytała.

- Gdzie pani jest, pani gubernator?

Słyszając ten szyderczy ton, mocno zadrżała. Jej łokieć osunął się na klawisze fortepianu.

- Aha, w salonie. Doskonale - stwierdził anonimowy rozmówca i rozłączył się.

Podniosła się niepewnie, zaskoczona nagłą ciszą. Podeszła do dużego okna i nagle ogarnęło ją przecucie nadciągającej katastrofy. „Aha, w salonie. Doskonale.” Biegła do kuchni, wzywając ochronę.

- Ratunku!

Skoczyła ku drzwiom, ujrzała nadbiegających ochroniarzy, lecz nagle coś zbiło ją z nóg i znalazła się w powietrzu, usłyszała dźwięk

tłuczonego szkła, huk eksplozji, poczuła falę gorąca, ucisk w piersiach...
Nie mogła zaczerpnąć powietrza...

Dzięki Bogu, że nie ma tu dzieci.

To była jej ostatnia myśl, zanim zapadła w niebyt.

Rozsądek podpowiadał Samowi, że nie powinien ani na chwilę zostawiać Kary samej. Henry i Lillian mieli rację, wyczuwając niebezpieczeństwo i szukając pomocy u Kary. Niedługo trzeba było czekać, by wszyscy inni też odczuli zagrożenie.

Znalazł Pita w kuchni, w posepnym nastroju z powodu sposobu, w jaki potraktowała go Madeleine Stockwell.

- Chryste, ale ze mnie palant - narzekał Pit. - Za wysokie progi na moje nogi. Nigdy nie byłem dość dobry dla Allyson. Ona jest nadal pod wpływem Madeleine.

Sam nie miał cierpliwości słuchać o jego problemach sercowych.

- Nie pomyślałeś, że to może wyglądać całkiem inaczej? - spytał. - Może Madeleine jest nadopiekuńcza i nie chce, by Allyson powtarzała jej błędy? Ona również wcześniej straciła męża i potem...

- Poślubiła trzech kolejnych. Nie dopuści, by Allyson związała się z prostakiem.

- Przestań użalać się nad sobą. W waszej żwirowni właśnie zginął człowiek.

Pit już wiedział o Harrisonie, ale nie potrafił ocenić obiektywnie sytuacji.

- Wally też chodził na pasku Madeleine. Myślał, że znajdzie sposób, by wyciągnąć z niej kasę. Tata go rozgryzł. Ale bogaci ludzie potrafią pilnować swoich pieniędzy.

Sam kręcił głową.

- Mam ochotę wywlec cię do zwirowiska i poprosić, żeby zwalili ci coś ciężkiego na łeb. Najwyższy czas, żebyś się po męsku zmierzył z sytuacją, przyjacielu. Gdzie jest twój ojciec?

- Nie wiem. Pojechał gdzieś ciągnikiem.

Pit uniósł głowę. Spojrzał na Sama wzrokiem szklistym od bólu, lekarstw i zakłopotania.

- Dzięki. Miałem już siebie samego dosyć - powiedział z nieśmiałym uśmiechem.

- Jesteś zakochany. Ciężka sprawa.

Charlie Jericho wpadł do kuchni, ściągnął czapkę i przeczesał palcami siwe włosy. Był bledszy niż zwykle, nie mógł złapać tchu. Widząc syna, jakby się odprężył, lecz i zmieszał jednocześnie.

- Myślałem, że byłeś z Allyson. O, Chryste! Powiem ci bez owijania w bawełnę. U Stockwellów coś wybuchło. Jakaś bomba. Pali się stodoła.

- Co z Allyson?! - zawołał Pit, zrywając się na równe nogi.

- Pit, jest ranna. Nie wiem, jak poważnie. Jeden ochroniarz też.

Karetki są w drodze.

Kiedy Charlie spojrział na Sama, ten już wiedział, co usłyszy. Czuł, jak serce ściska mu wszechogarniający, paraliżujący lęk.

- Dzieciaki i Kara też mogli być w stodole. Nikt nie wie na pewno.

- Czy ktoś zawiadomił ochotniczą straż pożarną? Stary skinął głową i zwilżył wargi, łapiąc dech.

- Pit i ja mamy się z nimi spotkać koło stodoły. Pit, idziesz?

Pit oddychał głęboko.

- Jasne. Niech tylko ta cholerna Madeleine spróbuje mi podskoczyć.

Dopiero gdy wybiegli z domu, Sam przypomniał sobie, że nie jest na swoim terenie. Dwie karetki i radiowóz policyjny przemknęły właśnie z wyciem syren obok domu Jerichów. Charlie obszedł starą ciężarówkę, by zasiąść za kierownicą, a Pit wspiął się na miejsce pasażera. Drogą pędził wóz strażacki, zaraz za nim samochód Billie Corrigan. Migająca na dachu jej auta lampa wskazywała, że Billie jest członkinią ochotniczej straży. Zatrzymała się przy nich.

- Charlie, Pit, słyszeliście? Podrzucić was?

- Pojedziemy moją ciężarówką - powiedział Charlie.

- Dobra, spotkamy się na miejscu. A ty, Temple?

Sam pomyślał, że swoim wozem nie przejedzie przez posterunki zabezpieczające teren i wskoczył do samochodu Billie. Wyjechała z powrotem na szosę. Prowadziła jedną ręką, drugą kręciła gałką radia, by nie tracić kontaktu z centralą. Gubernator Stockwell była ranna i poparzona, być może miała połamane zębra. Straciła przytomność. Jeden z ochroniarzy był w szoku, ogłuszony wybuchem, drugi zatrął się dymem, gdy szukał w płonącym domu dzieci. Nie było ich tam. Nikt nie widział też Kary.

Billie spoglądała z ukosa na Sama. Jej oczy błyszczały z podniecenia i lęku.

- Reporterzy obozują w zajeździe od czasu niefortunnej kąpieli Wielkiego Mike'a. Zanim ugasimy ogień, będziemy w telewizji w nadzwyczajnych wydaniach wiadomości.

Sam miał to gdzieś.

- Kto skorzystałby na usunięciu Allyson i dzieci? - spytał bez ceregieli.

- Co takiego? Co za okropne pytanie!

Ale Sam nie dbał o to, czy ją wkurza. Miał pytania. Mnóstwo pytań. I chciał uzyskać na nie odpowiedzi. Nie było czasu na ceregiele.

- Twój brat? On by dziedziczył jako jedyny żyjący krewny Lawrence'a Stockwella, prawda?

Przeciagnęła dłonią po kasztanowatych włosach, a w jej błękitnych oczach błysnął gniew.

- Ależ ty masz tupet. Hatch nie nazywa się Stockwell. Przed nim spadkobierczynią byłaby jego matka.

- Nie wydaje mi się.

Billie spojrzała na niego wilkiem.

- Jesteś aroganckim sukinsynem! Podwożę cię, bo widzę, że się martwisz o Karę, a ty wyjeżdżasz z insynuacjami na temat mojego brata.

Sam nie odpuszczał.

- Mielście wspólnego ojca, tak?

- Frankie Corrigan. Spadł z rusztowania na scenie, pijany jak bela, i skrzył kark. Byłam tam wtedy i nic już nie mogłam zrobić. Nazywał mnie swoją wybawicielką. Ale co to ma do rzeczy?

- Hatch wychowywał się tutaj, w Bluefield?

- Mieszkał w Stockwell, z mamusią, lady Madeleine. Wydawało mu się, że jest jednym z nich. Mnie wychowywała moja matka, która miała zerowe konto w banku, no i dobrze.

- Nie lubisz Stockwellów - stwierdził Sam.

Billie próbowała się roześmiać. Wyczuł w niej instynktowną potrzebę sprawiania przyjemności otaczającym ją ludziom. Dusza towarzystwa.

Ale nie roześmiała się.

- Chryste, ale ty potrafisz być uciążliwy! Nie mam nic do powiedzenia na ich temat. To rodzina Hacha, nie moja.

- Co wiesz o relacjach twojego brata z Walterem Harrisonem?

- Nic. To straszne, co się z nim stało. Założę się, że teraz Zoe i detektywi z policji stanowej ruszą tyłki do Stockwellów. Bomba w domu pani gubernator to grubsza sprawa niż trup jakiegoś pechowego i niezbyt lubianego emerytowanego gliniarza.

Sam nie zamierzał jej wyjaśniać policyjnych procedur. Billie Corrigan miała swój własny obraz świata.

- Zaskoczyło mnie, że twój brat wybrał właśnie Harrisona do opieki nad dziećmi...

- Czemu? Bo to Stockwellowie? Wally był dupkiem pod wieloma względami, ale znał się na swojej robocie. Tak mi się przynajmniej zdaje, ale cóż ja mogę wiedzieć?

Spojrzała z ukosa na Sama i uśmiechnęła się lekko.

- A co ty tu właściwie robisz? Strażnik Teksasu w Connecticut?

Nie odpowiedział. Skręcili w długi, elegancki podjazd do posiadłości Stockwellów i zaparkowali obok ciężarówki Charliego. Na rozmiękłym trawniku stało kilka wozów służb ratowniczych.

- Policja zabezpiecza miejsce. Muszę się zgłosić i zapytać, co mam robić. A ty? Zamierzasz wpakować się w jakieś kłopoty? - spytała.

Sam wysiadł z auta.

- Gdybyś się dowiedziała, co się stało z Karą i dziećmi, byłbym zobowiązany za informacje.

- Rozumiem, sierżancie.

Przebiegła kilka kroków, ale zatrzymała się jeszcze i odwróciła.

- Czy przeszłam pomyślnie przesłuchanie?

Nie odpowiedział. Na podjeździe pojawił się żółty volkswagen i Sam postanowił wypytać, czego dowiedziała się Zoe West. W powietrzu unosił się swąd. Od szosy dobiegało wycie syren kolejnych wozów strażackich.

Przechodząc obok ciężarówki Charliego, spostrzegł na desce rozdzielczej lornetkę. Podeszedł bliżej i zajrzał przez szybę w drzwiach od strony pasażera. To była stara lornetka, ciężka i droga. Dokładnie taka, jaką wczoraj w domku na drzewie opisywała mu kilkakrotnie Lillian Stockwell. Miała nawet przywiązaną do paska różową wstążeczkę, o której wspominała Lillian.

Obok trzasnęły drzwi samochodu.

- Nie mam pojęcia, na co mogę się tu przydać - mruknęła Zoe West.
- Jedzie już mój szef. Boże, Boże! Co za dzień! Sierżancie, co tam znalazłeś?

Odwrócił się do niej.

- Zgubioną lornetkę Lillian Stockwell.

- O cholera!

- Załatw nakaz.

- Do diabła z tym. Leży na widoku. Charlie bawi się w strażaka?

Zapytam go, skąd wzięła się w jego szoferce. O, tam jest Pit.

Przywołała go machnięciem ręki, zanim Sam zdążył ją powstrzymać. Na podjeździe pojawił się kolejny wóz strażacki. Zoe skrzywiła się, słysząc wycie syreny. Widać było, że wolałaby być teraz z dala od tego miejsca, ale szybko się pozbierała.

- Zdajesz sobie sprawę, że ktoś musiał podrzucić tę lornetkę? - spytała.

- Jasne.

- Może Wally? Podrzucił lornetkę Lillian do ciężarówki Charliego, a później dał się zastrzelić na żwirowisku - myślała głośno i pokręciła głową.
- Brakuje mi czegoś w tej układance.

Pit przysiadł na zderzaku ciężarówki ojca. Jego twarz była szara, a koszula mokra od potu. Oddychał chrapliwie, krzywił się z bólu.

- Nie pozwolili mi zbliżyć się do niej - powiedział. Było jasne, że ma na myśli Allyson.

- Zaraz ją stąd zabiorą. Odzyskała przytomność - kontynuował Pit. - Podobno Kara wyszła przed eksplozją. Pobiegła za dziećmi do chaty. Zoe zmarszczyła brwi.

- A więc dzieciaków tu nie było? Są w Stonebrook Cottage?

Pit zaniósł się kaszlem i jego twarz wykrzywił grymas cierpienia. Przyciskał złamany nadgarstek do piersi, oddychał z widocznym trudem.

- Chyba tak. Wiem to z drugiej ręki. Zdaje mi się, że oboje interesujecie się tą lornetką. Tata podobno znalazł ją dziś rano na siedzeniu.

- Daj spokój - jęknęła Zoe West. - Aż tak głupi nie jesteśmy.

- Założę się też, że w pogorzeliście znajdą się jakieś duperele z naszego domu, które przydały się komuś do skonstruowania bomby.

- Pit, w tym tygodniu już nic nie jest w stanie mnie zdziwić - stwierdziła ze stoickim spokojem Zoe.

Nad domem unosiły się kłęby dymu z płonącej stodoły. Pit wpatrywał się w wypielegnowany trawnik. Pociągnął nosem, bliski łez.

- Ten, kto zmajstrował bombę, nie pomyślał o dzieciakach. Nie obchodziło go, że gdyby tam były...

- To nie tak - zaprotestował Sam. - To właśnie Henry i Lillian byli celem zamachowca. Chciał, żeby zginęli.

Żałował, że nie jest w Teksasie. Tutaj nie miał żadnych uprawnień, nic nie mógł zrobić.

Pit zachwiał się z wyczerpania. Zoe skoczyła ku niemu i uchroniła go przed upadkiem na twarz. Spojrzała na Sama i rzuciła mu kluczyki do volks-wagena.

- Weź moje auto - powiedziała, opierając półprzytomnego Pita o maskę ciężarówki. - Wszyscy je znają, będziesz mógł poruszać się bez utrudnień. Ja złapię szefa i pošlę paru ludzi do chaty.

- Miej oko na Billie Corrigan.

Skinęła szybko głową. Widział, że się dobrze rozumieją i nie musi jej nic więcej wyjaśniać.

- Mam taki zamiar - powiedziała.

- Jesteś bez broni...

- Nie szkodzi, dam sobie radę. Wszyscy dookoła są uzbrojeni.

Sam usiadł za kierownicą małego, żółtego garbusa i znalazł właściwy kluczyk. Nim zdążył zapalić silnik, Pit dowlóknął się do volkswagena, otworzył drzwi i padł na siedzenie pasażera. Był spocony, spod gipsu wystawały zziębnięte, fioletowe palce.

- Kocham te dzieci - oświadczył. - Nie pozwolę nikomu ich skrzywdzić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kiedy Kara znalazła Henry'ego i Lillian w chacie, mieli spakowane plecaki i przygotowaną listę telefonów różnych linii lotniczych. Byli w rozterce. Nie chcieli martwić matki kolejną ucieczką, ale niepokoilo ich, że nadal ufała Hatchowi. Oni już nie.

Kiedy im powiedziała, że wybuch, który słyszeli, nastąpił w stodole, wszystko się zmieniło. Postawili plecaki przy tylnym wejściu i wpatrywali się w Karę rozszerzonymi oczyma. Całe, nieco teatralne rozżalenie wyparowało z nich w jednej chwili.

- Czy coś się stało mamie? - spytała Lillian ledwo słyszalnym głosem.

Kara porozumiała się telefonicznie z ochroną. Uzyskała podstawowe informacje i polecenie, żeby czekała z dziećmi na policję.

- Zabierają ją do szpitala, ale będzie dobrze. Nie znam szczegółów. My mamy chwilowo zostać tutaj.

Henry nie zapomniał tak łatwo o swych podejrzeniach. Domagał się dalszych wyjaśnień.

- Ale Hatch tu nie przyjdzie?

Kara zdecydowała się odpowiedzieć wprost na niewypowiedziane obawy chłopca.

- Henry, prawdopodobnie Hatch podjął jakieś błędne decyzje, ale nie wierzę, żeby zabił Wielkiego Mike'a. Tego się obawiasz, prawda? Że wepchnął Mike'a do basenu, a potem odkrył wasz domek i zabrał lornetkę Lillian?

- On wysłał za nami tego okropnego faceta - dodała Lillian.

Kara stała przy kuchennym blacie, zbyt zdenerwowana, by usiąść.

- Wydaje mi się, że Hatch zaufał niewłaściwym ludziom. Ale to może się zdarzyć każdemu. Przecież wy sami dopiero niedawno straciliście zaufanie do stryja, prawda?

Roześmiała się, przyciągnęła dzieci do siebie i ucałowała je. Ich zmęczenie i z troską rzuciły się w oczy.

- Jest piękna pogoda, zaczekajmy na dworze na policję. Zawiozą was do mamy.

Lillian rozplakała się.

- Ten wybuch był straszny.

Kara też się przeraziła, słysząc eksplozję, i omal nie zawróciła z drogi. Wiedziała jednak, że musi znaleźć Henry'ego i Lillian. Gdyby Allyson zginęła lub została poważnie ranna, tym bardziej potrzebowałiby ciotki. Sama nie wiedziała, jak udało się jej dotrzeć do chaty, nie przewróciwszy się ani razu na śliskiej po deszczu trawie. Spodnie miała ubłocone, mokre do kolan. Nurtowało ją mnóstwo pytań, a przede wszystkim to jedno najważniejsze: komu zależało na śmierci Allyson Stockwell?

Ten ktoś chciał zabić nie tylko Allyson, ale również Henry'ego i Lillian. Wszyscy wiedzieli, gdzie dzieci spędzają noc.

Kara przypomniała sobie blok rysunkowy i mazak, których użyła Lillian, pisząc rano list do matki. Pochodziły z pudeł zostawionych poprzedniego dnia przez Billie Corrigan. Billie musiała wpaść tu dziś po wyjściu Kary i Sama, zabrać stąd część swych prezentów i zanieść je do stodoły. Allyson nie przyszło zapewne do głowy, by o tym wspomnieć. Billie zawsze lubiła sprawiać ludziom miłe niespodzianki.

Kara wypuściła Henry'ego i Lillian z ramion. Poczwała chłodny powiew wiatru od okna nad zlewem. Wzięła kilka głębokich wdechów, próbując uspokoić rozedrgane nerwy. Sam zajmie się sprawą, choć nie ma na terenie Connecticut żadnych uprawnień. W stan najwyższego pogotowia została też bez wątpienia postawiona cała policja stanowa, a także FBI.

Kara pomyślała, że poszczególne kawałki układanki zaczynają do siebie pasować. Coraz lepiej zdawała sobie sprawę z zagrożeń i przybliżała się do rozwikłania zagadki. Ktoś na pewno będzie chciał porozmawiać z Billie, wypytać ją o materiały rysunkowe, o jej relacje z Wallym Harrisonem. Kara chciałaby się mylić, wolałaby, żeby przyrodnia siostra Hacha nie miała nic wspólnego z żadnym z wydarzeń tego lata.

Otrząsnęła się z ponurych myśli i odwróciła, by przyłączyć się do dzieci. Nie wyszły na zewnątrz, stały nieruchomo przy siatkowych drzwiach, jak skamieniałe.

- Wyjdźmy na zewnątrz - popędziła je Kara.

- Hola, przykro mi. Nikt stąd nie wyjdzie - zaprotestowała Billie Corrigan.

Kara dostrzegła ją dopiero teraz. Billie stała przy kuchennych schodkach. Miała szeroko otwarte i błyszczące oczy. W dłoni trzymała wymierzony w stronę wejścia pistolet; Kara była niemal pewna, że ten sam, który wcześniej widziała u Wally'ego.

- Billie, co się dzieje? - spytała cicho.

- Tak sobie pomyślałam, że wszyscy tu wylądujecie. Nie ruszajcie się. Muszę was cały czas widzieć.

Kara wcisnęła się między siatkowe drzwi a dzieci.

- Billie, posłuchaj. Policja już tu jedzie. To, co robisz, tylko pogarsza twoje położenie.

- Myślisz, że jesteś bardzo sprytna, ale nie masz o niczym pojęcia. Przekonasz się za kilka minut. Oczywiście będę próbowała was ratować, może nawet zostanę przy tym ranna. Niestety, nie uda mi się. Ludzie mnie lubią, uwierzą w moją wersję wydarzeń.

Wytarła wolną ręką krople potu znad górnej wargi. Kara ścisnęła mocno zeszywniałe dłonie Henry'ego i Lillian, jakby to mogło ochronić dzieci przed najgorszym. Była zaskoczona swym opanowaniem, ale wiedziała, że nie ma wyboru i musi myśleć jasno.

- Billie, Allyson nie zginęła. Twój plan nie wypalił.

- Cholerna bomba zawiodła - prychnęła Billie. - Zwykła puszka z gazem przy ognisku okazała się o wiele lepsza. Gdyby nie Pit, byłoby dawno po sprawie, a Wielki Mike nie musiałby zginąć. On wiedział, że Allyson i dzieciom grozi niebezpieczeństwo. Wiedział o niej i Picie, oczekiwał, że Allyson przestanie ukrywać ten związek. Poprosił Hacha, by przycisnął Allyson w tej sprawie. Pokłócili się wtedy, podsłuchałam ich z lasu. Mike podejrzewał, że wybuch na przyjęciu to nie był wypadek, właściwie oskarżył Hacha. Tam, przy basenie, strasznie na siebie wrzeszczeli, ale to już nie miało żadnego znaczenia. Byłam gotowa do działania - zakończyła, wruszając ramionami. Na jej białej bluzce pojawiły się plamy potu.

Kara myślała intensywnie. Wiedziała, że musi zachęcać Billie do mówienia, zanim nie wymyśli, co robić. Miała zapewne niewiele czasu, gdzieś w chacie musiała być jeszcze jedna bomba. Dlatego Billie pojawiła się tutaj, by ich zatrzymać i wszystkiego osobiście dopilnować. A zatem bomba miała zapalnik czasowy.

- Znalazłaś bławatnika u Madeleine? - zapytała Kara.

- I sama złamałam mu nóżkę.

Lillian westchnęła ciężko, lecz nie odezwała się. Kara uścisnęła lekko dłońie dzieci.

- Miałaś szczęście, większość piskląt musiała już podrosnąć.

- Czas płynie - powiedziała z uśmiechem Billie, spojrzawszy na zegarek. - Gdyby nie Pit... Gdyby nie interweniował wtedy na przyjęciu... Ale on musiał działać. Jeśli Allyson przeżyje, on też jeszcze dostanie za swoje. Jest po prostu zaślepiiony, nie widzi, jaka z niej samolubna dziwka...

- Nie wyrażaj się tak o mojej mamie! - krzyknął Henry, wysuwając głowę ku siatkowym drzwiom.

Kara delikatnie, lecz zdecydowanie pociągnęła go z powrotem za siebie. Zastanawiała się gorączkowo, gdzie Billie mogła schować bombę. Ile czasu pozostało do wybuchu?

- Zawsze wymyślałaś fajne niespodzianki na przyjęcia, ale nie wiedziałam, że potrafisz też konstruować bomby.

- Próbujesz mi się podlizać, żebym cię puściła? Nic z tego. Mój ojciec, stary pijak, nauczył mnie mnóstwa rzeczy. Fantazjował, że wysadzi w powietrze wszystkich zarozumiałych aktorów i reżyserów. Zajmował się efektami specjalnymi, ale potrafił też budować prawdziwe cacka. Mój tatko kochał bomby. Gdyby nie pił na umór, byłby w tym naprawdę dobry.

Zwilżyła wargi. Od strony polnej drogi dał się słyszeć warkot samochodu. Billie odbezpieczyła pistolet i uniosła go nieco.

- Jeden krok i strzelam.

- Kara! - krzyknął Sam od frontowych drzwi.

Razem z nim był Pit, nawoływał Henry'ego i Lillian.

- Nie wchodźcie! Tu jest bomba! - wrzasnęła Kara.

Billie zamrużyła powiekami. To dało Karze ułamek sekundy przewagi. Popchnęła dzieci przez kuchnię w stronę pokoju.

- Szybko na dwór!

Henry zawahał się przez moment.

- Co z tobą?!

- Leć!

Dzieci pognały, krzycząc na cały głos. Billie Corrigan otworzyła gwałtownie siatkowe drzwi i wpadła do kuchni. Kara złapała krzesło i pchnęła nim Billie, lufa pistoletu zboczyła nieco z celu. Rozległ się głośny strzał, zaraz potem drugi. Billie upadła na siatkowe drzwi i stoczyła się ze schodków. Kara zachwiała się. Zdziwiła się, że Billie zdążyła tak szybko wystrzelić drugi raz. Zaraz potem uświadomiła sobie, że leży na kuchennej podłodze, choć nie pamiętała momentu upadku. Poczowała piekący ból w boku. Pomyślała, że to skurcz i sięgnęła tam ręką. Między palcami ujrzała sączącą się krew.

- O cholera...

Sam dopadł do niej i podniósł ją z podłogi. Jedną ręką podtrzymywał ją w pasie, w drugiej ścisnął pistolet Jacka. Zataszczył ją szybko do tylnych drzwi, otworzył je kopniakiem, zrzucił ją ze stopni i skoczył za nią. Wylądowała twardo na trawie i w tym momencie niewielką kuchnią wstrząsnęła eksplozja. Podmuch szarpnął Kara, lecz pomyślała, że bomba była słabsza niż tamta w stodole. Słyszała brzęk rozbitej szyby, syk ognia, krzyki i płacz dzieci. Poczowała ostry swąd dymu.

Pit na pewno zdążył zabrać dzieci sprzed frontowego wejścia. Chyba nic im się nie stało...

Sam zerwał się na nogi. Kara zdołała unieść się na czworaki, choć brakło jej tchu, była oszołomiona i czuła ostry ból. Kątem oka dostrzegła, jak leżąc na brzuchu Billie sięga zakrwawioną dłonią po leżący w trawie pistolet Wally'ego.

Kara czuła ciepło krwi przesączającej się przez bluzkę. Mimo szoku i otumanienia uświadomiła sobie, że Billie zaraz strzeli do Sama. Nie mogła do tego dopuścić. Zdołała unieść się chwiejnie i jedną ręką popchnęła grill prosto na głowę Billie Corrigan. Poczwała, że pada na ziemię, lecz Sam zdążył ją złapać.

- W porządku, kochanie. Jestem przy tobie.

- Jesteś przy mnie, prawda? Och, Sam, wrzeszczałam do ciebie, że tu jest bomba - powiedziała, krzywiąc się z bólu. - Oczywiście nie posłuchałeś. Wpadłeś do środka z pistoletem w dłoni. Cholerny Strażnik Teksasu.

Ukląkł przy niej i zaczął rozdzierać koszulę. Mrugnął do Kary.

- Wpadłem tylko po gaśnicę. Opatrywał kawałkiem koszuli jej ranę.

- Najpierw stodoła, teraz chata... Co za piekło. Powinieneś był zostawić mi ten pistolet.

- Pewnie powinienem...

- Nie zdążyłeś strzelić do Billie, zanim mnie trafiła?

- Miałem zamiar, ale byłaś szybsza i załatwiłaś ją krzesłem.

Zdobyła się na słaby uśmiech.

- To było niezłe, nie sądzisz?

- To był cholernie dobry ruch. Karo, uratowałaś życie tym dzieciakom.

Podtrzymał ją, uciskając ranę. Drgnęła z bólu i zobaczyła krew na jego dłoni. Oparła się ciężko o jego pierś.

- Gdybyś został ranny, opiekowałabym się tobą. Naprawdę. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, wiem.

- Będę twoim obrońcą, jeśli Zoe West aresztuje cię za użycie broni. Cholera, ty nie jesteś tu służbowo, przyjechałeś na prośbę Susanny. O Jezu, przecież Jack i Susanna zaraz tu będą...

Słyszała zbliżające się wycie syren. Sam pocałował ją w czoło. Nie mogła już mówić, zamknęła oczy. W jego ramionach ból nieco zelżał.

Kara nie była spokojną pacjentką, ale jeden z sanitariuszy znalazł ją z czasu jej praktyki w Connecticut. Był, jak się zorientował Sam, kolejnym przestępcą zawróconym ze złej drogi. Kazał Karze milczeć i leżeć cicho. Powiedział, że kula drasnęła ją solidnie poniżej żeber, ale nie naruszyła powłok brzusznych. Kara miała dużo szczęścia.

Sam wiedział, że to nie był szczęśliwy traf. Billie chybiła dzięki ciśnieniu przez Karę krzesła.

Inna załoga zajęła się Billie Corrigan, z którą było gorzej. Sam strzelał celniej, mimo pośpiechu, spowodowanego groźbą wybuchu, mimo lecącego na Billie krzesła. Ratownicy przenieśli Billie na nosze, podłączyli kroplówkę i usiłowali zatamować krwotok. Hatch był przy siostrze.

Kiedy Zoe West stanęła obok Sama, wręczył jej bez słowa pistolet.

- Użycie broni było konieczne?

- Tak.

- Wyrzucą cię z policji?

- Możliwe.

- Przejmujesz się? - pytała dalej, przypatrując się mu badawczo.

- Chwilowo nie.

- Gdybym mogła, powiedziałabym wszystkim, że to ja do niej strzeliłam.

- Dziękuję. Doceniam to.

- Wątpię. Ty, sierzancie, jesteś na wskroś uczciwy. Gdybym to ja strzeliła w Teksasie do któregoś z waszych obywateli, bez wahania odebrałbyś mi broń i odznakę.

Odeszła na bok. Dookoła kłębili się ludzie: strażacy, policja lokalna i stanowa, a także reporterzy. Sam zbliżył się do Billie Corrigan. Była chyba w agonii. Hatch trzymał siostrę za rękę, połykając łzy.

- Nie chcę słyszeć, że robiłaś to dla mnie, Billie. Zabiłaś jednego z moich najbliższych przyjaciół. Nie mam nikogo na świecie poza ludźmi, których próbowałaś zamordować.

- Hatch, przestań... Zrobiłam to dla ciebie - powiedziała stanowczo, choć rwącym się i słabym głosem. - Wielki Mike podejrzewał, że to ty próbowałaś zabić Allyson. Nie dałby ci żyć.

- Nie, Billie. Odkryłby, że to twoja sprawka. Ja też w końcu odkryłbym prawdę. Czy tego właśnie się obawiałaś?

- Zasługujesz na część pieniędzy Lawrence'a - wyszeptała. - Tak, Hatch. On był twoim bratem.

- Nie chcę tych cholernych pieniędzy. Nigdy mi na nich nie zależało. Wiedziałaś o tym.

- Nie wierzę - powiedziała, kręcąc głową. Zapadła w letarg, lecz po chwili otworzyła oczy.

- Pit... Nie pokochałby nikogo innego, póki był pod urokiem Allyson. Hej, braciszku... Nienawidzisz mnie?

- Nie, nie potrafię... Boże, Billie, trzymaj się!

- Hatch, z Wallym to był kiepski pomysł. Chciałeś, żeby wyniuchał, czy to ja, prawda?

- Nie byłem pewien... Nie wiedziałem, co robić, w co wierzyć. Myślałem, że przynajmniej zadbam o bezpieczeństwo dzieci.

- Wally miał swoje plany. Odkrył związek Pita i Allyson, zaczął do niej dzwonić. Groził, że oskarży ją o zabójstwo Mike'a. Nie pozwoliłbyś na to, Hatch. Nie zaakceptowałbyś dymisji Allyson...

- Ona potrzebuje spokoju - rzekł sanitariusz. Hatch skinął głową.

- Billie, leż spokojnie i odpoczywaj... Spróbowała się unieść, lecz sanitariusz powstrzymał ją delikatnie.

- Dlatego zamierzałam rzucić podejrzenia na Charliego. By chronić ciebie... Hatch, powiedz, że mi wierzysz... Proszę...

- Wierzę ci, Billie...

- Wielki Mike... wiedziałam, że ma bzika na punkcie bławatników...

Zamknęła oczy i straciła przytomność. Sanitariusze pośpiesznie podnieśli nosze. Sam wątpił, czy karetka zdąży dowieźć ją żywą do szpitala. Hatch przez łzy patrzył za siostrą. Stał bez ruchu na trawniku, wiatr targał mu włosy.

- Przykro mi... - rzekł Sam.

Hatch patrzył na ślady krwi na trawie.

- Próbowала zabić Allyson i dzieci... To po prostu nie do uwierzenia. Twierdzi, że dla mnie. Dla mnie! Żebym został spadkobiercą. Obawiałem się, że coś kombinuje. Nająłem Wally'ego, by pilnował dzieci, póki nie rozgryzę sprawy, ale on postanowił działać na własną rękę. Mój Boże!

Podniósł głowę i wbił w Sama przenikliwe spojrzenie.

- Czy zdarzyło ci się, że ktoś mówił ci prosto w oczy rzeczy, których nie umiesz zaakceptować?

- Chyba wszystkim to się zdarza. Hatch Corrigan otarł łzy.

- Zawsze było mi żal Billie. Częściej spotykała się z naszym ojcem, była przy jego śmierci. Zdawało mi się, że czuje się tu dobrze, lubi swoją pracę. Tymczasem cierpiała, patrząc na miłość Pita do Allyson. O to

właśnie chodziło. Dlatego postanowiła pozbyć się Allyson i dzieci. Wiedziałem, że kocha Pita, ale nigdy... - głos mu zamarł.

Sam pokiwał głową. Wielokrotnie wysłuchiwał dramatycznych wynurzeń ludzi zszokowanych aktami przemocy. To nigdy nie było przyjemne.

- A więc pieniądze nie były najważniejsze?

- Nie. Billie wiedziała, że zaopiekowałbym się nią, gdybym odziedziczył majątek.

Westchnął, pociągnął nosem, wyjął chusteczkę i wytarł oczy.

- Kara nigdy mnie nie kochała. Sądzę, że wiesz o tym - dodał ni z tego, ni z owego.

Sam milczał.

- Mam opory przed wchodzeniem w bliskie relacje z ludźmi. Chyba dlatego tak długo podkochiwałem się w niej. To było łatwe i wygodne, wiedziałem, że ona nigdy nie odwzajemni mojego uczucia. To mi odpowiadało.

Schował chustkę do kieszeni. Podeszedł do nich policjant i powiedział, że Billie Corrigan zmarła w drodze do szpitala. Hatch podziękował za wiadomość uprzejmym skinieniem głowy i odwrócił się, przechodząc obok wypalanej chaty w stronę drzew, gdzie nie było ludzi.

Usłyszawszy dźwięk telefonu, Sam wiedział od razu, kto dzwoni.

- Jesteśmy na lotnisku w Hartford - poinformował Jack. - Susanna i dziewczynki przykleiły nosy do ekranu telewizora. CNN przerwało program. Eksplozja w letnim domu pani gubernator, Allyson poważnie ranna. Niech to cholera... Teraz mówią, że są ofiary śmiertelne.

- Podejrzana i ochroniarz.

- Co z Karą?

- Będzie dobrze. Zabrali ją do szpitala, kula drasnęła ją w lewy bok. Kiedy zabierali ją do karetki, jeszcze wyliczała listę moich błędów. Jack, ona uratowała tym dzieciom życie.

- Gdzie one są teraz?

- Pod opieką przyjaciela ich matki. Zaraz wszyscy jedziemy do szpitala.

- Spotkamy się tam. Sam, a co z tobą? Wszystko w porządku?

- Ponośzę odpowiedzialność za śmierć jednej osoby.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Kara usiłowała skupić spojrzenie na twarzach brata i jego żony, ale miała z tym problemy. Nie czuła się też do końca przy zdrowych zmysłach. Wiedziała, że to wpływ lekarstw. Pit Jericho, który zajrzał do niej na chwilę, uprzedził ją, że przez jakiś czas będzie ogłupiała, a później nie będzie pamiętać połowy z tego, co się wydarzyło. Powiedział też łamiącym się głosem, że z Allyson wszystko dobrze.

- Boże, cierpię.

Nie była pewna, czy wypowiedziała głośno te słowa. Nie wiedziała, gdzie jest Sam. Pewnie został aresztowany za zastrzelenie Billie Corrigan, bo nie miał pozwolenia na broń.

- Jack, co byś powiedział, gdybym wyszła za Strażnika Teksasu?

- Świrujesz po środkach przeciwbólowych.

Jack miał na sobie dżinsową koszulę i spodnie z pasem ozdobionym dużą, teksańską klamrą oraz służbowy kapelusz, ale bez policyjnej odznaki. Susanna była elegancka jak zawsze.

- Świruję z miłości do Sama.

Susanna zrobiła wielkie oczy.

- Ty, taka trzeźwo myśląca prawniczka? - skomentował Jack.

- Myślałam, że jestem w ciąży.

Nie powinna mówić tego przy bracie. Mogła zwierzyć się Susannie, jednak Jack nie traktował jej jak dorosłej kobiety. Stale widział w niej bezradną i roztrzęsioną po śmierci matki dziewięcioletnią dziewczynkę. Podobnie ojciec. To był jeden z powodów, dla których tak długo została w Connecticut.

Jack milczał i Kara doszła do wniosku, że nie wypowiedziała na głos swej myśli. Susanna chwyciła męża za łokieć, jakby chciała go przytrzymać.

- To znaczy... Ty i Sam... O, do diabła, nie mogę o tym myśleć spokojnie - powiedział.

- Chciałam być w ciąży. Chciałam dziecka, jak niczego na świecie.

Kręciło jej się w głowie, sufit wirował.

- Dziecka Sama - dodała.

- Karo, kobiety bez przerwy zakochują się w Samie. On nie odwzajemnia ich uczuć - ostrzegł Jack.

- Musimy odszukać Maggie i Ellen. Poszły kupić jakiś prezent dla ciebie. Odpocznij teraz, dobrze? - powiedziała z uśmiechem bratowa.

- Kocham Sama.

- Wiem o tym. Dla mnie to żadna nowina.

Kara nie była pewna, czy spała, lecz kiedy otworzyła oczy, w pokoju był Sam.

- Coś ty naopowiadała bratu? Oświadczył mi, że nie wie, co by mi zrobił, gdyby miał przy sobie broń - powiedział, kręcąc głową.

- Mówił to serio? Z wami nigdy nie wiadomo.

- My, Strażnicy Teksasu, lubimy mącić w głowach prawnikom - odpowiedział, szczerząc zęby.

- Nie rozśmieszaj mnie, bo wszystko mnie boli.

Lekarze mieli nadzieję, że obędzie się bez operacji, ale ostateczna decyzja w tej sprawie jeszcze nie zapadła.

- Wspomniałam Jackowi o ciąży - wyjaśniła.

- Aha!

- Z tobą - dodała.

- Oczywiście, a z kim innym?

- Powiedziałam, że chciałam być w ciąży. Na pewno to powiedziałam. Nigdy nie reagowałam dobrze na leki.

Spróbowała się unieść, ale osłabiona z powrotem opadła na poduszki.

- Sam, ja jestem twoją drugą połówką. Jeśli ty nie jesteś moją, to trudno. I tak uważam, że jestem ci przeznaczona.

- Tak, jesteś mi przeznaczona. Ja też to wiem.

- Mówisz serio? Czy tylko chcesz sprawić mi przyjemność, bo plotę sentymentalne bzdury? Naprawdę dziwnie się czuję po tych lekarstwach.

Taka zakręcona...

Roześmiał się i pocałował ją delikatnie.

- Lubię, jak jesteś zakręcona.

Hatch Corrigan przyszedł później, kiedy Kara była w stanie myśleć trochę jaśniej. Sam i Jack wyszli w towarzystwie śledczych z policji stanowej. Ellen i Maggie wycofały się dyskretnie, widząc kolejnego gościa, lecz ich matka została. Usiadła na krześle nieopodal łóżka i zapowiedziała, że przejrzy sobie gazetę, kiedy Kara będzie rozmawiać z Hatchem.

- Kiedy ostatnio zostawiłam cię samą, znikłaś, zabierając ze sobą broń i samolot.

Kara wiedziała, że to pretekst. Susanna pragnęła udzielić szwagierce wsparcia. Zamierzała interweniować, gdyby rozmowa z Hatchem, pograżonym w bólu i dręczonym wyrzutami sumienia, okazała się dla Kary zbyt trudna.

Hatch był bardzo wyczerpany i Kara dostrzegła w jego szczupłej, poszarzałej twarzy podobieństwo do matki.

- Przykro mi z powodu Billie - powiedziała.

Skinął głową, jakby doceniał wyrozumiałość i wielkoduszność Kary.

Odchrząknął uroczyście. Kara pomyślała, że jego trochę sztywny sposób bycia pomaga mu przetrwać trudne chwile.

- Nie powinno do tego dojść. Nie zdawałem sobie sprawy, ile w niej było goryczy i gniewu, jak pokrętnie myślała. Uważała, że należy jej się wszystko, czego tylko zapragnie. Wpadła we wściekłość, kiedy odkryła związek Allyson i Pita. To była ostatnia kropla, która przelała czarę goryczy. Wtedy zupełnie zatraciła się w chorych rojeniach.

- Hatch, ludzie ją lubili. Chyba większość z nas uważała ją za pogodną i zadowoloną z życia osobę.

- Ja też tak myślałem.

- Skąd wiedziała, że Wielki Mike nie umie pływać?

Wzruszył ramionami, ale nie było w nim śladu nonszalancji. Biła od niego aura takiego potwornego bólu, jakiego Kara nigdy nie chciałaby doświadczyć.

- Chyba zorientowała się, obserwując go w trakcie przyjęć w ogrodzie. Bardzo dobrze rozpoznawała ludzkie sekrety i słabostki.

- Twoje też?

- Karo, wiesz, że fortuna Stockwellów nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Nigdy. Wiesz to, prawda? Lawrence zostawił mi dosyć. Ja nigdy...

- W porządku. Nie musisz się tłumaczyć - przerwała mu z bladym uśmiechem.

- Wykorzystywała moją słabość do niej.

Westchnął i wyprostował się. Był w widoczny sposób skrepowany odsłanianiem tajników duszy.

- Stan Allyson nie jest tak poważny, jak początkowo sądzono. Żadne z oparzeń nie jest groźne. A Pit... Mój Boże, on jest niesamowity. Sam ledwo stoi na nogach, ale trwa u jej boku. Myślałem, że to Billie go zepchnęła, ale Sam stawia na Wally'ego.

- Zgadza się z tym - rzekła, kiwając głową.

- Jestem pewien, że byłoby mu przyjemnie to słyszeć - zauważył drwiąco Hatch.

- Nie, serio. Billie nie chciała zrobić Pitowi krzywdy. Chciała pozbyć się Allyson, a potem usidlić Pita. Wally przyczał się, wyczekując sposobności.

Założę się, że odkrył domek na drzewie i skojarzył fakty. Kręcił się tam, natknął się na Pita... i zepchnął go w przepaść.

Susanna przestała udawać, że czyta. Skarciła wzrokiem szwagierkę, jakby miała jej za złe dyskusję o morderstwach i wybuchających bombach. Kara jednak musiała uporządkować fakty i wyciągnąć logiczne wnioski. Susanna zrozumiała to i porzuciła myśl o przywołaniu na pomoc męża.

Hatch potarł kark. Kara widziała, że on także chce wykorzystać tę rozmowę, by zbliżyć się do prawdy.

- Sam uważa, że Wally znalazł lornetkę Lillian, zanim zepchnął Pita - powiedział.

- Sam podzielił się z tobą wszystkimi teoriami i wnioskami? - spytała zdziwiona, unosząc brwi.

- Karo, mnie nikt nie postrzelił - odpowiedział, uśmiechając się.

- Bardziej dokucza mi głowa niż rana, przysięgam. Trudno mi trzeźwo myśleć.

Skrzywiła się z bólu, dotykając obandażowanego boku, lecz wzięła się w garść, widząc minę Susanny. Bratowa już szykowała się do wypchnięcia Hatcha ze szpitalnej separatki.

- Prawdopodobnie Billie natknęła się na lornetkę, uciekając przez las po zabiciu Mike'a. Pomyślała, że Henry i Lillian mogli ją widzieć, ale widocznie postanowiła zaryzykować i przyjąć optymistyczny wariant. Dzieciaki kręciły się po lesie, ale mogła ich nie słyszeć. Mogła też udawać, że nie ma pojęcia o ich obecności. W każdym razie na pewno przełożyła lornetkę Lillian w inne miejsce.

- Potem znalazł ją Wally i natychmiast porozumiał się z Billie...

- Słusznie - zgodziła się i zmarszczyła czoło, starając się rozumować jasno i logicznie, jak zrobiłby to Sam. - Wykorzystał nadarzącą się okazję. Zdał sobie sprawę, że może przycisnąć Billie. Był chciwy, liczył na

dodatkową forszę... Mniejsza z tym. Umówił się z nią na żwirowisku, ona go zabiła, zabrała lornetkę i próbowała zrobić Charliego.

Hatch skrzywił się, lecz Kara pomyślała, że ta rozmowa pomoże mu pogodzić się z rzeczywistością.

- Może Billie zamierzała rzucić podejrzenie na Wally'ego.

Kara pokręciła głową.

- No i co? Zamierzała powiedzieć, że go zabiła w obronie własnej?

Niemożliwe. To teoria sierżanta Temple'a?

- Powiedział, że to jedna z możliwości.

- Dziurawa teoria. Billie postrzeliła mnie z broni Wally'ego, kiedy on już nie żył.

- Ona wcale nie planowała strzelać do ciebie. To był akt desperacji. Zamierzała trzymać was na muszce do chwili wybuchu bomby, a potem bohatercko, lecz bez powodzenia ratować. Tak uważa Sam - dodał, uśmiechając się, lecz jego oczy pozostały smutne.

Kara była już wyczerpana. Oparła głowę o poduszkę. Pit nie przypominał sobie swojego upadku, a ona zapamiętała strzał, pamiętała każdy szczegół.

- Och, Hatch, Mike miał rację. Potrzebny mi był powrót do domu, do Teksasu.

Dotknęła jego spoconej z emocji dłoni.

- Co zamierzasz?

- Wyjadę na jakiś czas - odparł bez wahania. - Muszę odnaleźć siebie, z dala od matki i rodziny Lawrence'a. Bez obaw, wrócę tu.

Uśmiechnął się ponownie, tym razem i oczy nieco mu poweselały.

- Posłuchaj, Karo. Ty i Sam Temple.... Będziecie mieli wspaniałe dzieci, czarnookie i mądre.

Susanna kręciła głową, nie wierząc własnym uszom, lecz w głębi duszy sama niemal od początku oczekiwała takiego finału.

- Hatch...

- Dziękuję ci za twoją przyjaźń. Życzę ci dużo szczęścia. Do zobaczenia.

Po jego wyjściu Susanna westchnęła.

- Czarnookie i mądre? On nie ma o niczym pojęcia.

- On śni na jawie. Ja śnię. Susanno, ostrzegając mnie przed Samem.

- Jacka też przestrzegam przed wieloma rzeczami. I też mnie nie słucha.

Kilka minut później szwagierka zbliżyła się na palcach do łóżka.

- Karo, czy przyjmiesz jeszcze gości? - szepnęła.

Kara uniosła głowę. W drzwiach stali Henry i Lillian, machając do niej niepewnie. Susanna z uśmiechem zapraszała dzieci do środka.

- Podobno byliście bardzo dzielni.

- Żebyś wiedziała - potwierdziła Kara. - Byli wręcz niesamowici.

Henry i Lillian nie przyszli jednak po to, by rozmawiać o sobie.

- Przynieśliśmy ci prezent - powiedziała Lillian.

Henry skinął głową, podchodząc z siostrą do szpitalnego łóżka. Kara czuła się oszołomiona, lecz uśmiechnęła się ciekawa, co jej chrześniacy wykombinowali tym razem.

- Zrobiliśmy to sami, czekając na wizytę u mamy - wyjaśnił Henry. - Pit zdobył dla nas wszystkie materiały.

Lillian wyciągnęła zza pleców długą, cienką pałeczkę, mieniącą się wielobarwnymi gwiazdkami, brokatem i wstążeczkami.

- To czarodziejska różdżka - objaśnił Henry. Lillian zachichotała radośnie.

- Dla naszej dobrej wróżki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Allyson spędziła w szpitalu tylko trzy dni i została zwolniona z zaleceniem, by na kilka tygodni zwolnić tempo życia. To nic trudnego, nawet dla gubernatora, pomyślała leniwie. Leżała na brzuchu w hamaku, na materacu. To legowisko wymościł dla niej Pit. Przeniósł hamak z ogrodu przed wypalonymi resztkami stodoły i rozwiesił go między dwoma klonami na podwórzu za domem Jerichów. Allyson patrzyła na Beę otoczoną piszczącymi kurczakami. Bea zbierała szuflą kurze odchody do starego wiadra i wносиła je na stertę kompostu.

- Twoja matka wygląda tak normalnie. Uwielbiam na nią patrzeć.

- Moja matka nie jest normalna - odpowiedział Pit, kręcąc głową.

Allyson nie mogła się śmiać, stale jeszcze cierpiała, fizycznie i emocjonalnie. Miała niezbyt rozległe, lecz dotkliwe oparzenia na plecach, trzy złamane żebra, liczne skaleczenia i otarcia. Na szczęście żadne z tych obrażeń nie było poważne. Szybka akcja ochroniarzy uratowała jej życie. Zaprosiła ich do swego pokoju w szpitalu, by im podziękować, lecz stwierdzili, że spełnili jedynie swój obowiązek i nie życzą sobie rozgłosu. W głębi duszy odczuwali wyrzuty sumienia, bo nie odkryli na czas bomby. Jednak trudno podejrzewać najbliższą rodzinę pani gubernator...

Teraz zdawała sobie sprawę, że powinna była powiedzieć ludziom z ochrony o anonimowych telefonach. Być może policja ujęłaby Wally'ego Harrisona, a Hatch wyjawiałby swoje powiązania z byłym policjantem.

Choć kto wie... Wally był dość sprytny, a gdyby sprawa wyszła na jaw wcześniej, mogłoby to sprowokować Billie do szybszego działania, być może z groźniejszym skutkiem.

Allyson wiedziała, że nie powinna rozważać w głowie hipotetycznych scenariuszy. Ostatni telefon, tuż przed eksplozją, był od Billie. Wally już wtedy nie żył. Oni nie grali w jednej drużynie.

Billie skonstruowała bomby z materiałów skradzionych u Jerichów. Miały zapalnik czasowy. Allyson nie rozumiała, dlaczego Billie nie nastawiła go na godziny nocne. Śledczy uważali, że bomby zostały podłożone wcześniej, lecz Billie dopiero po zabiciu Wally'ego nastawiła mechanizm zegarowy. Wiedziała, że po odkryciu ciała Harrisona zostanie odcięty dostęp do posiadłości Stockwellów, nawet dla niej. Musiała się spieszyć. Uruchomiła zegar bomby w chacie, kiedy zabierała stamtąd przybory rysunkowe dla Henry'ego i Lillian, a w stodole, kiedy je tam przywiozła. Życzliwa i pomocna Billie, zawsze gotowa umilić życie innym. Nikt nie podejrzewał, jaki jest prawdziwy cel jej wizyt.

Nikt nie dostrzegł, że była zuchwałą i zdecydowaną na wszystko desperatką, na pewno trochę szaloną.

- Czy na pewno chcesz tej konferencji prasowej? - spytał Pit.

Allyson wzruszała jego troskliwość. Chciał jedynie jej dobra, nie oczekując niczego w zamian.

- Tak - odpowiedziała bez wahania.

- Wiesz, że Henry i Lillian chcieliby w niej uczestniczyć?

- Nie zgadzam się. To dzieci. Mam jednak zamiar oświadczyć całemu światu, że gdyby nie oni, Bóg jeden wie, co by się z nami wszystkimi stało. Okazali niezwykłą odwagę.

Poczuła, że wilgotnieją jej oczy.

- Według Charliego powinni stale mieć przy sobie nadajniki GPS, żeby było wiadomo, gdzie się podziewają.

Allyson uśmiechnęła się przez łzy.

- Pit, Madeleine powiedziała dokładnie to samo, przysięgam.

Roześmiał się.

- Ech, ci dwoje. Para zrzędliwych staruchów - powiedział. - Wpadli na siebie w szpitalnej poczekalni. Madeleine oświadczyła, że mogli jej się trafić o wiele gorsi sąsiedzi. Tacie zrobiło się przyjemnie, zauważyłem to, ale odparł, że po raz pierwszy w życiu nazwała go sąsiadem. Ona natychmiast zaprotestowała, no i znowu mieli powód do kłótni. W końcu przestrzegła go, by nie wpadał bez uprzedzenia po szklanekę cukru czy sól.

- Szanują się nawzajem i oboje kochają tę ziemię. Pit przeciągnął dłońią po trawie, nie patrząc na

Allyson.

- Madeleine zachowuje się bezceremonialnie, mówi rzeczy, których nie powinna. I jest snobką. Nigdy jednak nie spiskowała przeciwko mnie ani z Wallym Harrisonem, ani z nikim innym. On sądził, że przypodoba się jej, dobierając mi się do skóry. Ona nie jest doskonała. Popęlnia błędy, jak wszyscy. Nawet ty - stwierdził, patrząc jej prosto w oczy.

- Niełatwo jest przyznać się do błędu.

- Wiem, jakie to dla ciebie trudne.

Odchylił się i oparł na łokciach. Patrzyła na jego opalone ramiona i twarz, płaski brzuch, muskularne nogi. Wiedziała, że może na nim polegać. Był solidny i twardy jak skała. Mogliby odbudować Stonebrook Cottage i uczynić go swoim domem. Pit był podekscytowany, zamierzał wykonać większość prac własnoręcznie.

- Madeleine pomoże Henry'emu i Lillian przejść przez to wszystko. Pomoże i tobie, jeśli jej na to pozwolisz - rzekł.

Allyson myślała o wszystkich radościach i smutkach, które dzieliła z Madeleine Stockwell od wielu lat. Jak zniosłaby śmierć Lawrence'a bez wsparcia jego matki? Westchnęła, przysłuchując się, jak Bea mruczy coś do kurczaków.

- Masz rację, Pit. Lubisz mieć rację, prawda?

- To coś nowego. Miło to słyszeć - stwierdził, uśmiechając się szeroko.

Podniósł się, zwinny i pełen wdzięku. Allyson jęknęła cicho.

- Nie mogę uwierzyć, że leżę tu połamana i poparzona, zastanawiając się, kiedy będziemy mogli pójść do łóżka.

- A ja miałem wyrzuty sumienia, że w tak trudnej sytuacji myślę o seksie...

Pochylił się nad hamakiem i odgarnął jej z czoła kosmyk włosów.

- Musisz odpocząć. Zrób użytek z inhalatora, który ci dali. Możesz popłakać się w trakcie konferencji prasowej, ale jeśli zemdlejesz i wyniosą cię na noszach, powstanie problem. W wieczornych wiadomościach ogłoszą, że Connecticut ma nowego gubernatora.

- Kto wie, czy do tego nie dojdzie. Jeszcze mogę zrezygnować.

- Nie. Zostaniesz. Lubisz pracować dla dobra innych. Kochasz ten stan i chcesz mu jak najlepiej służyć.

- Moje dzieci mnie potrzebują.

- Tylko nie mów im tego - rzekł, puszczając do niej oko.

Konsultowała się z psychologiem, który po rozmowie z dziećmi radził, by słuchała ich uważnie, nie zakładając z góry, że zna ich myśli. Powinna pomóc im odnaleźć poczucie bezpieczeństwa i tego, że są

kochane. Dzieci natomiast szczerze namawiały matkę do pozostania na urzędzie. Uprzedziła je, że najbliższy okres może być trudny z powodu skandalu i jej rekonwalescencji. Pytały, czemu nikomu nie powiedziała o anonimowych telefonach. Odpowiedziała szczerze, niczego nie ukrywając.

- Ponieważ nie traktowałam tego wystarczająco poważnie.

Zastanawiałam się też, czy po śmierci Wielkiego Mike'a nie powinnam zerwać z Pitem. Nie chciałam, żeby jakiś dureń, pragnący zbić polityczny kapitał, wykorzystał to przeciwko mnie. A później rozpętało się piekło. Martwiłam się o was i o siebie. Nie zrozumcie mnie źle, teraz wiem, że powinnam ujawnić sprawę zaraz po pierwszym telefonie.

- To niewiele by zmieniło - zauważył trzeźwo Henry. - Dzwonił ten facet, który nas śledził, Walter Harrison, a Billie i tak chciała nas zabić.

Za dwie godziny miała się odbyć konferencja prasowa, w Stockwell Farm, na co nalegała Madeleine. Twierdziła, że wszyscy powinni obejrzeć zgliszcza stodoły, zobaczyć, jak niewiele brakowało, by Allyson zginęła, zobaczyć dowody świadczące o szaleństwie Billie. Pit zarzucił Madeleine, że chce, by pokazano w telewizji jej rózę. Zareagowała spokojnie, prawie się uśmiechnęła. Allyson widziała, że z czasem stosunki między Pitem a jej teściową ułożą się poprawnie.

Zamierzała odpowiedzieć na wszystkie pytania, dopóki reporterzy nie zaspokoją swej ciekawości. To oni powinni uznać temat za wyczerpany, nie ona.

Ludzie mają prawo wiedzieć, co tego lata przydarzyło się gubernatorowi stanu i jego zastępczyni. Powie im wszystko. Niech potem sami zdecydują, czy powinna pozostać na stanowisku.

Hatch nie planował udziału w konferencji. Pakował się, zamówił już bilet do Patagonii. Powiedział, że chce odnaleźć siebie w trakcie górskiej wspinaczki. A pewnego dnia powróci do domu.

Pit zostawił Allyson samą, by trochę odpoczęła, lecz po trawniku gnali w stronę hamaka Henry i Lillian, wyraźnie czymś podekscytowani. Psycholog wspomniał coś o ich niezwyklej odporności emocjonalnej...

- Co się stało? - spytała. Lillian podskakiwała radośnie.

- Charlie i Bea dadzą nam po kózce! Dla każdego po jednej!

Henry zachowywał się nieco bardziej powściągliwie, zapewne chciał zademonstrować, że jest bardziej dorosły i okazywanie emocji uważa za dziecinadę. Allyson widziała jednak w jego oczach radość, po raz pierwszy od wielu dni jej syn był szczęśliwy.

- Pomogę Charliemu zbudować dla nich zagrodę - poinformował.

Przez jakiś czas rozmawiali o kozach. Bea chciała, by dzieci dowiedziały się o nich jak najwięcej - jak się nimi opiekować, czym je najlepiej karmić. W pewnej chwili siedząca na trawie obok brata Lillian spojrzała poważnie na matkę.

- Kiedy będziemy mogli odwiedzić ciocię Karę?

Kara tego ranka została zwolniona ze szpitala i wpadła z bratem i jego żoną, by się pożegnać przed odlotem do Bostonu. Nie było z nimi Sama Temple'a, ale Allyson i tak wiedziała swoje. Uśmiechnęła się do dzieci.

- Myślę, że niedługo polecimy do Teksasu na cudowny ślub.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Tego wieczoru w barze Jima serwowano tradycyjny chowder z owocami morza.

- Jimmy, czy tu pływa kukurydza? Nie wierzę własnym oczom - marudził Davey Ahearn.

- Lubię eksperymentować.

- W porządku, ale chowder zostaw w spokoju. Nie powinieneś dodawać kukurydzy do tej zupy.

Kara roześmiała się i prawie zapomniała o bólu. Na wszelki wypadek miała w torbie środki przeciwbólowe. Siedziała wśród rodziny, byli tu Jack, Susanna i bliźniaczki. Iris Dunning, niezmordowana babka Susanny, kazała zestawić dwa stoły, by mogli swobodnie rozmawiać.

Tłum gości w barze świętował narodziny wnuka Jima Havalanda, Jedidiaha Jamesa Thorne'a. Kara pomyślała, że wreszcie widzi wszystkich razem.

Tess, matka noworodka, córka Jima i najlepsza bostońska przyjaciółka Susanny, czuła się już dobrze. Andrew Thorne, ojciec, i jego mała córeczka, Dolly, siedzieli rozradowani obok siebie. Cieszyli się też Jim i Davey, ojciec chrzestny Tess. Davey miał jedynie zastrzeżenia co do kolejności imion dziecka.

- Kto daje chłopcu na imię Jedidiah?

- Będziemy wołać na niego Jed - rzekł Jim.

- Jak Jed Clampett?

Westchnął zrezygnowany. Dwaj przyjaciele częstowali gości cygarami. Znajomi robotnicy z budowy i strażacy przynieśli dla malucha

buciki i koszulki. Siedzący obok studenci przekonywali Daveya, że Jedidiah to bardzo ładne imię.

Rozmowy o dziecku rozrzewniły Karę. Poczuli się samotna, choć była otoczona rodziną.

Brakowało Sama. Przesłuchiwały go władze Connecticut. Jack zrobił wszystko, co mógł, by wybronić siostrę i podwładnego, choć Kara wiedziała, ile go to kosztuje. Jack nie uznawał naginania prawa.

Strażnik Teksasu nie powinien strzelać do ludzi w Connecticut, nawet do morderców. A ukochana siostrzyczka nie powinna zostać ranna w strzelaninie.

- Nie mogę uwierzyć, że stałaś tam i dyskutowałaś z Billie Corrigan, kiedy trzymała cię na muszce. Ech, wy prawnicy, nigdy nie macie dosyć, mieciecie ozorem nawet w sytuacji zagrożenia życia.

Siedział naprzeciwko Kary i kręcił głową. Tę część jej historii usłyszał dopiero teraz.

- Ciekawe, co ty byś zrobił? - spytała drwiąco.

- Nie wiem. Drzwi siatkowe otwierały się do środka czy na zewnątrz?

- Na zewnątrz.

- Kopnąłbym je mocno, by uderzyły ją w twarz i uciekłbym jak najdalej.

Siedząca obok męża Susanna przewróciła tylko oczami.

- On nie ma zielonego pojęcia, co by zrobił. Nie było go tam.

- Na pewno nie dyskutowałbym z tą wariatką. Jack westchnął, patrząc na siostrę.

- Zobacz tylko, zaraz wpadnie pod stół - rzekł do żony.

- Czuję się dobrze - zaprotestowała Kara.

- W porządku. No cóż, kiedy wpadniesz pod stół, poprosimy Sama, żeby zaniósł cię do Iris i położył do łóżka.

- Mówisz tak tylko dlatego, że go tu nie ma. Rzucił jej spojrzenie pełne wyższości.

- I tu się właśnie mylisz, siostrzyczko. Sam tu jest i zaraz cię stąd zabierze.

Jack wstał, a za nim Susanna, Iris i dziewczynki. Odchodząc od stolika, Jack nachylił się nad nią z uśmiechem.

- Chcę tylko, żebyś miała jasność w jednej sprawie: u Iris będziecie spać w osobnych pokojach.

Zostawili ją samą przy stoliku i wtedy do baru wszedł Sam. Usiadł naprzeciwko i pokręcił głową. Kara pomyślała, że jest najprzystojniejszym i najbardziej seksownym mężczyzną nie tylko w Teksasie, ale na całym świecie.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Panno Karo, wyglądasz, jakbyś się z kimś biła.

- Nie spodziewałam się ciebie tutaj. Myślałam, że będę musiała pożyczyć od Susanny kilka milionów na kaucję.

- Nie dla mnie. Sama pani prokurator generalna stanu Connecticut osobiście oświadczyła mi dziś rano, że jestem wolny i podziękowała mi za uratowanie życia dzieciom pani gubernator. Wyjaśniłem jej, że to ty uratowałaś im życie, a ja uratowałem twoje.

- A czy powiedziałeś, że uratowałam życie również tobie?

- Aha, grill. Nie, nie wspomniałem o grillu.

- Ale Sam...

- Wiem, kochanie.

Wzięła głęboki oddech.

- Billie była zdecydowana zabić Henry'ego i Lillian, widziałam to w jej oczach. Uznała, że wraz ze śmiercią Allyson i dzieci znikną wszystkie jej problemy. Hatch odziedziczyłby fortunę i zaopiekował się siostrą. Pit wreszcie zwróciłby na nią uwagę, może nawet pokochał. Henry i Lillian nie przypominiliby jej o smutnym dzieciństwie. Gdybyś jej nie zastrzelił, dzieci już by nie żyły...

- Ta cholerna bomba mogła rozerwać jej tyłek. Kara prawie nie ruszyła swojej zupy.

- Co z Zoe West? - spytała.

- Wszystko dobrze. Powiedziała, że chciałaby mieć moje zdjęcie, kiedy pędzę do akcji jej żółtym garbusem.

Kara roześmiała się.

- Wszyscy Strażnicy Teksasu też chcieliby mieć takie zdjęcie.

Sam puścił jej uwagę mimo uszu.

- Nie sądzę, żeby popracowała długo w departamencie policji Bluefield. Jej szef jest wściekły, że pozwoliła mi uganiać się tura z bronią, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby na jego terenie zginął kolejny gubernator.

- Ona będzie kozłem ofiarnym.

- Spodziewa się tego. Mówiła, że od roku czeka, kiedy ją wyrzucą.

Chyba wyjątkowo nie lubi broni.

- Dlaczego sama nie zrezygnuje?

- Jej ojciec był szefem policji w Maine, zginął na służbie.

- Nie wiedziałam - rzekła cicho Kara.

Jim Haviland zaproponował Samowi chowder, piwo i cygaro, ale Sam grzecznie odmówił. Kara wiedziała, że musi mu powtórzyć, czego dowiedziała się rano od Susanny.

- Gordon Temple zadzwonił do matki Susanny, kiedy zobaczył w telewizji, co się stało. Prosił, by ci powtórzyła, jak jest mu przykro, że nie zdążyliście poznać się na wernisażu. Ma nadzieję na rychłe spotkanie.

- To mój ojciec. Kara skinęła głową.

- Miałaś rację, twierdząc, że nie każda miłość może trwać wiecznie.

Sam, to co wygadywałam w szpitalu...

- Wystraszyłem się wtedy.

- Rozumiem to.

Nachylił się przez stół i jednym palcem uniósł jej brodę, aż spotkały się ich oczy.

- Pani mecenas, nie jest pani w najlepszej formie. Użyłem czasu przeszłego. Wystraszyłem się, ale to nie znaczy, że nadal jestem przestraszony. Kto by pomyślał, że kiedyś spotkam kobietę, którą pokocham całym sercem, całą duszą, na zawsze. - Uśmiechał się, wodząc palcem po jej wargach. - Ale stało się. Kocham cię całym sercem, całą duszą.

- Sam... - wykrztusiła ze ściśniętym gardłem.

- Czy naprawdę byłaś bardzo otumaniona, kiedy powiedziałaś w szpitalu, że jesteś moją drugą połówką?

- Musiałam być nieźle otumaniona, skoro powiedziałam to głośno.

- Mówiłaś serio?

Nie odwracała wzroku, nie myślała o ucieczce.

- Tak.

- To dobrze, bo ja jestem twoją drugą połówką, Karo. Na zawsze.

- Jezu, popłakałem się nad tą zupą - jęknął przy barze Davey Ahearn.

- Jimmy, szampan dla wszystkich, ja stawiam! Musimy przełamać smak tej cholernej kukurydzy.

Zsunął się ze stolka, ogromną łapą klepnął Sama w ramię i wskazał na Karę.

- Sierzancie, ona nie dotrwa do tego szampana. Najdalej za pół minuty będzie leżała na podłodze.

- Wypijemy szampana kiedy indziej, dobrze?

- Jasne, choć ty zawsze pojawiaasz się niespodziewanie i równie niespodziewanie znikasz.

- Zawsze będziesz tu miłe widziany, Sam - zadeklarował Jim Haviland.

- Właśnie miałem to samo powiedzieć - poparł przyjaciela Davey.

Kara już nie słyszała, co mówili. Jej rana, leki, zmęczenie, oszałamiające odkrycie, że Sam Temple ją kocha, jej miłość do niego, wszystko to spowodowało, że zsunęła się z krzesła.

Davey Ahearn i Jim Haviland ruszyli w jej stronę, ale Sam doskoczył do niej pierwszy. Chociaż się opierała, wziął ją na ręce i poniósł w ciepłą letnią noc do domu Iris Dunning.